

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 11 (1459) ROK XXIX

15 MARCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Skandale teatralne
- Nikaragua: ministrowie Boga ministrami ludu
- Człowiek, który ograł telewizję

Kultura i pieniądze

ANDRZEJ KAROLCZAK

Pisałem na tych łamach — i pod tym samym tytułem — w listopadzie 1984 r. o wpływach i wydatkach na kulturę (Odgłosy, 10 listopada 1984, nr 45). Pisałem tylko o pieniądzach, którymi dysponuje Wydział Kultury i Sztuki Urzędu M. Łodzi, bowiem innych wydatków na kulturę nikt na szczeblu wojewódzkim nie bilansuje. Plan na rok 1985 przedstawiał się następująco: Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury wynosił 1 891 648 tys. zł. (przyrost 224 116 tys.), dotacja z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury 1 873 408 tys. zł. (przyrost — 332 806 tys. zł.).

Przyrost dotacji z Centralnego Funduszu był... relatywnie ujemny, bowiem wynosił 8,3 proc., tj. był niższy niż stopa inflacji. W sumie było tego 3 765 054 zł., co wydawało się sumą pokaźną, choć wszyscy zainteresowani zgodni twierdzili, że przydałoby się więcej.

Jak wygląda konto Wydziału Kultury i Sztuki dziś? Mizeria — 2 248 463 tys. zł. Do tego dochodzi ok. 10 mln zł. dochodów własnych i inne dotacje w wysokości 77 600 tys. Razem Wydział dysponuje kwotą 2 336 036, a potrzebuje co najmniej 2 600 milionów, co i tak jest kwotą o przeszło miliard złotych niższą od ubiegłorocznej.

— Krzyż się dopiero do nas dotarł — mówi dyrektor Wydziału, Ryszard Czubaczyński — a właśnie w tym roku musimy wydać masę pieniędzy na Łódzki Dom Kultury. Wieloletni remont zakończy się właśnie teraz. W roku 1984 koszt tego remontu obliczano na 200 milionów. Wydałiśmy już 296 milionów, całość będzie kosztowała 400 milionów!

Ostatnio dopłacamy (my, widzowie): do biletów kinowych, teatralnych i na imprezy estradowe — od 5 zł do 30 (przy cenie biletu 300 zł i więcej). Wprowadzono dodatkowe opodatkowanie za wywóz dzieł sztuki, za wynajem sal na imprezy, za zezwolenie na działalność rozrywkową itp. itd. Wszystko to winno podreperować budżet Wydziału o 60 milionów zł.

Co się stało? Skąd ta dziura w finansach na kulturę?

Fundusz Rozwoju Kultury miał wzrastać — w założeniach — o 13,6 proc. rocznie. Budżet Wydziału Kultury miał w wyniku tego wzrastać — roczny przyrost rzędu 20 proc. Tymczasem rośnie o 4 do 6 proc. Przypomnijmy — ubiegłoroczny



Foto: Grzegorz Galasiński

Życie na uwieczni

MAREK MAMOS

1.

Ludzie mówią, że lekarze będą brać za to pieniądze, ciężkie pieniądze, zielone. Nieprawda. Nie wszystko da się przeliczyć na złotówki i dolary, życie ludzkie na pewno nie. Ludzie mówią też, że to niemożliwe wyimować ze zwłok człowieka, który dopiero co umarł — serce, wątrobę, nerki — i przeszczepić innemu człowiekowi.

Krzyż się ma lat dwadzieścia. Zachorował w czasie wakacji tuż po skończeniu szkoły podstawowej. Doktor z przychodni powiedział, że to zatrucie, nie kazał jeść owoców, ale Krzyż się z dnia na dzień czuł się coraz gorzej. Dopiero kiedy cały spuchł przyjechała karetka. Kilku-miesięczny pobyt w szpitalu zakończył się amputacją obu nerek. Od tego czasu, regularnie co dwa dni, punktualnie o godzinie ósmej Krzyż się melduje się w oddziale hemodializy. Jego krew, całe pięć litrów jakie przeciętnie posiada dorosły mężczyzna, przetwarzana jest przez urządzenie zwane sztuczną nerką. Tu się oczyszcza. Można żyć spokojnie przez następne dwa dni.

2.

Nerki mają kształt ziarna fasoli o długości około 12 centymetrów. W organizmie spełniają niezwykle ważną rolę. Są tym dla człowieka czym oczyszczalnia ścieków dla przemysłu. Brak oczyszczalni lub jej zła praca sprawiają, że rzeki są zatrute. Choroba nerek przyczynia się do zatrucia krwi. Nerki oczyszczają organizm ze szkodliwych substancji powstających w wyniku przemiany materii i wydala ją wraz z mocem. Dziennie powstaje w organizmie około półtora litra moczu.

3.

Wiosną ubiegłego roku Krzyż się nie zjawił się w szpitalu. Chciał się przekonać jak to będzie, czy naprawdę przywiązany jest do sztu-

cznej nerki. Już kilka godzin po terminie czuł się fatalnie. Następnego dnia bolała go głowa. Wymiotował. Po tygodniu bez dializ umierał się.

4.

Straconego zabiegu nadrobić nie można. Statystyki mówią, że na każdy milion ludzi, rocznie na niewydolność nerek wymagającą stałej dializoterapii zapada od 40 do 50 osób. Łatwo obliczyć, że w regionie łódzkim, w którym żyje około 4 mln ludzi, w tym czasie przybywa najmniej 160 pacjentów. Roczny koszt leczenia jednego chorego wynosi od 600 do 800 tysięcy złotych. Wielkie pieniądze i mała liczba sztucznych nerek w województwie łódzkim sprawiają, że do dializ można wziąć rocznie 20—30 nowych chorych. Strasznie!

Istnieje też metoda leczenia za pomocą dializ otrzewnowych domowych i ambulatoryjnych. W naszych warunkach szpitalnych — jak twierdzi dr n. med. Feliks Kasprzyk — z powodu braku odpowiednich pomieszczeń, personelu pielęgniarskiego i złych warunków sanitarnych, u chorych dializowanych otrzewnowo dochodzi po kilku tygodniach do zapalenia otrzewnej. Stąd metoda ta nie znalazła u nas większego zastosowania w leczeniu przewlekłej niewydolności nerek.

5.

Krzyż się miał więc szczęście, że jest wśród około 120 osób leczonych w Łodzi za pomocą sztucznej nerki. Niektórzy chociaż są inwalidami pierwszej lub drugiej grupy, starają się żyć normalnie. Pracują. Jeden z pacjentów jest nawet dyrektorem. Przychodzi na dializy po godzinie 20. Wielu wpada jednak w depresję. Niekiedy, nie wytrzymując uzależnienia się od maszyny, próbują skończyć ze sobą. Tracą nadzieję na powrót do społeczeństwa, ludzi zdrowych, tracą nadzieję na transplantację. Życie od zabiegu do zabiegu zabija ich.

Kultura to cel i siła rozwojowa socjalizmu

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Był to zjazd oczekiwany w środowisku literackim od dłuższego czasu, zjazd ważny, budzący uzasadnione zainteresowanie w szerokich kręgach społeczeństwa, w tym przede wszystkim inteligencji, zwłaszcza twórczej. Minister kultury i sztuki, Kazimierz Żygulski przytaczając kilka powodów wielkiej społecznej wagi najwyższego forum ludzi pióra, powiedział m.in. że literatura odgrywa wciąż ważną rolę w rozwoju myśli społecznej, w intelektualnej refleksji nad przeszłością i teraźniejszością, wreszcie — w poszukiwaniu perspektywy socjalizmu. Minister użył także trafnego porównania nazywając literaturę „sercem kultury”. Wszelkie niedomaganie literatury to niebezpieczne zagrożenie dla całej kultury.

Pisarze najszybciej odbudowali swój związek, najwcześniej włączyli się w nurt normalizacji i odnowy życia społecznego. W odbudowanym ZLP jest dziś ponad 700 pisarzy, a więc nie wszyscy. Są poza związkiem ci, którzy się wciąż wahają, ale i zapewne tacy, którzy do ZLP już nie przyjdą. Cóż, przynależność do ZLP jest sprawą osobistego wyboru i preferencji. Związek jest organizacją otwartą, ale nie przymusową — a jak pokazał czas — stowarzyszeniem potrzebnym środowisku i społeczeństwu.

Współczesny ZLP to nie ten sam związek, jakim był kilka lat temu. Konkluzja ta rodzi potrzebę poszukiwania odpowiedzi na pytanie, o nową rolę i funkcję związku. O tych problemach mówił m.in. Krzysztof Gasiorowski twierdząc, iż „załamał się model organizacji pisarskiej wywodzący się jeszcze z dwudziestolecia międzywojennego, zmieniło się także samo środowisko literackie”. To ostatnie widać wyraźnie przez przytaczanie danych liczbowych. W związku pojawiła się nowa generacja pisarska, to owa grupa 139 nowych jego członków i 113 kandydatów, przyjętych po reaktywowaniu ZLP. Wśród kandydatów i nowych członków wielką grupę stanowią pisarze urodzeni po wojnie. Te przemiany były środowisku potrzebne, można też mniemać, iż zachodził on będąc z pożytkiem dla literatury.

Zdolano odnowić szereg kontaktów ZLP z organizacjami pisarskimi innych państw, w tym w pierwszej kolejności ze środowiskami literackimi krajów socjalistycznych. Najlepiej — jak dotąd — współpraca układa się z pisarzami ze Związku Radzieckiego, CSRS, Bułgarii i Węgier. Trwają rozmowy o podpisaniu porozumień z organizacjami pisarskimi Jugosławii, Grecji, Szwecji, Wietnamu oraz Indii. Zdolano, jak widać, przełamać międzynarodową izolację ZLP.

Na II Zjeździe ludzi pióra dyskutowano o wielu sprawach istotnych nie tylko dla środowiska pisarskiego. Stał się on przez to ważnym forum dyskusyjnym o wielu problemach ogólnospołecznych. Niewątpliwie jednak, co wydaje się być uzasadnione, w wypowiedziach skierowanych ze zjazdowej tribuny dominowały sprawy literatury i kultury.

W prognozach przedzjazdowych sceptycy domniemywali, iż zjazdową dyskusję zdominują kłopoty materialne i socjalne pisarzy. Przewidywania te nie sprawdziły się. Nie znaczy to, iż te istotne problemy zostały całkiem pominięte. Przypominając problemy drażliwe i sprawy bolące, podkreślano jednocześnie, iż szereg postulatów środowiska pisarskiego udało się władzom ZLP zrealizować. Między innymi wydanie przez Radę Ministrów rozporządzenia z 13 grudnia 1985 roku w sprawie zasad zawierania i wykonywania umów wydawniczych zakończyło trudny proces rewaloryzacji stawek autorskich. Nowa konwencja autorska przyjmuje zasadę, iż wysokość stawki podstawowej ustalać będzie co najmniej minister kultury i sztuki. Stawka ta na rok bieżący ustalona została w wysokości 21 tysięcy zł (jednakże tzw. widelki rzeczywistych honorariów wynosić mogą 50—100 proc. stawki podstawowej). K. Żygulski wyraził pogląd, że wspomniane rozporządzenie stwarza możliwość, aby średni dochód pisarza mógł wyraźnie przybliżyć się do poziomu średniej płacy krajowej.

Cytowane rozporządzenie ustala także, iż „okres przeznaczony na wydanie i przystąpienie do rozpowszechniania utworu nie może przekraczać trzech lat, licząc od dnia przyjęcia utworu przez wydawcę”. Czy uda się tego rodzaju rozporządzeniem skrócić niebywale dziś długi cykl wydawniczy? Sądząc, a pogląd mój nie jest odosobniony, iż rozporządzenie Rady Ministrów stanowi przede wszystkim impuls do energicznych poszukiwań rozwiązania sytuacji w polskiej poligrafii. Podobnie jak problemy zdrowia, oświaty i nauki jest to — wbrew pozorom — sprawa ogólnonarodowa, bolecząca dotykająca nas wszystkich.

W 1985 roku ukazało się 161 nowych tytułów książek i nie jest to bynajmniej powód do radości dla pisarzy i czytelników. W roku 1978 produkowaliśmy w kraju trochę ponad 4 książki na jednego statystycznego obywatela, w tym 1,4 to książki z dziedziny literatury pięknej. Aktualnie sytuacja się nieco poprawiła, bowiem produkcja książek wzrosła dziś do 6 egzemplarzy na mieszkańca. Pokrywa to zapotrzebowanie zaledwie w 60 procentach. A więc jak jest naprawdę? Wciąż bardzo źle, czy już nieco lepiej? I na

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błazewski,
Krystof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Piotrkowska 98.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach woję-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 2. dla indywidualnych
prenumerat: osoby fizyczne
zamieszkające na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 3. dla indywidualnych
prenumerat: osoby fizyczne
zamieszkające w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa
— Książka — Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawców do tego
zadanych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
„blankietu wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” 3. Prenumeratę ze zleceniem
wysyłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-958
Warszawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153 201045-
-139-11. Prenumeratę ze zleceniem
wysyłki za granicę pocztą zwykłą
jest droższa od prenumeraty
krajowej o 50 proc. dla zleceń
indywidualnych i o 100 proc. dla
zleceń instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumerat
na kraj i za granicę — do dnia
10 listopada na I kwartał i półrocz-
nie roku następnego oraz cały rok
następny — do dnia 1 każdego
miesiąca — poprzedzającego okres
prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 665. B-2.

2 ODGŁOSY

Ktoś powiedział, że chcąc zrozumieć
problemy ZSRR, należy pamiętać, że ma się
do czynienia nie tylko z największym państwem
świata, lecz z państwem z „kontynentem” i
sprawami na miarę kontynentu. Przypomnijmy
wtedy, że obszar ZSRR jest dwukrotnie większy
od całej Europy, większy od Ameryki Połu-
dniowej, niewiele mniejszy od Ameryki Półno-
cznej i Środkowej. Jednakże — uważa — aż 48
proc. tego ogromnego terytorium obejmuje
strefa zmarzliny (80 proc. Syberii). W Związku
Radzieckim mieszka 275 mln. ludzi należących
do ponad 100 narodów i narodowości. Rosjanie
stanowią 52 proc. ogółu obywateli, Ukraińcy —
16 proc., Uzbeki — 4,7 proc., Białorusini — 3,6
proc., Kazachowie — 2,5 proc., Tatarzy — 2,4
proc., Azerbejdżanie — 2,1 proc., Ormianie —
1,6 proc., Gruzini — 1,4 proc., Mołdawianie —
1,1 proc., Tadżycy i Litwini — po 1,1 proc. A
udział pozostałych grup etnicznych nie prze-
kracza 1 proc. Według spisu ludności z 1979 r.
Polaków było 1 mln. 151 tysięcy.

W kraju o tak zróżnicowanych warunkach
geograficznych i kulturowych na pewno nie
jest łatwo rozwiązywać całokształt kwestie roz-

woju i postępu. Trudno w sposób integralny
odpowiadać na skomplikowane wyzwania
współczesnego świata. Najtrudniej zaś stwo-
rzyć nowy paradygmat rozwojowy w ramach
sprawdzanych wciąż praktycznie zasad ustro-
jowych. I to sprawdzanych — dodajmy — w
okolicznościach wybitnie nie sprzyjających.

W nadchodzących latach 12 pięcioletki (1986—
—1990) ma przede wszystkim nastąpić zwię-
kszenie tempa i efektywności rozwoju gospo-
darki poprzez unowocześnienie produkcji oraz
udoskonalenie systemu funkcjonowania. Przy-
rost dochodu narodowego ma się odbywać z
szybkością 3,5—4,0 proc. rocznie. W tym celu
zakłada się wzrost udziału funduszu akumulacji.
Inwestycje produkcyjne mają przyspieszać w
tempie do 25 proc. — wobec 15 proc. w po-
przedniej pięcioletce.

Kurs na przyspieszenie

Działacze radzieccy chętnie dokonują porów-
nań ze Stanami Zjednoczonymi. Wynika z nich
między innymi, że w 1913 r. wydajność pracy
w przemyśle Rosji wynosiła zaledwie 11 proc.
poziomu USA, w 1950 r. wzrosła w ZSRR do
30 proc., a obecnie przekroczyła 55 proc. W la-
tach 1951—84 średnie roczne tempo przyrostu
wydajności pracy było trzykrotnie wyższe od
dynamiki amerykańskiej. Natomiast w ciągu
najbliższych 15 lat przewiduje się zwiększenie
wydajności pracy w skali całej gospodarki ra-
dzieckiej 2,3—2,5 raza. Zadaniem strategicznym
jest osiągnięcie najwyższego poziomu światowe-
go.

W połowie lat siedemdziesiątych laureat Na-
grody Nobla, Leonid Kantorowicz, następująco
scharakteryzował uwarunkowania modelowe ekono-
miki radzieckiej: „Klasyki nie zostawili
dokładnych recept. Wypadło więc tworzyć pro-
totyp nowej gospodarki z chaosu pojęć i rze-
czy. Wojna domowa, potem napięcia społeczne
okresu pięcioletek nie były dobrym tłem dla
rozwoju systemowych. Nadeszły potem
śmiertelne zmagania z potęgą hitlerowską, wy-
rządzonego okresu odbudowy i strachu zimnej
wojny. Wszystko to nie sprzyjało eksperymentowi
czy nawet rozważaniom doktrynalnym. Nadto
przez te wszystkie lata praktyka gospodarcza
uginęła się pod ciężarem priorytetów
pozaekonomicznych: przede wszystkim
obronnego, potrzeb prestiżowych a także pomo-
cy dla zagranicy. Trudno jest zastąpić pierwotne
odruchowe rozwiązania dojrzałymi nie
tylko dlatego, że dawne nabrały tymczasem
kanonicznego dostojenia. Każda taka opera-
cja wymaga przebudowy całego układu zale-
żności gospodarczych”.

Nie można jednak zbyt długo odkładać ko-
niecznych reform. W ostatnich trzech pięciolet-
kach radzieckich notowano bowiem stopniowe
zwalnianie tempa rozwoju. O ile w ósmej pię-

ciolatce (1966—70) dochód narodowy wzrósł o
41 proc., to w następnych wskaźnik ten wyno-
sił kolejno: 28—21—17. W referacie na XXVII
Zjeździe KPZR premier Nikołaj Ryzkow pod-
kreślił, że w niedopuszczalny sposób zmalały
wymagania, dyscyplina, porządek, poczucie od-
powiedzialności. Zjawiskiem masowym stała
się praktyka korygowania planów, nastąpiło
odejście od bezwzględnej zasady, że plan jest
prawem i normą gospodarki socjalistycznej.
Pewne zmiany pozytywne dokonały się od 1983
r.; lecz nie zdołano zapewnić wykonania wszyst-
kich zadań planu pięcioletniego. Zbyt dużo już
nagromadziło się niedociągnięć.

W przemówieniu końcowym na XXVII Zjeź-
dzie Michail Gorbaczow stwierdził: „Tak, to-
warzysze, przyspieszenie, radykalne przemiany
we wszystkich sferach naszego życia, nie są
zwyczajnym hasłem, lecz kursem, którym par-
tia pójdzie nieugięcie i konsekwentnie. (...) Pra-
gnę was zapewnić, towarzysze, że Komitet Cen-
tralny będzie zdecydowanie usunąć wszystkie
przeszkody na drodze do przyspieszenia postępu
społeczno-gospodarczego, będzie umacniać dys-
cyplinę i porządek. Tworzyć przesłanki orga-
nizacyjne, moralne i materialne wszechstron-
nego rozwoju twórczości, śmiałych poszukiwań,
socjalistycznej przedsiębiorczości”.

E. L.

Przegląd prasy

Pamiętam ten dzień, gdy
świat obiegła wiadomość, że
w ZSRR wyszła pierwsza
sztuczna satelita Ziemi —
sputnik. A później była Ka-
jka i wreszcie pierwszy czło-
wiek — Jurij Gagarin — po-
szybował w kosmos. Ludzie sta-
wali zaskoczeni i mimo woli
głowy podnosili do góry, pa-
trzyli w niebo, jakby mogli do-
strzec ten okruszek metalu przez
innych ludzi zawieszony w ko-
smicznej przestrzeni, w któ-
rym był pierwszy człowiek —
kosmonauta. A później ludzie
ładowali na Księżycu. I tak
powoli przywykliśmy do tego,
że człowiek nauczył się poko-
nywać przestrzeń kosmosu i
choć to dopiero początek drogi
— jakoś już nam to pozna-
wanie kosmosu zaczęło po-
wodzić.

Tysiące lat kometa Halleya
krąży wokół Słońca, ale po raz
pierwszy człowiek wysłał na jej
spotkanie skonstruowane
przez siebie maszyny, aby za
ich pośrednictwem przyjrzeć się
resztkom kosmicznego tworzy-
wa, z którego miał powstać
Układ Słoneczny, a my jakoś
spokojnie przechodzimy koło tego,
jakby to było... normalne.
„ZYCIE WARSZAWY” (nr 56
z 7 marca 1986 roku) wido-
mość o tym, że radziecka son-
da kosmiczna WEGA 1 przeleciała
przez głowę komety zamiesz-
czącej u dołu pierwszej
strony tuż obok informacji o tym,
że „topnieje śnieg”. Nor-

malka. Zwykle życie. W War-
szawie obraduje III Kongres
Nauki Polskiej. Odbędzie się po-
siedzenie prezydium rządu.

Może to i dobrze, że wielkie
wydarzenia naukowe traktujemy
w sposób normalny, a może po-
 prostu nie jesteśmy w stanie
wyobrazić sobie, jak w bez-
kresnej przestrzeni Układu Sło-
necznego małe aparaty skonstru-
owane przez mieszkańców Ziemi
penetrują tajemnicze ciała
kosmiczne, które budzą grozę
i zapowiadają nieszczęścia. A
teraz traktujemy komety jak
coś normalnego. Można spoj-
rzeć na to optymistycznie, tym
bardziej, że jak pisał Andrzej
Bajorek we wspomnianym „Ży-
ciu Warszawy” realizacja wy-
praw WEGI 1 i WEGI 2 „jest
budzącym przykładem efektyw-
ności pokojowej współpracy
uczonych różnych krajów
Wschodu i Zachodu w kosmo-
sie”.

Sondy kosmiczne pokonują
przestrzeń kosmiczną, poznają
tajemnice kosmosu, a my mu-
simy nie tylko pracować, ale
i po pracy odpoczywać. Jedni
chodzą na spacer, gdy jest po-
godą, inni czytają, jeszcze inni
się uczą, chodzą do kina, tea-
tru, a kto może i ma ochotę
siada przed telewizorem i oglą-
da „Studio 1”. Ta audycja te-
lewizyjna spotkała się ostatnio z
wieloma krytycznymi wypowied-
ziami i wzięła ją na kiel
felietonistów. Piotr Radziszewski
niechętny stosunek do „Studio
1” wzięt za punkt wyjścia w
rozmowie z szefem tej telewi-
zyjnej audycji Markiem Jęfremien-
ką. Rozmowa ukazała się
w 10 numerze „PRZEGŁADU
TYGODNIOWEGO” z 9 marca
1986 roku pod tytułem: „Nie
odpowiadam na zaczepki”.

Jest to dość dziwna rozmo-
wa, gdyż Piotr Radziszewski
„czepia się” twórców i wykona-

wców „Studio 1”, a Marek Jęfremien-
ko, że „Studio 1” to program
dla wszystkich, bo ogląda go
około 12,5 miliona widzów, a
więc musi być do wszystkich
adresowany. Każdy musi w nim
coś znaleźć dla siebie. Ekipa
„Studio 1” nie może więc być
z siebie zadowolona i
musi stale poszukiwać. Ale to
jest zasada, która powinna ob-
owiązywać każdy zespół nie
tylko „Studio 1”.

I rację ma Marek Jęfremien-
ko, że „Studio 1” to program
dla wszystkich, bo ogląda go
około 12,5 miliona widzów, a
więc musi być do wszystkich
adresowany. Każdy musi w nim
coś znaleźć dla siebie. Ekipa
„Studio 1” nie może więc być
z siebie zadowolona i
musi stale poszukiwać. Ale to
jest zasada, która powinna ob-
owiązywać każdy zespół nie
tylko „Studio 1”.

Niewątpliwą zasługą Piotra
Radziszewskiego jest to, że
możliwy poznać poglądy Mar-
ka Jęfremienki i plany udosko-
nalenia „Studio 1”. Życząc po-
wodzenia! Programy telewizyj-
ne powinno się robić dla ludzi,
a nie dla kilku znudzonych
cmokierów.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Granice ustępstw

Bywają bardzo zacietrzewieni antykomuniści i tacy, którzy ma-
ją nieco łagodniejszy stosunek do komunizmu. Chyba jednak
bardziej rozpowszechniony stosunek wyraża się w wymaganiu,
żeby w swoim programie komuniści wyrzekli się wszystkiego,
co ich różni od np. socjaldemokratów czy liberałów, czyli wa-
runkiem akceptacji istnienia komunistów przez ich wrogów by-
łaby całkowita rezygnacja z dążenia do socjalizmu, opartego na
marksistowskich założeniach.

Wprawdzie brzmi to absurdalnie, ale tak jest w rzeczywisto-
ści, kiedy ktoś powiada (jak ostatnio słyszałem), że uwierzyłby
w dobre intencje komunistów i słusność obranego przez nich
kierunku, gdyby nie upierali się przy społecznych środkach pro-
dukcji, odzegli publiczne od dyktatury proletariatu i wyco-
fali się z uznawania kierowniczej roli partii marksistowskiej w
ustroju socjalistycznym. „Bo jak nie pójdą na ustępstwa, to ni-
czego, bracie, nie zwojują” — zakończył wywód mój znajomy,
od którego jednak nie dowiedziałem się wobec kogo, wobec jakich
sił mają być w ogóle czynione te ustępstwa i komu miałyby
przypaść rola arbitra, rozsądzającego, czy komuniści na tyle do-
statecznie wyzbyli się swojej tożsamości społeczno-politycznej, że
można już się z nimi „dogadać”.

Prawdopodobnie mój rozmówca byłby entuzjastą „socjalizmu”,
w którym ziemia i lasy, kopalnie, koleje i banki stałyby się
własnością fabrykantów, obszarników i bankierów. W przeciwnym
razie będzie on wiedział, co należy o nas sądzić, o naszych
dążeniach i zasadach.

Przypisywanie jakiegokolwiek ruchowi umysłowemu czy politycz-
nemu zasad, których on nie wyznaje i nie mógłby wyznawać pod
groźbą samouniżczenia nie jest niczym nowym, wystarczy przy-
pomnieć sobie, jakie wyobrażenia panowały w pogańskim Rzy-
mie o pierwszych chrześcijanach, a później w chrześcijańskiej
już Europie na temat rozmaitych męczenników się „herezji”, ile by-
ło oszczerstw pomówień w środowiskach katolickich pod adre-
sem reformacyjnych i odwrotnie.

Można by z tego wywieść regułę, że nowe prądy, proponujące
gruntowniejsze przeobrażenia życia wyzwalają zawsze fałszywe
domniemania i posądzenia. A dlaczego? Ponieważ ludziom wy-
chowanym w pewnym światopoglądzie, wzrosłym w takiej, a nie
innej obyczajowości, wszystko co odmienne i nowe musi wydać
się podejrzanym, zwłaszcza, iż istnieje opór sił zagrożonych zmia-
nami. No, i często nie starcza ludziom woli i wyobraźni, żeby
najpierw zapoznać się z nową ideą, a później zastanowić nad
nią bez uprzedzeń.

Stąd tak łatwo przyjmowały się w przedwojennej Polsce fan-
tastyczne wieści o komunistach sprawujących władzę w Związku
Radzieckim, czy np. walczących z faszyzmem w obronie hiszpań-
skiej republiki, że ich szczególnym upodobaniem jest dzielenie
się żonami i beczczenie świątyni oraz niszczenie śladów
przeszłości, że specjalnym uwzględnieniem zabytów architektury
i sztuki. Faktem jest, iż taki obraz (w którym nie było miej-
sca np. na informacje o rewolucji oświatowej) utrwalany był
przez niezmiernie popularną literaturę brukowo-polityczną (np.
Breszko-Breszkowskiego) i funkcjonował nierzadko w umysłach
osób wykształconych.

Ale czemu przypisać balaamne poglądy na cele i dążenia so-
cjalizmu wśród dość licznych obywateli państwa socjalistycznego,
gdzie nie są to już pogawarki o żelaznym wilku, lecz o dotyka-
jącej przecież rzeczywistości? Dlaczego jedni potrafią odróżniać
program i realizację budowy socjalizmu od jego niedomagań i
wypaczeń, a inni śledzą tylko owe niedomagania i wypaczenia,
pokrzykując triumfalnie: „Patrzcie, jaki jest ten socjalizm”?
Wskazują przy okazji na spekulantów, malwersantów i obiboków
i inne osoby działające na szkodę socjalistycznego państwa i
społeczeństwa, będące w istocie obcym i wrogim ciałem a nie
podporą ustroju, co powszechnie wiadomo.

Czy taka demagogia jest zawsze kwestią osobistej nieuczciwo-
ści, czy owocem intelektualnego braku dyscypliny, czy przeja-
wem chorobliwego zaślepienia z powodu doznanych osobistych
zawodów i przykrości, zawiedzionych nadziei i ambicji? Nie mam
na to, oczywiście, gotowej odpowiedzi, ale uważam, że sprawa
jest warta zastanowienia i nieustannej analizy, a w konsekwen-
cji działań wyjaśniających, stanowi bowiem, moim zdaniem, ja-
kąś niebagatelną część problematyki przedjudowej.

Są momenty, przyznam się, że skłonny byłbym przyjąć zapo-
miane już (m.in. wskutek powszechnej nieznajomości łaciny) o-
kreślenie używane przez Antoniego Słonimskiego pod adresem
ludzi o pewnym typie konserwatywnej umysłowości, na zasadzie
jakby wrodzonych predyspozycji, a brzmi ono: „Anima naturali-
ter endeciana” (Dusza z natury endecka). Nie, choćby lekko „rō-
żowe”, choćby tylko liberalizujące i libertaryńskie a nie dość na-
cjonalistyczne i zaściankowe, nie dość drobniomieszczackie i de-
wocyjne już oznacza dla owych ludzi szarganie narodowych
świętości i deprawację społeczno-patriotyczną.

Z tym rodzajem obskurantkiej mentalności zawsze będziemy
mieli do czynienia, opowiadając się za tym co nowe.

JERZY KWIECIŃSKI

Już za dwa tygodnie święteczny numer „Odgłosów”

- 20 STRON
- LICZNE ATRAKCJE
- REPORTAŻE ZAGRANICZNE I KRAJOWE
- SPORT
- HUMOR, ROZRYWKA

ZA TYDZIEŃ BLIŻSZE SZCZEGÓŁY.

NR 11 (1459), XXIX, 15 MARCA 1986 R.

— Sprawy omawiane na tak swanym łódkim, czyli XVI plenarnym posiedzeniu KC PZPR są nadal w centrum zainteresowania. Chodzi przecież o odbudowanie i utrwalenie robotniczego charakteru partii, jej wizeru i klasową robotniczą. Te sprawy, o których ciągle mówię, są i dyskusje, teraz przed X Zjazdem PZPR nabiorą szczególnego znaczenia.

— Ja też tak sądzę, ale byłoby błędem zainteresowania sprawami robotniczymi ograniczać tylko i wyłącznie do XVI Plenum KC, my na każdym plenarnym posiedzeniu KC mówimy również o sprawach robotniczych, o sprawach ludzi pracy. Stawiamy sobie przecież szereg pytań dotyczących naszej teraźniejszości, przyszłości i szukamy wspólnie odpowiedzi na te pytania. Czy postępy reformy gospodarczej jest wystarczający? Jak na to pytanie odpowiedzieć nie pytając o zdanie robotników, nie wysłuchawszy ich opinii? A sprawy budownictwa mieszkaniowego, postępu technicznego, trudności energetycznych. Jak o nich mówić nie słuchając opinii robotników? I tych, które padają na zebraniach, konsultacjach, na spotkaniach a również w listach. Po moim wystąpieniu na XXIII Plenum KC, dostałam mówić o realizacji uchwały XVI Plenum KC, dostałam ich wiele, co świadczy o zainteresowaniu tymi sprawami.

— Można wiedzieć, jakie to były listy?

— Różne. Niektórzy zgadzali się ze mną, inni to owo mieli mi za złe. Na przykład, chyba nie wszyscy zrozumieli, co powiedziałam między innymi na temat sprawiedliwości społecznej i naszego robotniczego stosunku do tych, którzy bez uzasadnienia korzystają z przywilejów pracowniczych.

— Co zarzucono?

— Zarzucono mi, że wypominam emerytom, że to my na nich pracujemy. A przecież to absurd. Nie takiego nie powiedziałam. Aż za dobrze wiem, że ludzie, którzy wiele zdrowia i siły oddali Polsce, socjalizmowi, pracując przez wiele lat, zasłużyli na uczciwą emeryturę i ta im się należy, a mimo to dziś wielu z nich żyje wcale nie w najłatwiejszych warunkach. Niekiedy — szczególnie, gdy są to osoby samotne — nawet i na granicy ubóstwa.

Zatem sprawą partii — robotniczej — przecież — jest zadbać o to, aby weterani mieli właściwe warunki życia. Myślę, że podjęte ostatnio decyzje przez Sejm PRL przyczynią się do poprawy ich sytuacji, choć może jeszcze nie w stopniu wystarczającym.

— Mam przed sobą tekst „Informacji o realizacji uchwały XVI Plenum KC”, jaki wydrukowała „Trybuna Ludu”. Oto, co zostało powiedziane: „...na straży sprawiedliwości społecznej musimy stanąć wszyscy, zwłaszcza robotnicy. Bo przecież wśród nas są zdrowi inwalidzi III grupy, my przebywamy wśród zdrowych na zwolnieniach lekarskich, my za nich i na nich pracujemy. To nie dzieje się przecież poza nami. Te wynaturzenia, niegodne robotniczego poczucia sprawiedliwości, powinniśmy konsekwentnie eliminować.” Tu chyba wyraźnie powiedziano o tych i tylko tych, którzy korzystają z pracowniczych przywilejów w sposób nieuzasadniony.

— Tak dosłownie powiedziałam z trybuny XXIII Plenum KC. I gdybym miała rozszerzyć ten temat, dodałabym, że w porównaniu z innymi krajami, w Polsce wciąż gospodaruje się mało efektywnie, rozrzutnie. U nas ciągle na jednostkę dochodu narodowego zużywamy się więcej niż gdzie indziej surowców, paliw i energii. Wnioski z tego chyba nasuwają się same. Nie wspominam przy tym, że wykorzystanie czasu pracy, to nadal jedna z naszych ogromnych rezerw do wykorzystania. Taką jest rzeczywistość i konieczność zarazem. Weszliśmy bowiem w pięćdziesiąt, w której jak w żadnej innej, będziemy mieli dwa wyzwy, którym trzeba będzie zapewnić określone warunki życia. Pierwszy — to młodzież. Patrzymy na młode pokolenie z radością, ale i ze świadomością kłopotów. Każdy nowy obywatel, to konkretne potrzeby, które zaspokoić musi gospodarka. Mówiliśmy o tym szeroko na XXIV Plenum KC.

I drugi wyz — to ludzie w wieku poprodukcyjnym. Też mają swoje potrzeby, wymagania. Należy im się opieka ze strony społeczeństwa, za to, co dla tego społeczeństwa zrobili. Mamy wobec nich dług, który musimy spłacić. A możliwości są określone i wcale nie takie, jakie byłbyśmy chcieli, aby były i nie takie jakie są społecznie oczekiwane.

— Czy u nas przypadkiem nie więcej uwagi zwraca się na to, jak dzielić, zamiast na to: co dzielić?

— W wielu przypadkach — tak jest rzeczywistość, ale występuje to w większości u jednostek, choć czasami również i u całych grup. Myślę jednak, że czas w jaki weszliśmy — czas przygotowań do X Zjazdu PZPR — zawołuje innym sposobem myślenia. Takim, który sprzyjałby, aby dom, w którym wspólnie mieszkamy, poprzez wydajniejszą pracę, uczynić zasobniejszym, nowocześniejszym, a przede wszystkim bezpieczniejszym.

Projekt programu partii kreśli taką wizję. Jest to nasza szansa, którą winniśmy wykorzystać. Nie sposób bowiem spełniać ambicyjnych planów polityki społecznej, nie sposób zaspokajając stale rosnących potrzeb bytowych i społecznych obywateli bez stałego wzrostu i rentowności produkcji. Jest ona źródłem dochodu, który chcemy sprawiedliwie dzielić. Zresztą można już dostrzec pozytywne zjawiska w społecznej świadomości. I jest to niewątpliwie wynik edukacji ekonomicznej.

— Ale zdarza się, że jest to jeszcze edukacja dość jednostronna. Często nie niweluje partykularizmu, braku umiejętności godzenia interesu własnego, grupy zawodowej, zakładu pracy, środowiska z interesem całego społeczeństwa, albo powoduje to, ale w sposób niedostateczny.

— Rzeczywiście — zdarza się i tak, ale jest to zjawisko szersze. Poprzez liczne spotkania w zakładach pracy, mam stały kontakt z robotnikami i wynikające stąd obserwacje. Ot — weźmy choćby taki przykład.

Jeden z zakładów przemysłu obuwniczego chciał zrezygnować z produkcji obuwia robotniczego, na które, jak wiadomo, są ceny urzędowe, na korzyść obuwia luksusowego, gdzie

są ceny umowne. Czym to było podyktowane, nie muszę tu mówić.

Inna znów spółdzielnia szyje jako produkt uboczny firanki z flanelki do kuchni (za 3.500 złotych — przez nich wycenione). W rozmowie z kobietami w tej spółdzielni, gdy dyskusja zeszła na temat cen, usłyszałam, że ceny są za wysokie i dlatego ja, będąc tam „na gorze”, temu się nie sprzeciwiam.

Pewnie, że ceny rosną i że jest drogo — to fakt. Ale czy o tym zawsze i tylko decyduje „gora”? Przecież często sami producenci ustanawiają wysokie ceny na własne towary. I tak było w tym przypadku. I nikt z członków załogi nie kwestionował, że może to jest za wysoko ustalona cena.

Więc jak to jest? Jeżeli ja ustalam wysokie ceny (w domyśle — zakład, przedsiębiorstwo), to wszystko w porządku, a jeśli inny producent zrobi to samo, to źle, to skandal? Coś to nie tak.

Choć prawdą jest — jak często wykazują kontrole przeprowadzane przez NIK czy Inspekcję Robotniczą-Chłopską — że w kwestii cen wiele jest nieprawidłowości, z którymi cała partia powinna podjąć zdecydowaną walkę.

— W tej walce zaczynać trzeba od siebie, czyli od najbliższego otoczenia.

— Tak. Krytykując trzeba zaczynać przede wszystkim od siebie. Tylko, że to takie trudne. O ile łatwiej jest wykazać kolegom z sąsiedniego zakładu, że na przykład knocą produk-

Nadajmy nowy blask pojęciu robotniczy honor

Rozmowa z członkiem Biura Politycznego KC PZPR — ZOFIĄ GRZYB.

— cję, a o ile trudniej wykazać to samo u siebie. Potrafimy być bardzo krytyczni — i to dobrze — ale jakże często jesteśmy pobłażliwi dla kolegi, który się „urwał” z pracy na piwko, dla koleżanki, która „wyskoczyła do koleżki”, bo akurat przywieźli atrakcyjny towar. No cóż, więzy koleżeństwa zobowiązują. Uelastyczniamy więc swoje zasady etyczne, wreszcie niestabilny rynek zmusza do różnych rzeczy. Również do tego, że bez żenady kierujemy się na pobliską budowę, gdy zabraknie nam kilka kilogramów cementu. Przechodzimy obojętnie obok sąsiada, który wykręca żarówkę w klatce schodowej, bo mu się w żyrandolu przepaliła. Ale gdy wbijając gwoździe w ścianę odpadnie nam połowa tynku, wpadamy w gniew. Kliemy na nieuczciwego murarza, że sprzedał „na lewo” cement, piaskiem chrzącząc nadmiernie zaprawę. Potępiamy, wołamy o surowe kary — żądamy ukroczenia nieuczynnych praktyk. Od kogo żądamy? Od tych z „góry” i od tych z „boku”. To oni powinni przezwyciężyć zło, załatwić za nierzobą prostą sprawę, z którą on młótni od tygodni. Chętnie też krytykujemy sprawy ogólne. Władzę za nieprzemyślane decyzje, urzędy za biurokrację, bezdusność, handel za niesprawność, komunikację itd. Nie twierdzę, że to jest krytyka niesłuszna i nieuzasadniona. I wcale władzy nie bronie, gdy podejmują błędne decyzje. Ale nie ludzimy się, że władza rozporządzeniami, zarządzeniami wszystko załatwi, jeśli my nie zespólnimy się we wspólnym działaniu przeciw społecznemu złu i to przede wszystkim we własnym środowisku.

— A może staliśmy się zbyt wygodni. Chcemy, aby przede wszystkim był spokój, abyśmy my mieli ten spokój. Jak to zmienić?

— Trzeba powrócić do tego, co kiedyś nazywało się robotniczym honorem. Robotnik dumny był ze swej pracy i dbał o to, aby złą pracę nie naruszyć swego honoru, aby ktoś mu nie powiedział, że jest partaczem. To była ciężka obraza. Do takiego rozumienia dumy robotniczej trzeba wrócić.

— Ale czy to jest możliwe?

— Dlaczego miałoby być niemożliwe? Proszę przyjrzeć się faktom. Oto Stołeczny Ośrodek Kształcenia Ideologicznego przeprowadził badania socjologiczne wśród robotników. Wybrano tysiąc robotników z 10 fabryk w wieku od 30 do 49 lat, czyli ludzi w najlepszym okresie życia. Jakże mają oni wykształcenie? Otóż 42 procent spośród nich ukończyło zasadniczą szkołę zawodową, 32 procent — technikum, 7 procent — liceum ogólnokształcące, 3 procent — studia wyższe, a 13 procent — tylko szkołę podstawową. Na XXIV Plenum KC powiedziano, że wykształcenie podstawowe jest już w zasadzie powszechne, a 97,1 procent absolwentów szkół podstawowych kontynuuje naukę, w tym 53,6 procent w szkołach zawodowych. Mamy więc wykształconą klasę robotniczą.

Jak wynika z warszawskich badań 62 procent ankietowanych robotników wywodzi się z rodzin robotniczych, a 11 procent z rodzin chłopskich. I w jednych, i w drugich rodzinach do tradycji należy szacunek do pracy. Chodzi tylko o to, aby umieć przekazać go młodszemu, aby dom i szkoły zjednoczyły się w trudzie kształtowania tego szacunku do pracy i jej rezultatów.

W czasie obrad XXIV Plenum KC PZPR wiele powiedzieliśmy sobie na ten temat. Jest prawdą, że w minionym czterdziestolecu wiele uczyniono w dziedzinie oświaty i wychowania. Bilans wypadby tu dodatni. Ale jest też prawda, że nie wolno nam stać w miejscu, że już dziś musimy kształcić młodzież dla przyszłych potrzeb. Dokonuje się przecież rewolucja naukowo-techniczna, zbliża się XXI wiek. Młodzi ludzie, dziś ucząc się, muszą zobaczyć swoje miejsce i rolę w przyszłości, kiedy technika i nauka będą odgrywały decydującą rolę. Polska nie może pozostać w tyle za dokonującym się na świecie postępem. Trzeba umieć młodym pokazać tę perspektywę. Mam nadzieję, że dyskusja przed X Zjazdem PZPR będzie w tym wielce pomocna.

— Ale musi też istnieć zgodność między pracą i płacą. Młodzi zbytnio przywykli do tego, że coś im się należy, że to coś wcale nie musi zależeć od wkładu ich pracy.

— Czy tylko młodzi? I kto ma to zmienić? Samo się przecież nie zmieni. To od nas zale-

ży. Duża tu jest rola, duża zadania organizacji partyjnych. Jednak tę rolę i te zadania organizacje mogą spełniać tylko wtedy, jeśli są silne, jeśli konsekwentnie realizują swoje postanowienia, jeśli mają szacunek i autorytet wśród załogi.

Proszę się jednak uważnie przypatrzeć niektórym organizacjom partyjnym. Bywa, że pracują one posługując się głównie aktywnością, czyli tylko częścią swoich członków, tylko przy wysiłku tych najbardziej ofiarnych i aktywnych. Poza gronem tych aktywnych pozostaje często wielu robotników. To nie jest naturalna sytuacja. Zawiera się w niej jedna z wielkich rezerw, które ciągle pozostają do wykorzystania.

— W sprawozdaniu z realizacji uchwały XVI Plenum KC PZPR powiedziała Towarzyszka, że na wzrost robotniczego trzonu w szczeblowej organizacji partyjnej pracowało tylko 50 procent organizacji partyjnych. A przecież w tej drugiej połowie organizacji mogło nie być wielkich rezerw, mogły to być małe organizacje partyjne, które nie mają dużych możliwości zwiększenia w swoich szeregach liczby robotników.

— Oczywiście. Przede wszystkim w tym, co wówczas powiedziałam, nie było żadnych krytycznych akcentów. To nie była krytyka szczeblowej organizacji. Na tym przykładzie chciałam jedynie zasugerować wszystkim pozostałym potrzebę dokonania rzeczowej analizy. Przypa-

trzymy się — w myśl tego, że trzeba wszystko zaczynać od siebie — dlaczego jedyną rosnącą szeregą i do partii przychodzą robotnicy, a w innych organizacjach taki proces się nie dokonuje. Od czego to zależy?

— No właśnie, od czego?

— Proszę nie wymagać ode mnie gotowej odpowiedzi. Na to pytanie musi sobie odpowiedzieć każda organizacja partyjna.

— Ale przecież jakaś prawidłowość istnieje?

— Owszem, istnieje. Można to tak ująć najprościej: gdzie praca organizacji partyjnej jest niemierna, tam ludzie nie będą przychodzili. Gdzie organizacja nie podejmuje walki ze złem, z marnotrawstwem, bałaganem, lenistwem, brakiem kompetencji, wygórowanym biurokracją, tam organizacja partyjna nie ma autorytetu i ludzie się do niej nie garną. Również robotnicy. Jeśli się dobrze rozejrzeć, to wszędzie można dostrzec jakieś rezerwy.

— Rezerwy — znów pada pojęcie, a przecież jest ono dość szerokie, a przez to mało precyzyjne.

— Dlaczego? Jeżeli rezerwy pojmujemy się bardzo ogólnie i szuka się ich przede wszystkim u innych, to może to wydawać się mało precyzyjne. Jeśli jednak poszukujemy ich u siebie, uważnie przyjrzyj się swojej pracy, pracy swoich współpracowników i swojego środowiska, to są one bardzo konkretne i wyraźne. Potrzeba tylko odważyć, aby je nazwać i pokazać.

— Na ogół uważa się, że robotnicy są odważni, że w sposób szczerzy i otwarty mówią o niedociągnięciach, występujących nieprawidłowościach. W działaniu Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej na przykład robotnicy — przy pomocy specjalistów od kontroli — ujawnili wiele rażących niedociągnięć i ujawniają nadal.

— To prawda. Ja tego nie neguję. Ale — proszę pamiętać — że do tego, aby odważnie wystąpić przeciw istniejącemu złu w różnej postaci potrzeba też sprzyjającej atmosfery. To musi się wiązać z pracą całej organizacji partyjnej. Jeśli na przykład organizacja partyjna chce mieć „święty spokój” i ze wszystkimi „dobrze żyć”, to w takiej organizacji nie ma warunków dla odważnych wystąpień, dla bezkompromisowej walki ze złem. Poza tym nie wystarczy tylko nazwać zło po imieniu, trzeba też konsekwencji w jego skutecznym zwalczaniu, w usuwaniu przyczyn tego zła.

W tej walce sojusznikami organizacji partyjnych mogłyby być również samorządy pracownicze, organizacje związkowe, społeczne, techniczne, jak stowarzyszenia NOT.

Przede wszystkim jednak — i to jest najważniejsze — robotnicy powinni czuć się gospodarzami środowiska, dzielnicy, miasta. Dążyć do tego, aby rezultaty ich pracy i pracy innych były jak najwydajniejsze, korzystne i żebyśmy mogli przejść do życia coraz lepiej. Tak właśnie rozumiemy rezerwy, jakie mamy i jakie powinniśmy wykorzystywać.

— Upowszechnienie takiego poglądu wymaga jednak poważnych zmian w świadomości społecznej, w postawach. Ludzie przyzwyczaili się już do tego, że ktoś im mówi, że i tamto powinni zrobić, a nie oni. Nie liczą się z możliwościami, które są przecież ograniczone, chcą tylko, aby zaspokajać ich wygórowane niekiedy potrzeby. Nie dopuszczają myśli, że istniejące możliwości zaspokajania naszych potrzeb można zmienić jedynie pracą, własnym wysiłkiem, że nikt nie nam nie da za darmo i niczego za nas nie zrobi.

— To nie jest zupełnie tak, że ludzie przyzwyczaili się tylko żądać i nie liczą się z istniejącymi możliwościami. Jaki stosunek ludzie mają do wspólnych spraw, do państwa, uświadomili się najlepiej podczas kampanii wyborczej do Sejmu PRL, jak też w samym głosowaniu. Był to stosunek dojrzały, nacechowany odpowiedzialnością. Wynikała z niego troska o losy kraju, o jego przyszłość, a także akceptacja socjalistycznej drogi naszego rozwoju społecznego i gospodarczego.

Jeżeli weźmiemy te fakty pod uwagę, to można na ich podstawie dojść do wniosku, że w świadomości społecznej utrwała się przekonanie, iż przyszłość Polski rozgrywa się na płaszczyźnie gospodarczej i będzie zależała od te-

go, jak będziemy pracowali, jak potrafimy wykorzystywać te możliwości, jakie już posiadamy i te, które dopiero własną pracą sobie stworzymy.

— Dlatego ważna jest sprawa edukacji społecznej.

— Tak. Ważna jest sprawa edukacji szeroko rozumianej. Z inicjatywy partii powstały programy edukacji ekonomicznej, historycznej i prawnej. Są one wprowadzane w życie. Widać już tego pierwsze rezultaty, choć są one może jeszcze jednostronne, niepełne. Ale zmieniać świadomość społeczną nie jest łatwo. Potrzeba na to czasu. A my jesteśmy niecierpliwi. Ja to nawet rozumiem. Ale niech ta nasza niecierpliwość będzie inspiracją do działań przyspieszających czy wzmagających nasz postęp gospodarczy. I o tym musimy mówić, szczerze — niczego nie ukrywając, ale też niczego nie obiecyując, co nie jest możliwe. Obiecywać na ogół jest łatwo. Ale spełnić obietnice — dużo trudniej. Zresztą kłamstwo ma krótkie nogi. Dlatego czasem trzeba mówić prawdę wbrew ludzkim oczekiwaniom, bo nie możemy obiecywać więcej niż jesteśmy w stanie zrobić. A co zrobić? Co pilniejsze?

— Trzeba uczyć się trudnej sztuki wyboru?

— Tak właśnie uczyć się. To właściwe słowo. Nie tylko młodzież musi się uczyć. My dorosli również.

— Stworzono szeroki system oświaty dla dorosłych.

— Była o tym mowa na XXIV Plenum KC. Trzeba ten system doskonalić i poszerzać. Ale myślę też o nauce, jaka płynie z codziennej praktyki.

Czy na przykład wielu robotników nie ma różnych nowatorskich rozwiązań, które mogłyby się przyczynić do lepszej gospodarności w wielu przedsiębiorstwach. Tylko trzeba wyjść im naprzeciw. Trzeba stworzyć warunki sprzyjające nie tylko nowatorskim rozwiązaniom, ale także lepszemu wprowadzaniu postępu technicznego, zmniejszeniu pracochłonności, a zarazem większej robotyzacji.

— Takie rozwiązania niosą z sobą również poprawę warunków pracy.

— Tak. O tym nie wolno zapominać. To bardzo ważna sprawa, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę bezpieczeństwo wśród maszyn i urządzeń, przy których pracujemy. Ale tu niewiele osiągnęliśmy bez pomocy konstruktorów, którzy swoją uwagę muszą skupić nie tylko na tym, jak zwiększać wydajność pracy, ale także, jak zmniejszać hałas i wibracje — plagi XX wieku. Nie mówiąc już o tym, że w technice i technologii nastąpiły ogromne zmiany, stosuje się dziś wiele różnych środków chemicznych, które mają ujemne działania uboczne, często szkodliwe dla zdrowia. Trzeba szukać sposobów likwidacji tych działań. A więc w sumie musi powstać wspólny front działań dla instytucji naukowych, konstruktorów z biur projektowych, wynalazców czy racjonalizatorów.

— Po XVI Plenum KC PZPR dało się słyszeć takie opinie, że miało ono charakter anty-inteligencji.

— Nic błędniejszego. Jeśli takie opinie były — to nie mówił tego przyjaciel.

Jak ogromna jest rola inteligencji w państwie socjalistycznym mówiono na XIX Plenum KC.

Inteligencja jest sojusznikiem klasy robotniczej. Tak to rozumiemy. Rolę inteligencji rozumiemy jako organizatora produkcji, organizatora życia społecznego. Są to twórcy kultury, organizatorzy czasu wolnego, nauczyciele i wychowawcy młodego pokolenia. Z tym, że inteligencja nie może działać w oderwaniu od klasy robotniczej. Ignorując jej oczekiwania, aspiracje i potrzeby. Inteligencja wyrasta z klasy robotniczej, musi być z nią ściśle powiązana w budownictwie socjalizmu w Polsce.

— Ostatnio wiele się słyszy o kulturze robotniczej.

— To dobrze, bo jest to ważny temat, którego nie wolno nam zaniedbać. Chodzi przede wszystkim o to, aby rozbudzić wśród robotników, wśród młodzieży robotniczej szersze zainteresowania kulturą. Ale też i chodzi o to, aby jednocześnie stworzyć warunki dla kulturalnej aktywności robotników, aby nie byli tylko biernymi odbiorcami.

— W tej dziedzinie były bogate tradycje. Istniało wiele, i istnieje jeszcze, zespołów, które zdobyły sobie nawet międzynarodową sławę i uznanie.

— Wracamy znów do spraw świadomości, a także do spraw oświaty. W rodzinach inteligentnych istnieją większe możliwości wyrobienia u dzieci zainteresowania sprawami kultury. Szkoła, placówki kulturalne, organizacje młodzieżowe powinny przysiąc z pomocą w wyrównywaniu tych dysproporcji u młodzieży robotniczej i chłopskiej. Jest tu duże pole do działania także dla zakładów pracy. Na początku lat osiemdziesiątych wiele zakładów pracy zrezygnowało, pod różnymi naciskami, z finansowania działalności kulturalnej. Dziś powoli wraca się do tego. Zresztą zadania zakładów pracy w upowszechnianiu kultury określa ustawa w tej sprawie podjęta przez Sejm. I organizacje partyjne, związkowe i młodzieżowe powinny nie tylko żądać spełnienia tych zadań, ale i same inspirować działalność kulturalną wśród załóg. Tych bogatych tradycji nie można zmarznąć. To jest ogromna praca, która trzeba koniecznie wykonać. Z tym, że w żadnym wypadku nie chodzi o jakąś zamkniętą działalność tylko dla robotników. Chodzi jedynie o to, aby robotnicy mogli w pełni korzystać w różnych formach, i poprzez różne sposoby, z dóbr kultury narodowej. Zresztą wielu twórców wyrosło ze środowiska robotniczego, byli kiedyś robotnikami i nadal utrzymują dobre kontakty z tym środowiskiem. Byłoby pożądanym, żeby w tym środowisku szukali twórczych inspiracji.

Rozmawiał: LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Rozmowa z tow. Zofią Grzyb ukazuje się jednocześnie we wrocławskim tygodniku „Sprawy i Ludzie”.

...Być wolnym i niepodległym. Swojej wolności strzec i bronić do ostatniego tchnienia. A gdy się ją utraci, toczyć o nią przez pokolenia, przez stulecia...

ANDRZEJ STRUG

Kondukt żałobny, który 11 grudnia 1937 roku przeciągnął ulicami Warszawy, miał charakter zdecydowanie niecodzienny. Za wiezioną na armatniej lawecie, poprzedzaną szwadronem szwoleżerów trumną, kroczyli członkowie rządu i generałowie, działacze partyjni często przeciwnych orientacji politycznych, ludzie nauki i sztuki, przedstawiciele mniejszości narodowych, robotnicy i chłopci. Cały naród — jakże wówczas konfliktami wewnętrznymi rozdarty — z żalem głębokim żegnał jednego z wybitnych swych synów — nieugiętego bojownika o niepodległość, ulan Beliny, wybitnego działacza społecznej lewicy i równie wybitnego pisarza — Andrzeja Struga.

Najbardziej powściągliwie zachowała się sanna. Wzięli wprawdzie udział w pogrzebie niektórzy członkowie rządu, ale jako osoby prywatne, dawni legionowi towarzysze broni. Oficjalny przedstawiciel władz, wiceminister wyznał religijnych i oświecenia publicznego — Aleksandrowicz, przemówił w sposób bardzo oficjalny. W konduście żałobnym niesiono wieniec

raz pierwszy Tadeusz Gałęcki pseudonimu Andrzej Strug. Nawiąsałem mówiąc, wziął się ten pseudonim z faktu, iż we dworze Gałęckich służył stary wóznica o tym imieniu i nazwisku, opowiadający chętnie i często bajki małemu Tadeuszowi.

Szczególnie interesowała Andrzeja Struga ekonomia polityczna. W latach 1903—1904 uczęszczał na wykłady prowadzone przez Stanisława Grabskiego i niewątpliwie miało to wpływ na opracowywany w dużym stopniu przez Struga partyjny program rolny.

W Krakowie mieszkał Andrzej Strug na ulicy Retoryka i częstymi gośćmi w jego domu byli Józef Piłsudski, Leon Wasilewski i wielu innych. W krakowskiej organizacji PPS, gdzie podjął aktywną działalność, zaczął szczególnie interesować się kwestią wiejską, co przejawiało się we współpracy z wydawaną przez PPS „Gazetą Ludową”, której program Strug zresztą oceniał krytycznie.

Rok 1904 i wybuch wojny rosyjsko-japońskiej zmógł nastroje niepodległościowe i rewolucyjne. Japonia osłabiająca carski despotyzm stała się dla nich naturalnym sojusznikiem Polaków. Takie nastroje powstały i w PPS, a jednym z podpisanych na liście z gratulacjami dla dowódców japońskiej armii był Andrzej Strug.

Kiedy coraz bardziej stawało się oczywiste, że zbliża się rewolucja, dla omówienia sytuacji, ustalenia programu wobec przewidywanych wydarzeń zwołano w Zakopanem konferencję

ny i skazany na zesłanie do Wiatki, którą to karę zamieniono mu na przymusowe opuszczenie Rosji. Wyjechał do Paryża i tam na obczyźnie podjął decyzję o zerwaniu z PPS-Lewicą. Przyczyna była następująca: partia ta zbliżyła się mocno do SDKPiL i na zjeździe w Cieszylinie usunięto z programu sprawę niepodległości Polski.

Po wystąpieniu z PPS-Lewicy zgłosił Strug swój akces do Frakcji Rewolucyjnej. Jej programu także w wielu punktach nie akceptował, ale znajdował w nim to, co uważał za najważniejsze — postulat Polski Niepodległej.

A tak naprawdę, to raczej miał chęć jeden z jego przyjaciół Józef Ciągłiński, który uważał, że „w ścisłym znaczeniu Strug nigdy nie należał do jakiegokolwiek ideologicznego, ściślejszej grupy w partii, a szedł zawsze luzem, co wynikało z jego wybitnej indywidualności.”

Był Andrzej Strug człowiekiem wyjątkowej prawości i głębokiej ideowości. Dlatego właśnie przeciwstawiał się kierownictwu partii, które mszcząc się za wytykanie racjonalistycznych tendencji oskarżyło Marcina Kacprzaka, że jest carskim prowokatorem. Był to pierwszy poważny spór Andrzeja Struga z J. Piłsudskim. Okazało się, że miał rację. Kacprzak broniąc tajnej drukarni, zanim zapłacił za to życiem, strzałami do carskich policjantów, rozpoczął burzliwy okres rewolucji na ziemiach polskich.

Nadzieje jakie pokładał Andrzej Strug w rewolucji 1905 roku, swój w niej udział oraz szacunek i głębokie uznanie dla podejmujących nierówny bój rewolucjonistów — wszystko to zawarł w książkach stanowiących świadectwo jego talentu i ideowości. Były to: „Dzieje jednego pocisku” i „Ludzie podziemi”.

ULAN BELINY

W okresie poprzedzającym wybuch wielkiej wojny Andrzej Strug przeniósł się do Galicji. Raz jeszcze zawierzył Józefowi Piłsudskiemu, że dąży on do niepodległości i reform społecznych. Włączył się w działalność Związku Strzeleckiego i mimo złego stanu zdrowia uczestniczył w strzeleckich ćwiczeniach przeprowadzanych w podkrakowskich miejscowościach. Gdy rozpoczęła się I wojna światowa Andrzej Strug przyjął mundur i wyruszył na front jako trzynasty ulan późniejszego I pułku ulanów Beliny-Pruznowskiego.

Nie walczył długo. Stan jego zdrowia uległ stałemu pogorszeniu, w listopadzie 1915 roku rochorował się ciężko na febrę i po kilku miesiącach powolnego dochodzenia do zdrowia musiał opuścić legionowe szeregi.

Szukając przyczyn tej decyzji, obok tej wyżej podanej, bezdyskusyjnej zresztą, może i należałoby zastanowić się nad tym, co w swoim wspomnieniu o Andrzeju Strugu napisał w 1938 roku profesor Władysław Gimpowicz: „Stawsz się żołnierzem, Strug ani na jeden dzień nie uległ złudzeniom militarystycznym. Widział piękno poświęcenia żołnierskiego, ale widział także zgrozę wojennej doli cywilów. Po ciągłym patrzeniu wzrokiem bystrym a wrażliwym na cierpienia bezbronnych, zapewne sprawiło, że Strug na dłuższy czas musiał się wycofać z frontu z powodu wyczerpania serca — tego wielkiego serca, które każdą ludzką krzywdę odczuwało jak swoją.”

Czas walki był dla Andrzeja Struga krótkim, ale jakże ważnym fragmentem życia. W momencie przywdziania szarego munduru, przypięcia do czapki srebrnego orzełka, kończył się dla niego nienawistny czas zaborów, a zaczynała się Polska. Polska jeszcze nie odrodzona, ale z każdym tygodniem, z każdym dniem — także przez narodowy czyn orężny — bliższa swego zmartwychwstania.

Wierzył Józefowi Piłsudskiemu. Wierzył, że wkraczających do Królestwa polskich żołnierzy powita powstanie narodowe. Zawiodł się boleśnie i dał temu wyraz w swojej pięknej książce-pamiętniku „Odnazka — za wierną służbę”. Jest w tej książce fragment dotyczący odwiecznego młodzieńczego, po zdobyciu Łodzi w domu swej cioci bliższej mu zawsze i serdecznej:

„Wchodzi do pokoju ciocia, ta sama dobra i kochana ciocia Joasia, rodzona siostra nieboszczki mamy i staje za to tragiczna, jak jakiś stęp soli. Nawet się nie wita, tylko krzyczy na mnie obcym głosem — hańba! podłość! zdrada!... Zaś wuj, stary i niesympatyczny adwokat nie nie mówi, tylko wyciąga jakiś papierek, bodaj dziesięć rubli” i podaje mu nie patrząc ręką wyciągniętą na cztery łokcie zupełnie tak jak to robią w teatrze w największym oburzeniu. I mówi: „masz i idź precz! Wracaj do swoich, tu jest polski dom!”

W 1917 roku udało się Andrzeju Strugowi przedostać do Warszawy okupowanej przez wojska niemieckie. Był to okres, gdy w PPS zaczęły występować kolejne rozbieżności i część działaczy nieustraszoną akcją listopadową z 1916 roku, zaczynała się domagać, aby partię centralnie wyprowadzili się za całkowitą niepodległością Polski.

Włączył się Andrzej Strug w działalność POW, ale przede wszystkim brał aktywny udział w pracy partyjnej, podejmując tematykę wiejską rozważając kształt przyszłej reformy rolnej. Redagować zaczął także pismo „Rząd i Wojsko”, a wszystko to czynił w nurcie koncepcji Józefa Piłsudskiego, którego nadal popierał uważając jego rezerwę w wysuwaniu demokratycznych postulatów za element taktyki, za chwilowy konieczny kompromis.

Kilka pierwszych miesięcy 1918 roku przeżywał Strug w Moskwie, gdzie z polecenia POW prowadził rozmowy z francuską misją wojskową. Początek listopada tegoż roku zastał go w Lublinie, gdzie w kierowanym przez Ignacego Daszyńskiego tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej otrzymał stanowisko wiceministra propagandy. Rozpoczął też pracę w wielkim przynależać trzeba stylu. W dziesiątkach odczytów na terenie niewielkiej wtedy jeszcze obszarem Polski Odrodzonej, z właściwą sobie żarliwością i z największym przekonaniem upowszechniał idee Manifestu Lubelskiego.

Tkwiać w strukturach władzy nie wiedział wtedy jeszcze, że wkrótce wobec tej władzy przyjdzie mu stanąć w opozycji.

C.D.N.
ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

Kultura to cel i siła rozwojowa socjalizmu

ze str. 1

te pytania poszukiwano odpowiedzi w dyskusji zjazdowej.

Przyszłość literatury nie mogła być rozpatrywana w oderwaniu od perspektywicznych prognoz polskiej kultury, a więc i sytuacji ogólnospołecznej i ekonomicznej kraju. Zjawiska kryzysowe w gospodarce musiały położyć się cieniem na kulturze. Nikomu jednak, szczególnie zaś pisarzom, nie może być obojętne to, jaki będzie rozmiar owych skutków kryzysu i kiedy kultura będzie miała szansę wyjść z owej „strefy cienia”. A przypomnijmy tylko, że regres w kulturze trwa co najmniej od 1978 roku, tak więc konsekwencje ujemne kryzysu dotknęły boleśnie kulturę już wówczas, kiedy kryzysu oficjalnie jeszcze nie było!

Troska o przyszłość literatury i kultury w ogóle nie jest tylko sprawą pisarzy, zmartwieńiem jednego środowiska, to powinność ogólnospołeczna. Przypomnijmy, że w uchwale programowego IX Zjazdu PZPR konstataowano:

„Kultura, oświata i nauka stanowią równocześnie cele i siłę rozwojową socjalizmu. Kultura bowiem jest sposobem a zarazem treścią życia narodu, określa wartości motywujące działalność ludzką”.

A o cóż jak nie o owe pozytywne motywacje nam dziś tak bardzo chodzi? Zatem każdy, najdrobniejszy nawet wysiłek społeczny w sferze kultury, to inwestycja dla przyszłości. Tak więc spierając się na II Zjeździe ZLP o sprawy literatury w gruncie rzeczy spieraliśmy się o przyszłość Polski. Owa przyszłość, perspektywa dla literatury w projekcie programu PZPR określona została następująco:

„Dążyć trzeba do podwojenia do końca wieku liczby wydawanych książek, zapewnić wysokie nakłady wartościowych a zarazem tanich książek”.

Z tym postulatem współbrzmiało wiele wypowiedzi, przyznawano jednak, iż jego realizacja będzie trudna, jeśli nie uda się zmienić poglądów wielu grup społecznych na potrzeby kultury.

II Zjazd ZLP wybrał także nowe władze, na ich czele stanął znany pisarz i działacz społeczny Wojciech Zukrowski. Wśród członków nowego Zarządu Głównego, wybranych na zjeździe, dominują pisarze warszawscy. To już tradycja. Środowisko pisarskie Warszawy posiadało na zjeździe przewagę jednego mandatu nad tzw. terenem. Na 21 członków ZG ZLP wybrano 16 pisarzy warszawskich i 5 z oddziałów terenowych (po jednym z Gdańska, Olsztyna i Poznania oraz dwóch z Krakowa). Przy tej okazji może warto przypomnieć, że najliczniejsze oddziały ZLP w kraju to: warszawski, krakowski, łódzki, poznański i katowicki.

Z Łodzi w nowych władzach ZLP znaleźli się: prezes oddziału, W. Orlowski, wchodzący „z urzędu” oraz W. Jażdżyński i T. Chrościelewski, członkowie: Główny Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskiego.

Przy okazji owej „wylizanki” przypomnieliśmy sobie postulat zgłoszony przez pierwszego zjazdowego dyskutanta, prof. Aleksandra Krawczuka, prezesa oddziału krakowskiego. Popularny znawca starożytności przekonywał do podjęcia wysiłków w celu zdecentralizowania kultury w Polsce i życia literackiego. Wszystko po to, aby nie zaznaczała się tak mocno, deprymujące dominacja stolicy nad innymi ośrodkami w kraju, aby zarazem tzw. prowincja nie była skazana na prowincjonalność, zaścianek. Na podobny temat, o tamaniu barier dzielnicowości w kulturze, mówił przedstawiciel łódzkiego środowiska, Tadeusz Chrościelewski.

Czy skazani jesteśmy na prowincję i dzielnicowość, stołeczność i zaściankowość? Myślę, że nie — wartościowa literatura, powszechnie poszukiwana książka niekoniecznie musi powstać w Warszawie, może i na tzw. prowincji, choć tu, tzn. w Łodzi czy Lublinie, o promocję dla tego typu książki o wiele trudniej niż w stolicy. Innym też echem niesie się po kraju krytyka łódzka czy wrocławska o warszawskiej czy nawet krakowskiej. To jednak, czy twórcy zechcą pozostawać na prowincji i tworzyć tam, czy też emigrować do stolicy, zależy przede wszystkim od wielu powodów i zjawisk, w tym także od stosunku władz terenowych do kultury. Łódź, jak wiadomo, przyciągnęła wielu wybitnych twórców kultury, nie wszystkich jednak zdołało to miasto zatrzymać na dłużej. Dlatego tak się stało, dlaczego tak się dzieje? To już pytanie na inną okazję.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Myśl polityczna Andrzeja Struga (1)

Być wolnym i niepodległym

od Republiki Hiszpańskiej. Nie było wieńca od Rzeczypospolitej Polskiej. Oweśnił przywódcy nie zapomnieli Andrzeju Strugowi, że całe swoje życie w niepodległej Polsce poświęcił walce o demokrację i prawa ludu.

CZAS DORASTANIA

Urodził się Tadeusz Gałęcki, bo takie było właściwe nazwisko Andrzeja Struga — 23 listopada 1871 roku w Lublinie. Rodzina Gałęckich przeniosła się tutaj po utracie majątku, a ojciec Tadeusza — Władysław rozpoczął swą karierę zawodową od stanowiska podrzędnego urzędnika w lubelskim archiwum. W okresie styczniowego powstania uległ patriotycznym nastrojom, ale długo decydował się zanim przystąpił do partii powstańczej, a opuścił ją natychmiast po dowiedzeniu się, że stracony został ostatni dyktator powstania.

Poświęcił się handlowi, szybko wzbogacił i zakupił koło Lublina folwark Konstantynówkę, nawiązując w ten sposób do szlacheckich tradycji rodu.

Tadeusz Gałęcki pobierał nauki w państwowym gimnazjum lubelskim. Był to jeszcze nadal czas popowstańcowych represji, co w przypadku szkół przybierało postać natężonej rusyfikacji. Brał więc udział w różnych konspiracyjnych kółkach, czytał wydawnictwa socjalistyczne, pisał artykuły do tajnej gazetki szkolnej. Na lekacjach — nawiąsałem mówiąc stojących na bardzo niskim poziomie — interesował się szczególnie historią i literaturą.

W 1883 roku po ukończeniu gimnazjum, udał się — tak zdecydował ojciec — do Instytutu Rolniczego i Leśnego w Puławach. W okresie studiów zapoznał się z programem niedawno powstałej Polskiej Partii Socjalistycznej i podjął działalność w Kole Oświaty Ludowej. Ta ostatnia stała się dla Tadeusza Gałęckiego przyczyną poważnych komplikacji. W 1895 roku członków koła aresztowano i osadzono w murach Cytadeli Warszawskiej. Po półrocznym śledztwie Tadeusza Gałęckiego skazano na trzy lata zesłania w guberni archangielskiej, odebrano mu też prawo studiowania na obszarze imperium carskiego.

Czas, który spędził miał na zesłaniu poświęcił Tadeusz Gałęcki samokształceniu. Czytał pilnie prace Jerzego Plechanowa, ale i „legalnych marksistów”, prezentujących już wówczas w pełni reformistyczne poglądy. Sytuowany był nieźle, ale zabijała go beczynność i porażająca monotoność Archangielska. Na zesłaniu zaczął pisać. Były to pierwsze próby literackie, które przedstawiał współtowarzyszom niedoli, Mariuszowi Zaruskiemu i Bronisławowi Wesółowskiemu. Drogi tych ludzi po latach całkowicie się rozeszły. Zaruski w Odrodzonej Polsce został generałem, Wesółowskiemu będącemu szefem misji radzieckiej Czerwonego Krzyża zestrzelili polscy żandarmi.

W SŁUŻBIE IDEI

W 1891 roku powrócił Tadeusz Gałęcki do kraju, gdzie nawiązał kontakty z warszawską sekcją PPS. Gdy jednak jego działalnością zaczęła się interesować policja carska, sprzedał Konstantynówkę i wyjechał wraz z żoną — a zawarł związek małżeński w kilka miesięcy po powrocie z zesłania — do Galicji, do Krakowa.

W Krakowie carski „wilczy bilet” na wszystkie wyższe uczelnie oczywiście nie obowiązywał, rozpoczął więc studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim, prowadząc jednocześnie ożywioną działalność w środowisku socjalistycznym.

Rozprawa o twórczości Stefana Żeromskiego przyniosła mu pierwszą nagrodę w konkursie zorganizowanym przez Iwowski Związek Naukowo-Literacki. Przy tej właśnie pracy użył po

Polskiej Partii Socjalistycznej. Józef Piłsudski i jego zwolennicy widzieli w rewolucji narodową szansę Polaków. Polski proletariatus — twierdził — ma w rewolucji swoje własne cele, co wyklucza współdziałanie z rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Zdecydowana większość uczestników konferencji opowiadała się jednak za solidarnością proletariatus całej Rosji. Był wśród nich także Andrzej Strug.

W kwietniu 1905 roku Andrzej Strug objął kierownictwo Wydziału Wiejskiego PPS, a wkrótce potem został naczelnym redaktorem „Gazety Ludowej”. Napisał w niej:

„My, socjaliści polscy, chcemy też polskich narodowych rządów w naszym kraju, ale na tym nie dosyć. My chcemy, żeby u nas lud pracujący, czyli włościanie i robotnicy, miał rządy w swoim ręku dla pokonania wszelkich naszych krzywdzieli...”

Widział Andrzej Strug w rewolucji 1905 roku szansę dojścia do niepodległości, przyczyn w odróżnieniu od prawicy partyjnej, widział ją we współdziałaniu z proletariatem rosyjskim. Stwierdził, że „w chwili zwycięstwa na gruzach powalonego caratu zbudujemy w porozumieniu z walczącym ludem rosyjskim gmach naszej wolności...”

Nie ograniczał się tylko do pisania. Prowadził intensywną działalność organizatorską i jak wspomina Stanisław Pozner, wczesną wiosną 1906 roku zaczęto przygotowywać pierwszy strajk robotników rolnych Kongresówki. Przygotowano tysiące odezw do robotników rolnych i dzieciaków. Zorganizowano — wiele tu pracy włożył Andrzej Strug — szkołę propagandy wiejskiej, w której inteligentną partyjną, studentów, zapoznawano z warunkami i potrzebami wsi i włościan. Strajk udał się i w kilkunastu tylko przypadkach interweniowały policja i wojsko.

CZAS ROZTERKI

Rysując się w Polskiej Partii Socjalistycznej coraz poważniejsze różnice zdań doprowadziły do powołania specjalnej komisji, w której składzie znalazł się także Andrzej Strug. Trudno powiedzieć, jaki był jego wkład w prace komisji, niemniej faktem jest, iż jej stanowisko niewątpliwie zaważyło na decyzji wiedeńskiego zjazdu PPS, który Józefa Piłsudskiego i jego najbliższych współpracowników usunął z partii. Rozłam stworzył dla Andrzeja Struga bardzo trudną sytuację. Określił się wprawdzie po stronie PPS-Lewicy, ale nie godził się z jej stanowiskiem do sprawy niepodległości. W kwestiach niepodległości i rewolucji prezentował wobec skrajnych, a diametralnie różnych poglądów PPS-Lewicy i PPS-Frakcji Rewolucyjnej stanowisko centrowe.

Przed 1 Maja 1905 roku, na polecenie Warszawskiego Komitetu Robotniczego Polskiej Partii Socjalistycznej napisał Andrzej Strug odezwę. Stwierdził w niej: „Nadchodzi dzień święty naszego, dzień który czczony jest przez miliony robotników na całym świecie. Jest to dzień, w którym proletariatus we wszechnarodów ślubują sobie jedność i składają przysięgę na wierność sztafardowi czerwonemu...”

W dniu tym proletariatus Polski okazać ma i okazać winien, że stoi twarzą do rewolucyjnym stanowisku swoim. W tym dniu wróg nasz zobaczyć powinien, że lud robotczy w Polsce nie ugiął się pod ciężarami rozbustowanego caratu, że jest on tym samym nieprzejednanym wrogiem niewoli i nieustraszoną bojownikiem wolności...”

Uczyńcie wszystko, co jest w waszej mocy, by dzień 1 Maja był w Warszawie jak najwspanialszy, okazje, że tu w stolicy kraju, panuje i władza ten, kto jest sercem i krwią żyjącą całego kraju — lud robotczy!

Przez powszechne wstrzymanie się od roboty, przez jednodniowy strajk organizacyjny wszystkie fahy i wszelkie nadzieje pracy ludzkiej, będziemy święcić ten dzień w Warszawie...”

25 maja 1907 r. został Andrzej Strug aresztowa-

Kultura i pieniądze

ze str. 1

przrost (9,8 proc.) był relatywnie ujemny!

Dlaczego nie wzrasta Fundusz Rozwoju Kultury? To proste — jest naliczany od podatków. A minister finansów zwołał wiele zakładów z obciążen podatkowych. Nie w przyrodzie nie ginie, nawet jeśli ma znak ujemny, jak deficyt. Pieniądze, które nie wpłyną (a wpłynąć miały) do budżetu państwa nie zostaną wydane na potrzeby kulturalne — między innymi.

Koldra jest krótka, jeśli minister Nieckarz ma miłą serce w stosunku do przemysłu, musi mieć twarde dla kultury. Proste. Nie zamierzam wnikać w słusność decyzji o ulgach podatkowych. Mają zapewne, muszą mieć, jakieś uzasadnienie. Ale jednocześnie pamięta, że nie tylko przemysł płaci podatki. Oto dowiaduję się z wywiadu, jakiego udzielił dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego, Jacek Zaorski dziennika-

rzowi „Przeglądu Tygodniowego” (PT nr 9, 2 marca 1986), że ta skromna oficyna wydawnicza płaci 65 proc. podatku. A dochody ma — jak na jej skalę — wcale pokazne. Marek Arpa Kowalski oblicza, że na 80 milionów zł, a dyrektor Zaorski nie zaprzecza...

Gdybym był tanim demagogiem, albo pisałbym ten tekst do kabaretu, mógłbym zdemontować takie rozumowanie. — minister zwalnia jakiś tam zakład z podatku, jednocześnie wyciąga od Wydawnictwa Łódzkiego pięćdziesiąt parę milionów. Zatem, wbrew powszechnej opinii, to nie przemysł utrzymuje instytucje użyteczności publicznej, a odwrotnie — wydawnictwo utrzymuje zakład przemysłowy, każdy redaktor (z pensją do 15 tys. miesięcznie) ma na utrzymaniu pracownika produkcyjnego (z pensją jakby nieco większą). Ale nie jestem demagogiem. Wiem, że wydawnictwa bywają w całym świecie wysocę dochodowe, wiem, że są takie galeje wytwórczości, które są na całym świecie

deficytowe.

Problem jednak pozostaje. Gdyby tak podatek ściągany z wydawnictw, wytwórni filmowych, estrad i innych dochodowych instytucji kulturalnych w całości wpływał do Funduszu Rozwoju Kultury? Może wówczas dziura w budżecie dyrektora Czubyńskiego byłaby mniejsza?

Kultura jest wszędzie dotowana. Tam, gdzie rządzi prawa rynku dba o nią państwo — wcale pokazuje. Ale przecież nie tylko on. Mecenasami kultury bywają — niekoniecznie z miłości do sztuki — kapitalistyczne rekiny. Wiadomo, że można uniknąć kolosalnych podatków właśnie pozyskując się pewnych nadwyżek finansowych, fundując stypendia, dotując teatry i galerie sztuki itp. Często zresztą ubijając przy tym niezły (reklamny) interes.

Czy postępy reformy gospodarczej stworzą u nas podobne sytuacje? Oczywiście wyobraźni widzę, jak dyrekcja i samorząd pracowni ŁZPB im. Obrońców Pokoju wypłaca lekką rączką grube miliony na budowę filharmonii w Łodzi. Nie dlatego, że szczególnie ceni sobie Chopina i Strawińskiego. Dlatego, że unika w ten sposób progresji podatkowej. Z tych samych powodów ZPB im. J. Marchlewskiego biera na utrzymanie Teatr Nowy, a Zakłady im. J. Strzelczyka Liceum Mu-

zyczne... Piękna to wizja, tyle że na razie nierealna. Reforma gospodarcza, w tej fazie, w jakiej się znajduje, w tych realiach i uwarunkowaniach ekonomicznych nie sprzyja kulturze.

Wreszcie sprawa ostatnia. Jeśli już mamy tych pieniędzy mało, pomyśleć trzeba o ich racjonalnym wykorzystaniu. Jak ulat pasuje mi na zakończenie cytuję z mego tekstu, publikowanego w listopadzie 1984 r.:

„Czy pieniądze społeczne przeznaczone na kulturę, na działalność kulturalną i artystyczną, będą zużytkowane zgodnie z potrzebami i aspiracjami mieszkańców miasta i województwa? Kto te potrzeby bada i formułuje je? Czy plany pracy placówek kulturalnych uwzględniają te potrzeby?”

To nie są łatwe pytania. Stawiamy je już czterdziści lat. W dobie powszechnych oszczędności i zaciskania pasa trzeba się wreszcie zdobyć na jakies odpowiedzi...”

Nie dodać, nie ująć. Tylko ostatnie zdanie mego ówczesnego artykułu brzmi dziś trochę humorystycznie:

„Caeterum censeo, że budowa nowego gmachu dla Filharmonii im. Artura Rubinstein’a winna rozpocząć się jak najrychlej!”

ANDRZEJ KAROLCZAK

Mecenas czy urzędnik?

W dawnych czasach mecenas pełnił bogaty człowiek, rozmiłowany w sztuce, często sam uprawiający jakąś jej dziedzinę, człowiek, który zapewniał sobie nieśmiertelność, sam przebywając wśród nieśmiertelnych, latając braki w ich kieszeniach, a nie rzadko i dziury w ich butach. Ale za to ośniony bogactwem ducha, wobec którego jego bogactwo materialne wydawało się niczym, żył wśród artystów ich życiem, może trochę w ten sposób zabijając nudę. To prawda, że taki mecenas sztuki przy okazji zlatwiał sobie i panegiryk na awoja część i jakąś dedykację przed dopiero powstającym dziełem, ale w sumie i wobec głosił swą bezinteresowność i rozdawał wieńce laurów wraz z ciężkimi sakiewkami tym, nad głowami których unosił się boski duch geniuszu. To prawda, że wokół takich postaci gromadziły się rzesze grafiomanów, pochlebców, łowców łatwego chleba, trzeba też było wiele wiedzy i mądrości, aby spośród tych tłumów wyłowić prawdziwe perły. I nie bez przyczyny powstawały fraszki na chudych literatów, wspomnienia o genialnych muzykach umierających w głodzie, czy zyciorysy malarzy żebrzących po kawiarniach ze szklownicami w ręku.

Bogaty mecenas sztuki bywał równie kapryśny, jak otaczający go artyści, nie nasycony pochlebstwem i zgłodził sławy, którą chciał sobie zapewnić trudem i talentem innych. Zdarzało się jednak i tacy, co poświęcali całe swoje życie nie najłatwiejszej jednak we współczesnym świecie sztuce, choć zносили niejednokrotnie przykrości, uratowali od zapomnienia dzieła powiewające się w pryzmatkach dla nędzarzy, w sklepach, gdzie służyły do owijania śledzi, w antykwaratach, na strychach, w piwnicach i u ubogich krewnych, którzy nie wiedzieli, co zrobić ze spadkiem sami nie przypuszczając, jaki skarb dostał im się w ręce. Aż dziw bierze, że nikt dotychczas nie opisał tych bezimiennych często zapaleńców, bez których skarby sztuki odeszłyby w zapomnienie, dzieląc los ich twórców składanych w zbiorowych grobach dla nędzarzy. Ale o ile dotychczas mecenas zależał od czystego przypadku, wiek XX postanowił go uporządkować.

I co się stało. Na początek opiekun sztuk wszelakich przemienił się w menażera biorącego słony procent od sprzedawanego towaru. Od chwili, kiedy wartość sztuki zaczęła mierzyć w bardzo realnych waloarach, wręcz traktując ją jako najsolidniejszą lokatę kapitału, mnożyć zaczęły się targi, aukcje i potężne handele dziełami sztuki, zaś krzykliwa reklama zastąpiła dawne intymne związki między tym, co tworzył i tym, co za to płacił. Do dziś w krajach zachodnich tak samo organizuje się reklamę nowego proszku do prania, jak i dopiero co odkrytego geniusza, przy czym i jeden i drugi sąsiadują ze sobą na poroślepianych na mieście afiszach. I tylko od pomysliwości firm reklamowych zależy, czy przechodzą kupi proszek do prania, czy wstąpi do najbliższej księgarni, aby nabyć najnowszy bestseller.

Tak czy inaczej trudno jest mówić o ochronie powstających właśnie dzieł sztuki, zwłaszcza z ich twórcami, gdyż, jak wiecie, geniuszem i tak zostaje się w dobre parę lat po własnej śmierci, kiedy już i cieszyć się nie ma z czego i kto inny z tego korzysta.

Myśmy postanowili nie zdawać się na żaden przypadek i wnieśli choć odrobinę sprawiedliwości w świat artystów jeszcze żyjących i mogących coś z siebie wydać. I tak powstał mecenas państwowy.

Pozornie wszystko wygląda idealnie. Jest co jeść i za co pić (ostatnio coraz bardziej), do funkcji mecenasu powołano sławy naukowe (mniejsze lub większe), namnożyło się specjalistów od sztuki, którzy mają ją oceniać, mierzyć i ważyć jeszcze za życia artysty, aby przypadkiem nie pominąć tego, który rozbiłby jak wielki płomień oświecając naszą epokę blaskiem swego talentu. I oto artyści stają do wyszczególnienia, jak konie na bieżni, tylną na siebie nienawistnym wzrokiem, w napięciu czekając na wystrzał, który ich porwie do biegu, gdzie na mecie czeka utytułowany profesor z pucharem pełnym zaszczytów dla zwycięzcy. Oto specjaliści z łańcuchem komputerową dokładnością mierzą sztukę, na metry, aby precyzyjnie obliczyć, ile komu zapłacić. To nie, że na świecie miniaturyzacja zaczyna mieć coraz wyższą cenę. Tu centymetr sześcienny sztuki ma swoją konkretną, wymierną wartość i im większa płachta, im wyższy pomnik, im dłuższa powieść, im rozleglejsza kubatura, tym więcej się płaci. Resztę i tak ocenia potłomni. I tak ten, co wspaniale maluje miniatury, we znaczki pocztowe, musi przynajmniej raz do roku machnąć jakimś lanszaf bogaty w metra, aby utrzymać siebie i swoją rodzinę.

Kiedy już ilość mamy obliczoną, do akcji wkraczają specjaliści od wartości trudniejsi po osiągnięciu kolejnych tytułów naukowych. Rozbierają na części dany twór i przysiadają mu się przez lupę badając, co od kogo zostało zapożyczony, a co jest oryginalne i nowe. Swoje poszukiwania oryginalności doprowadzili do takiego absurdu, że każde słowo wydaje im się oskarżeniem. Każda nuta jest stawiana w stan oskarżenia. Każde machnięcie piędzlem badane, czy w czymś czegoś komuś nie przypomina. I tak artyści, którzy w innych warunkach zabiegali o poklask tłumów, o uwielbienie ludzi, o odbiorców, mówiąc naukowo, poją się i męczą, jak przebież przez selekcję, a raczej przez selekcję naukowców, nie wysuwając się chociaż o milimetr w żadną stronę, aby nie być posądzonym o plagiat. Gdzieś też czasami, kiedy czerpało się pełnymi garściami nie tylko z otaczającego świata, ale z całej wielkiej krainy sztuki, gdzie malarze wpływali na poetów, poeci na muzyków, a muzyki inspirowali malarzy! I nie ten się liczył, kto wymyślił najbardziej wyrafinowany diwolaż, ale ten, kto z zastanych i znanych sobie elementów potrafił stworzyć niepowtarzalne w swej urodzie dzieło!

Zatem twórcy, szantażowani przez znawców i koneserów, tworzą dla znawców i koneserów, a biedny, odarty ze sztuki tłum przysiadł im się z boku, i nie bardzo rozumie, o co w tej całej zabawie chodzi. Mówi się potem, że sztuka stała się elitarna. Twórcy widząc otaczającą ich obojętność, wpadają w popłoch, bo przecie chcieli „pod te strzechy”, ale życie zmusza ich do nieustannej oryginalności, więc męcząc się i pocąc stwarzają sobie sztuczny świat pozorów — tłumacząc, że lud nie dorósł do ich dzieł. A nad nimi jak groźne sepy unoszą się specjaliści od sztuki pilnujący, aby jakakolwiek z ich owieczek nie zechciała być mniej oryginalna od innych.

Od czasu do czasu ktoś jednak zauważa, że coś jest nie tak i wtedy powstają mądre dysertacje na temat kultury masowej, przy czym dostojnicy po kilku fakultetach już z góry zakładają, co lud chce, a czego nie chce, nie pytając nikogo o zdanie. I zniżają się do tego wymyślnego przez siebie ludu, przysiadają mu markę trochę niedorozwiniętych idiotów, częstując ich papką przeżutą i przetrawioną, żeby przypadkiem któryś z nich nie zmyślił się za bardzo myśleniem. A lud i tak wie, czego mu potrzeba, wyciąga papkowaty program w telewizji, bojkotuje popularną imprezę i idzie do opery, żeby ku przerażeniu uczonych koneserów posłuchać sobie muzyki Verdiego czy Moniuszki.

Nawiasem mówiąc, za czasów dyrektora Kazimierza Dejmy w Teatrze Nowym prowadzone były od czasu do czasu ankiety socjologiczne. Otóż największy procent widzów ze środowiska robotniczego obejrzało „Operetkę” Gombrowicza i „Pamiętnik intymny” Lechonia. Ale wiadomo, „Operetka” mogła się kojarzyć z operetką, zaś jeden ze znawców nazwał po odkryciu tego faktu Lechonia grafomanem. Tym lepiej dla Lechonia.

Wreszcie ostatni etap, jaki musi pokonać twórca, żeby otrzymać dawno oczekiwane honorarium. Dochodzi do okienka i zaczyna rozmawiać z urzędnikami. Co to oznacza, wie każdy. Mówią o tym, byłoby niepotrzebną stratą czasu.

Może warto byłoby się zastanowić, co właściwie znaczy mecenas sztuki i jaką powinien pełnić funkcję. Po pierwsze — najważniejszą i najpotężniejszą mecenasem jest widownia. Jest ten anonimowy odbiorca, którego gusty i zapotrzebowania psychiczne trzeba zaspokoić. I nie pomogą tu żadne uczone dysertacje. To on decyduje i wybiera. Nikt za niego tego nie uczyni, nikt go nie poprowadzi za rączkę. Albo chce, albo nie chce danego dzieła. Nie bójmy się sztuki popularnej, ale nie tej wydmuchanej przy biurkach urzędniczych, ale tej prawdziwej, płynącej z prostej potrzeby serca. I tak jesteśmy już bardzo samotni. Nie odbieramy sobie przynajmniej przez zwykły snobizm przyjemności obcowania ze sztuką. Choćby ją popularną.

Równie silnym mecenasem jest ten, który sztuce poświęcił i miłości całe swoje życie, choć sam nie stworzył żadnego dzieła. Taki człowiek kocha świat artystów i bez jego miłości twórcy przypominają czasem osierocone dzieci na darmo czekające na kogoś, kto by je zaadoptował. A tymczasem gdzieś tam pozrywali więzi pomiędzy ludźmi, na artystę czeka zimna ściana urzędniczej dokładności i naukowego spojrzenia. I twórca pod surowym wzrokiem swoich sędziów gdzieś się w sobie zaczyna kurczyć, maleć, ucieka, musi, więc wraca, potem znów ucieka, aby wieść życie dalekie od twardego osądu mecenasu sztuki.

Dlatego kończę takim małym wezwaniem do tych, od których tak wiele zależy: pokochajcie choć odrobinę sztukę i bądźcie bardziej ludzcy dla artystów. A oni z pewnością się wam odwdzięczą. I nie czekajcie, jak na zbawiciela na abstrakcyjnego geniusza. Gdyby przyszedł, przeraziłby się waszych zimnych, oschłych oczu i uciekby, gdzie pieprz rośnie, a zakwitła wanilia i leżąc sobie pod drzewem w chwilach wolnych od marzeń, tworzyłby i bez waszego pozwolenia, ot tak, po prostu, swoje epokowe dzieła.

ANNA KIESEWETTER

Człowiek, który ograł telewizję

(ROZMOWA Z MARKIEM STACHYRĄ, STUDENTEM UNIwersYTETU ŁÓDZKIEGO, TRZYKROTNYM ZWYCIĘZCĄ TELETURNIEJU „WIELKA GRA”)

— Wygrał pan, w stosunkowo krótkim czasie, trzy razy telewizyjną „Wielką grę” z tematyką muzyczną. Jest to chyba rekord. Jak pan to robi?

— Może pana zdziwi, ale nie robię nic specjalnego, zgłaszam się na eliminacje, wygrywam je a potem występuję w programie. Odpowiadam na pytania i... inkasuję 50 tys. zł.

— Bez tremy?

— Z niewielką trema... Mocno stremowany byłem na pierwszych eliminacjach. Startowałem, w wieku 16 lat w temacie „Życie i twórczość Jana Brahmsa”. Wygrałem eliminacje, ale nie mogłem wystąpić w programie. Byłem niepełnoletni.

— Programy z pana udziałem oglądają również rodzice, koledzy, znajomi i wykładowcy. Co oni na to?

— Rodzice są strasznie dumni. Ojciec wciąż ma za złe panu Stanisławowi Rychter, że nie wymienia mego nazwiska, mówi po prostu „panie Marku”. A to przecież nazwisko nie tylko moje, ale i ojca! Koledzy też traktują mnie życzliwie, trzymają kciuki. Profesorowie są wstrzymiżliwi w pochwałach i gratulacjach... Choć kiedyś pani docent Pola Wert, zapytała na zajęciach: — A gdzie to chłuba naszego wydziału? Jak pan widzi, popularność ma i zle strony. Trudno powagorować...

— Studiuję pan kulturoznawstwo. Dlaczego nie teorię muzyki na Akademii Muzycznej albo muzykologię na Uniwersytecie?

— Jako licealista wygrałem Olimpiadę Artystyczną z tematyką muzycznej. Miałem prawo wstępu bez egzaminu na kulturoznawstwo albo na muzykologię. Wybrałem kulturoznawstwo — to dziedzina wiedzy dużo szersza. Na muzykologii trzeba znać harmonię, a ja nie znam jej dość dobrze. Kiedyś wyuczę się harmonii i zdam na muzykologię. Zdaję, jak każdy kandydat, bez korzystania z preferencji olimpijczyka.

— Jakże jeszcze życiowcy zamiary może pan zdradzić czytelnikom? Z czego będzie się pan specjalizował na kulturoznawstwie? Czy też z muzyki?

— Moim głównym zainteresowaniem, nazwijmy to: profesjonalnym, jest teatr. Chcę zrobić specjalizację z teatroznawstwa.

— A potem z muzykologią?

— Może uda się równolegle...

— I co pan będzie robił? Gdzie chce pan pracować po studiach??

— Nie mam ściśle sprecyzowanych planów — mam czas. Myślę, że chciałbym pracować w teatrze. Może będę, po dwóch fakultetach, specjalistą od muzyki w teatrze?

— Szczerze panu tego życzę. Wróćmy jeszcze do pana wczesnej młodości, żeby nie używać słowa „dzieciństwo”... Był pan w szkole uczniem, który ma piątki z wypracowań z polskiego i kłopoty z matematyką?

— Skądże! Matematyka i fizyka należały do moich ulubionych przedmiotów! A piątki z polskiego też miałem...

— Pogratulować... zresztą nie tylko panu, także rodzicom. A propos — co robią, gdzie mieszkają?

— W Kamieniu Pomorskim, gdzie się urodziłem i skończyłem szkołę. Tato jest ekonomistą, mama agronomem. Starszy brat też jest ekonomistą. Takie prozaiczne zawody... W wywiadzie pewnie lepiej brzmiałoby, gdyby ojciec był np. malarzem a mama tancerką?

— Nie wiem... A może lepiej, gdyby byli jakimś strasznym ludźmi, którzy nie pozwalają się panu uczyć, biją i zmuszają do pracy? Takie rzeczy w biografach sławnych ludzi robią wrażenie... Niech pan o tym pomyśli — na przyszłość, kiedy będzie pan udzielał wywiadów jako znany specjalista od muzyki teatralnej. Na razie ma pan 19 lat i... 150 tysięcy złotych...

— Już nie mam. Wydałem wszystko na płyty, książki, aparaty do słuchania muzyki.

— Trzyma pan to wszystko w akademiku?

— Strasznie żałuję, ale muszę to trzymać w domu, w Kamieniu Pomorskim. Słucham w czasie ferii i wakacji.

— Skąd się wzięły pańskie muzyczne zainteresowania? Uczył się pan muzyki?

— Bardzo niewiele. Chodziłem do ogniska muzycznego. W Liceum już zarzuciłem muzykę. Za to dużo słuchałem.

— Radia?

— Głównie radia. Za mojego nauczyciela uważam redaktora Jana Webera. Z jego audycji uczyłem się rozumieć muzykę. Uczyłem się słuchać. I nauczyłem się kochać muzykę.

Kieszonkowe wydawałem na wyprawy do Szczecina. Do filharmonii, do teatru.

— A teraz, tu w Łodzi?

— Chodzę dość regularnie do filharmonii i teatrów, zwłaszcza do Wielkiego. Jak najczęściej też staram się być w Warszawie. W teatrach albo w Filharmonii Narodowej.

— Wspomniał pan Jana Webera. A jaki jest pański stosunek do Janusza Ekierta? Or pana wyraźnie lubi. Kiedy odpowiadał pan na ostatnie pytanie z twórczości Ravela, redaktor Ekiert wydatnie panu pomógł.

— Rzeczywiście, naprowadził mnie. Proszę sobie wyobrazić, że nigdy nie rozmawiałem z panem Januszem Ekiertem...

— Ależ ja nie posądzam pana ani redaktora Ekierta o jakąś spółkę czy zmoję!

— A są tacy, co posądzają...

— Panie Marku. Jaką muzykę pan lubi?

— To się zmienia, niektórzy kompozytorzy mi się „osłuchali”, odkrywam nowych...

— Sprzecyżmy zatem. Jaką muzykę lubi Marek Stachyra dziś, dwudziestego ósmego lutego 1986 o godz. 10.00?

— Proszę bardzo. Brucknera, Mahlera, cały neoromantyzm, Wagnera, Skriabina, Schonberga, Strawińskiego, Szostakowicza, Iwesa, Schuberta, muzykę pierwszej połowy dwudziestego wieku, ostatnio także bardzo Bacha...

— Dość! Niech pan powie zatem, czego pan nie lubi?

— Beethovena, Chopina...

— Niemożliwe! Beethovena?

— Tak, właśnie Beethovena słuchałem tak dużo, że teraz mniej go lubię. Podobnie z Chopinem.

— Ma pan odwagę to powiedzieć? Przyznam się panu, że ja też nie przepadam za Chopinem, ale się do tego nie przyznaję. Nie lubię Chopina to tak, jakby nie kochać Ojczyzny!

— A jednak...

— Pańscy rówieśnicy i koledzy chodzą ze słuchawkami na uszach i słuchają ze swoich walkmanów rocka. Moza go słucha cały dzień. Jaki jest pański stosunek do tej muzyki?

— Ja też mam 19 lat! Bardzo lubię rocka. Lubie zwłaszcza muzykę z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych: Janis Joplin, Jimmy Hendrix, Vangelisa mogę słuchać godzinami... Ale jest w tej muzyce sporo szmiry, szumu muzycznego. Tego nie lubię. Widzi pan, nie chcę wygłaszać banałów, że muzyka jest jedyną...

— Albo że muzyka dzieli się na dobrą i złą a nie na poważną i rozrywkową? A jazz? I lubi pan jazz?

— Oczywiście, dobry jazz — bardzo lubię. Ale słucham go niewiele. Dobra na tylko 24 godziny...

— Będzie pan jeszcze startował w Wielkiej Grze?

— Jeśli tylko będzie okazja!

— Zycząc zatem dalszych wygranych. Myślę, że kierownictwo telewizji z przyjemnością da się panu ograć jeszcze nie raz.

Rozmawiał: ANDRZEJ KAROLCZAK

6.

Transplantologia zrodziła się dopiero kilkanaście lat temu i wiąże się z niebywałym rozwojem medycyny. Ludzie umierali i nie było wiadomo dlaczego. Teraz wiele chorób poznano i próbuje się je leczyć między innymi na drodze przeszczepów. Pierwszej transplantacji nerki w Polsce, był to w ogóle pierwszy w historii polskiej medycyny przeszczep, dokonano w Łodzi 12 lat temu. Obecnie w Europie przeszczepia się około 5 tys. nerek, w tym często dwu, trzy a nawet pięciokrotnie u tego samego chorego.

7.

Krzysztof miał szczęście po raz drugi. Zostaje wytypowany jako potencjalny biorca. Decyzję lekarzy poprzedzają długotrwałe badania. Świadczy za nim przede wszystkim to, że jest młody i jego organizm nie jest wyniszczony przez chorobę. Ma zdrowe serce, wątrobę, żołądek. Jest zdyscyplinowany jako pacjent, co też ma ogromny wpływ na decyzję lekarzy.

Życie na uwieczni

Teraz trzeba znaleźć dawcę. Chęć oddania jednej swojej nerki wyrażają od razu rodzice. Jest to dla nich tak oczywiste, że nawet nie rozmawiają na ten temat w domu. Po prostu idą do szpitala i pytają czy jest to możliwe? Styszeć wcześniej, że jeżeli człowiek ma tylko jedną nerkę sprawna, to może z nią żyć i sto lat. Zdrowa nerkę przejmie funkcje drugiej. Powiększa się i zaczyna pracować za dwie.

Lekarze początkowo sprzeciwiają się dawcy rodzinnej to znaczy ludzkiemu narażeniu się na powikłania, bowiem jest to poważny zabieg operacyjny, a jednocześnie okaleczenie zdrowego przeciw człowieka. Nie zawsze też osoba bliska może być dawcą narządu dla swojego krewnego. O powodzeniu transplantacji decyduje zgodność immunologiczna, a ta jest tylko wtedy idealna, gdy dawcą jest bliźniak jednojajowy.

Rodzice nalegają. Niemal codziennie powtarzają leczącemu Krzysztofa nefrologowi, że są w stanie podjąć każde ryzyko. W końcu lekarz godzi się na przeprowadzenie prób. Już w czasie pierwszych badań okazuje się, że ojciec nie wchodzi w rachubę jako dawca, gdyż elektrokardiogram wykazuje pewną wadę serca. Ależ ja jestem zupełnie zdrowy — przekonuje kardiolog. — Przez całe życie nie miałem żadnych problemów lekarskich. Nigdy nic mnie nie bolało. a już najmniej serce. Trudno pogodzić się z wyrokiem.

Grupa krwi matki i jedynaka są zgodne. EKG, rentgen, badania moczu nie sygnalizują jakiegokolwiek choroby. Przechodzi czas ostatniej próby. Trzykrotnie, co dwa tygodnie Krzysztof bierze po 250 ml krwi matki. Dopiero wtedy pojawiają się przeciwciała wykluczające przeszczep. Tej nocy rodzice nie mogą zasnąć. Matka płacze przez wiele następnych.

8.

Jest jeszcze jedna szansa. Znalazienie dawcy wśród zmarłych.

Technika medyczna jest w tym wypadku stosunkowo prosta i doskonale opanowana przez polskich specjalistów. Jednakże nerek ze zwłok nie pobiera się często.

Chodzi o wprowadzenie pewnych nowych pojęć do świadomości społecznej — twierdzi dr n. med. Wojciech Krajewski. — W kulturze polskiej pobieranie jakiegokolwiek narządu ze zwłok nie jest akceptowane przez ogół. Zwyczajnie mające swoje korzenie w tradycjach ludowych i religijnych polegające na okazywaniu szacunku ciału zmarłego, na myciu go, ubieraniu, obrzędowym pogrzebie są w pewnej opozycji do tego, co proponuje nowoczesna medycyna. Nawet lekarze innych specjalności nie bardzo rozumieją potrzebę wykorzystywania zdrowych organów zmarłego do potrzeb transplantologii.

Trzeba również podkreślić — mówi dalej dr Krajewski — że doniesienia prasy brukowej też wywołują nieprzychylną atmosferę. Jakże często czytamy, że ktoś, kogo już miano pochować, w ostatniej chwili wstał z trumny. To są oczywiście bzdury, które podważają wiarę w orzeczenia lekarzy. Te atmosfery należy zwalczać, aby pobranie nerki ze zwłok i przeszczepienie jej stało się jednym z zwykłych zabiegów ratujących życie, tak samo powszechnym jak wiele innych wykonywanych codziennie w szpitalach.

Decyzja o pobraniu ze zwłok jakiegokolwiek narządu do przeszczepu wiąże się z rozstrzygnięciem o życiu lub śmierci dawcy. W latach pięćdziesiątych papież Pius XII powiedział na Międzynarodowym Kongresie Prawników, Moralistów, Etyków, Lekarzy, że Kościół katolicki uznaje za żywy taki organizm, w którym wszystkie narządy działają prawidłowo i współpracują ze sobą. Jeśli któryś z nich przestanie pracować nieodwracalnie, a tutaj nam chodzi przede wszystkim o mózg, wówczas rozstrzygnięcie o życiu lub śmierci pacjenta należy do lekarza.

9.

Krzysztof czekał długo, całe pięć lat, na znalezienie dla niego odpowiedniej nerki.

10.

— Oprócz barier psychicznych — mówi doc. dr n. med. Janusz Wara-Wasowski — najwęższym problemem, który w tej chwili ogranicza transplantologię w Polsce jest zła organizacja. Gdybyśmy wiedzieli dziś, że mamy tylko nerek grupy „A”, tyle grupy „B” itd. w Zakopanem, Tarnobrzegu, Szczecinie i gdzie indziej, nie mielibyśmy problemu. Brakuje centralnej informacji, i to jest rzecz bez której transplantologia jako taka nie jest możliwa do rozwinięcia.

Jednocześnie w transplantologii chodzi o to, by narząd do przeszczepu pobrany został w jak najkrótszym czasie od chwili stwierdzenia śmierci dawcy, to znaczy był w pełni sprawny i gotowy do podjęcia pracy w nowym organizmie. Nerki na przykład pobiera się w czasie jednej godziny. Później nie nadają się do transplantacji i są odrzucane przez organizm pacjenta. Nerki pobrane prawidłowo mogą być po perfundowaniu i wychłodzeniu do temperatury 4° C przechowywane przez ok. 50 godzin i jest to czas na znalezienie biorcy i dokonanie operacji.

We współczesnej medycynie uważa się, że śmierć następuje w momencie nieodwracalnego uszkodzenia układu nerwowego czyli mózgu. Jego pracy niczym się nie da zastąpić. Można chorego sztucznie odżywiać, włączyć mu

sztuczne płuco-serce, krew można przetaczać, ale to działanie musi mieć jakiś sens. Nie można bez końca przedłużać beznadziejnej sytuacji, nie można przedłużać cierpienia rodziny.

Problemem śmierci mózgu, jako jeden z pierwszych w Polsce już 25 lat temu, zajął się doc. J. Wara-Wasowski, obecnie szef kliniki anestezjologii i intensywnej terapii w Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej w Łodzi. Jego badania posłużyły ministrowi zdrowia i opieki społecznej do opracowania odpowiednich wytycznych, zostały również przyjęte przez komisję ekspertów przy Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Nie ma żadnego badania ani objawu, który w sposób dostateczny świadczyłby o śmierci mózgu. Oczywiście przy pracującym sercu, bo jeżeli serce się zatrzyma i nie da się uruchomić to wiadomo, że człowiek nie żyje.

Przy pracującym sercu rzecz jest bardziej skomplikowana i żeby można było u chorego stwierdzić nieodwracalne, głębokie uszkodzenie mózgu, które uniemożliwia mu życie bez aparatury trzeba wykonać wiele badań. U chorego nie można stwierdzać żadnych odruchów. Musi być uśpięty, nie może mieć świadomości oddychania, nie może mieć świadomości. Musi mieć szerokie, nie reagujące na światło zrenie.

11.

Wykonuje się jeszcze wiele dodatkowych badań, tak jak u Sławomira S., takowkarza, który trafił do szpitala w bardzo ciężkim stanie.

Właśnie otrzymał talon na nowy samochód, a że brakowało mu jeszcze kilkudziesięciu tysięcy postanowił je jak najszybciej „dojeżdżać”. Już wcześniej leczył się na serce, ale kto w takiej sytuacji myśli o zdrowiu. Od kilku dni kursował prawie bez przerwy wpadając do domu na chwilę, po to by coś przekąślić i chwilę się zrelaksować. Przytomność stracił, gdy jechał pustym samochodem do postoju. Nagle zrobiło mu się duszno. Coś silnie ukuło w piersiach. Zatrzymał samochód. Wysiadł, bo chciał odetchnąć. Wtedy się przewrócił.

Przyjechała karetka, jedna, potem druga. Jeszcze przed przywiezieniem do szpitala wydawało się, że serce może samo bić. Jednak trwająca kilka godzin akcja reanimacyjna z zastosowaniem dostępnej aparatury nie przynosiła rezultatów. Elektroencefalograf — aparat przystosowany do badania potencjałów elektrycznych mózgu — pokazywał na monitorze linię prostą.

Wykonano tak zwaną błędnikową próbę kaloryczną. Wstrzyknięto choremu, bez igły, do ucha silny strumień zimnej wody. U zdrowego człowieka wywołałoby to „oczopląs” czyli drganie gałek ocznych w kierunku ucha, do którego wstrzyknięto wodę. Niczego nie zaobserwowano, żadnej reakcji.

Następnie wstrzyknięto dożylnie pewien środek kontrastowy, który daje wrażenie optyczne obserwującemu dno oka. Żywy organizm powinien zareagować po dziesięciu sekundach.

Choremu zaczęto podawać w odstępach trzygodzinnych na przemian środki przyspieszające to zwalnianie akcji serca. Nie było reakcji, co oznaczało, że mózg przestał kierować pracą organizmu.

Wszystkie badania z tym samym skutkiem powtarzano przez dwie doby. Stało się wreszcie jasne, że pacjent nie żyje, mimo że dzięki aparaturze jego serce biło, płuca oddychały. Nie żyje to znaczy nigdy nie odzyska świadomości.

12.

— Serce. Ludzie nie bardzo potrafią się z tym oswoić, że można stwierdzić zgon, wtedy kiedy serce jeszcze pracuje, a można i myśleć, że nawet trzeba — mówi doc. Wasowski. — Może to fatalnie zabrzmi, ale ja muszę o powiedzieć — sztuczne utrzymywanie organizmu

przy życiu jest ahumanitarne. Jest to męczarnia dla rodziny i dla personelu, który wie, że pacjent i tak umrze.

Lekarz musi często podejmować dramatyczne decyzje. Nawet wtedy, gdy sytuacja jest beznadziejna istnieje prawdopodobieństwo pomylki. Dlatego w naszej klinice, mimo że jesteśmy tacy nowoczesni i chcemy przeprowadzać transplantacje, nigdy nie wyłączyliśmy aparatury.

Podam panu przykład z mojego własnego doświadczenia. Trafia do kliniki pacjentka, której choroba stanowiła jeden z tak zwanych wyjątków, ponieważ do końca nie mogliśmy ustalić co jej było. Urodziła dziecko, które wychowywała do trzeciego miesiąca. Któregoś dnia po karmieniu położyła dziecko spać, sama też zasnęła i już się więcej nie obudziła. Nikt z nas nie wiedział dlaczego. Przeprowadzono wszystkie badania łącznie z tomografią komputerową. Na głowie stawali się, żeby rozpoznać przyczynę, bo nawet nie wiedzieliśmy co leczyć. W ten sposób, nie odzyskawszy przytomności żyła rok. Jest to potworny dramat dla lekarza stojącego w sytuacji, w której nie bardzo wie co ma robić. Chciałby ratować to młode życie, tę młodą matkę, lecz nie bardzo wie jak. Na szczęście takich przypadków jest mało. Coraz częściej potrafimy rozpoznać, choć jeszcze nie zawsze wiemy jak leczyć.

Czy życie tej młodej dziewczyny utrzymywane za pomocą aparatury, dziewczyny, która do końca nie odzyskała przytomności można nazwać życiem?

Medycyna wyróżnia kilka rodzajów śmierci: śmierć kliniczną, biologiczną, cywilną, metaboliczną. Metaboliczna polega głównie na tym, że jakiś narząd przestaje pracować, na przykład nerki, wątroba. Śmierć cywilna albo społeczna występuje wtedy, gdy przywrócić samostne krążenie a nawet oddychanie, ale wiemy, że ten człowiek nigdy nie odzyska świadomości czyli nigdy nie będzie uczestniczył w życiu społecznym. Śmierć kliniczna to jest ten czas od trzech do pięciu minut kiedy można jeszcze skutecznie ratować człowieka. Im szybciej tym lepiej. Śmierć biologiczna zaczyna się w chwili zakończenia śmierci klinicznej i trwa tak długo jak długo żyje ostatnia komórka człowieka. Wiadomo przecież, że jeszcze długo po śmierci rosną włosy, paznokcie, że tyją prymitywne komórki, które nie potrzebują tyle energii i takiego luksusu, jakiego wymaga mózg.

Najpierw umiera kora mózgowa czyli ta część mózgu, która odpowiada za nasze życie intelektualne, która po prostu czyni z nas ludzi. Kora mózgowa wytrzymuje bez tlenu w normalnych warunkach, wyjąwszy chorych poddanych tak zwanej hipotermii, najwyżej pięć minut. Jeżeli w tym czasie nie przywróci się oddechu, to właściwie jest już koniec. I dlatego lekarze tak walczą o upowszechnianie w społeczeństwie zasad reanimacji, zasad pierwszej pomocy, i dlatego jako pierwsi w Polsce, a może nawet jako pierwsi w świecie stworzyli w Łodzi, przy Stacji Pogotowia Ratunkowego — Szkołę Ratownictwa. Ukończyło ją już ponad 20 tys. osób.

13.

Sławomir S. zmarł w szpitalu nie odzyskując przytomności. Wytłumaczono rodzinie, że sytuacja jest beznadziejna, że zastosowano wszystkie dostępne środki i aparaty bez rezultatu. Zgon stwierdziła trzyosobowa komisja lekarska.

14.

Inna komisja podejmuje decyzję o transplantacji. Chociaż nie ma takiego prawnego wymogu lekarze pytają rodzinę o zgodę na wyjęcie z ciała nerki. Zona nie sprzeciwia się. Jest to inna komisja, bowiem chodzi o to aby lekarz, który leczy chorego w żadnym wypadku nie był zainteresowany transplantacją, abyśmy byli przekonani, że będzie zajmował się tylko tym, co do niego należy, to znaczy ratowaniem życia.

Krzysztof przygotowuje się do operacji bardzo szybko. Przeszczepienie nerki nie jest zabiegiem skomplikowanym chirurgicznie, choć wymaga znacznej precyzji przy zszywaniu żył, tętnic, moczowodu. Dodatkową nerkę wszczepiono pod skórę brzucha. Zaczęła pracować. Operacja udaje się. Można będzie wreszcie zacząć normalne życie. Pragnie przede wszystkim podjąć od nowa naukę w szkole średniej. Ma już przecież 20 lat i skończoną tylko podstawówkę. Będzie to oczywiście liceum dla pracujących, bo do szkoły dziennej nikt go już nie przyjmie. Chce też wyjechać — gdziekolwiek. Przez ostatnie pięć lat siedział cały czas w Łodzi — był przywiązany do sztucznej nerki czyli żył na uwieczni, jak sam żartuje. Chce pojechać do Gdańska, w góry. Wszędzie.

15.

Mija kilka dni. Tego co mówią lekarze nikt się nie spodziewał, ale decyzja jest ostateczna. Zabieg nie udał się. Nowa nerką została zainfekowana i trzeba ją amputować.

16.

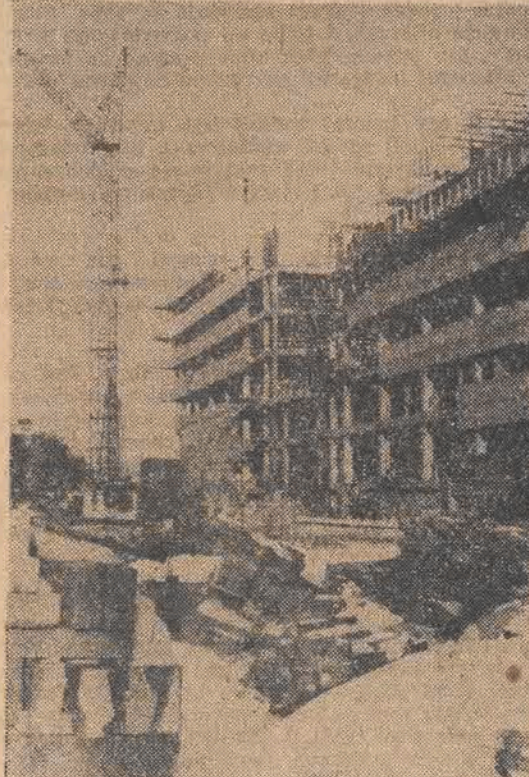
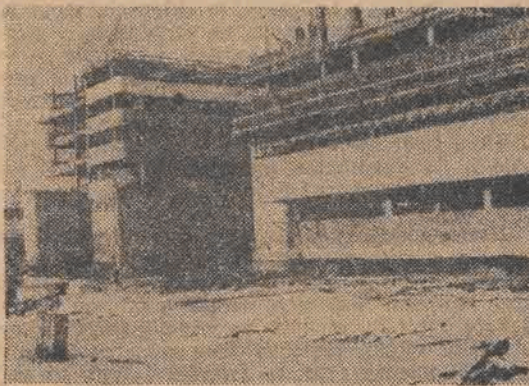
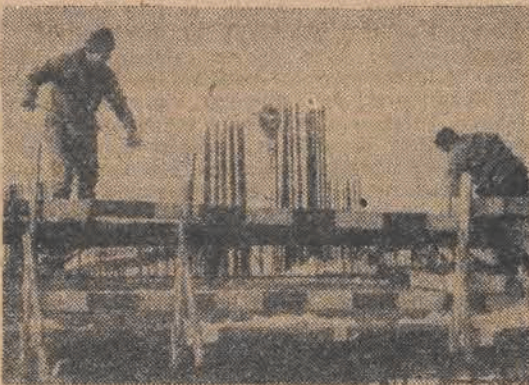
Krzysztof ma jednak szczęście. Nadal jest w korzystniejszej sytuacji niż na przykład chorzy oczekujący na przeszczepienie serca, dlatego że jest w każdej chwili gotowy do pobrania narządu. Można powiedzieć, że on i jemu podobni przez całe swoje życie na dializach oczekują na przeszczep.

MAREK MAMOS

Reportaż nagrodzony w konkursie Łódzkiego Oddziału SD PRL, KAW i „Ogłosów” „W środku Polski, w środku życia”.

Szpital - Pomnik Centrum Zdrowia Matki Polki

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Powiadają, że prawie każdy zakopiański góral rodzi się drwalem, cieslą lub rzeźbiarzem. Nie potrzebuje przy tym wcale nabywać tych umiejętności. Ma je po prostu w krwi. Wystarczy, że weźmie w rękę siekierkę albo nożyk...

Nie inaczej jest z Andrzejem Rohackim, którego rodowód nie może budzić wątpliwości. Urodzony i wychowany w cieniu Tatr, ponoć już jako kilkuletni brzdąc wytrwale drubał w kawałkach drewna, jakie jeszcze dziś — równo poukładane — dostrzec można pod okapem niemal każdej góralskiej chaty. I chociaż potem, jako student krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych specjalizował się w grafice, to jednak właśnie drewno ukochał najbardziej, po-

przecież w ich efekcie powstaje zaledwie półprodukt, wymagający dalszej żmudnej obróbki: ociosowania, drażenia, wyrównywania, opalania... Meble Andrzeja Rohackiego są bowiem zazwyczaj opalone, co nadaje im ciemną, charakterystyczną barwę i swoisty urok.

Z szerokiego, spróchniałego w środku pnia dużej wierzby powstaje może łóżko. Z wierzbowej „głowy” — wygodny fotel (jak ten widoczny na zdjęciu). Z grubego konara — barek w kształcie diabła lub kota. Wszystko zależy od pierwotnego kształtu drewnianej bryły, jako że nie ma dwóch takich samych drzew, gałęzi, korzeni oraz — wyobraźni i twórczej inwencji. I stąd też każdy mebel inny, niepowtarzalny, jedy-

nowy czy lekarzy obowiązującej coraz węższa specjalizacja. W środowisku plastycznym — także; i prawdopodobnie Rohacki poddałby się jej jak inni, gdyby — po pierwsze — nie kochał drewna jak każdy góral, i — po drugie — przypadkiem nie znalazł się kiedyś w pracowni ceramicznej, co tak bardzo na niego podziało, że postanowił spróbować, czy i on potrafiłby tak samo.

Okazało się, że potrafił. Sam zbudował sobie piec, sam przygotował glinę... Dopiero potem, gdy pierwsze próby wypadły pomyślnie, zajął się literaturą, by poznać dokładnie tajniki technologii, zrozumieć co, jak i dlaczego. Stale też doskonalił swe umiejętności. Budował kolejne piece. Eksperymentował. Dziś całkowicie panuje już nad tworzywem, ma swój własny styl, znaczny dorobek twórczy i poczucie jego wartości. Niewątpliwie jest artystą w pełni już ukształtowanym i jeżeli czegoś mu teraz brakuje, to chyba przede wszystkim czasu. No, i może trochę sukcesu, popularności.

Najchętniej Andrzej Rohacki tworzy na zamówienie — dla konkretnego odbiorcy, konkretnego wnętrza, w konkretnym celu. Daje mu to pewien komfort psychiczny, gdyż zamówienie to honoraria, z których można w miarę spokojnie żyć, ale przecież także — świadomość, że jego dzieła nie trafiają w pustkę, że są komuś potrzebne, sprawiają radość — i to na co dzień.

Kiedyś Muzeum Tatrzańskie, które ma ambicję posiadania prac wszystkich zakopiańskich artystów, zwróciło się do niego z propozycją zakupu kilku rzeczy. Niejeden artysta czułby się zaszczycony. A Rohacki odmówił. Jak sobie pomyślał, że jego prace miałyby leżeć gdzieś w magazynach, zamknięte na klucz...

— Obrazy, grafiki czy rzeźby — mówi — w muzeum są zniszczone, jakby martwe, tracą coś ze swej wartości. Ozywiają dopiero w obecności człowieka, który z nimi obcuje; nabierają prawdziwego blasku, ciepła.

I to chyba w znacznej mierze tłumaczy, dlaczego twórczość Andrzeja Rohackiego nie jest szerzej znana. Zdecydowana większość jego dzieł znajduje się w rękach prywatnych, na wystawy trafiają bardzo rzadko, mało się o nich mówi, a tym bardziej — pisze, choć z pewnością zasługują na dużo większe zainteresowanie. Ale taka jest cenna, jaką tworzący płaci za obranie takiej, a nie innej drogi, za skromność, za osobisty i szczery stosunek do sztuki. Także — za oryginalność, która wbrew pozorom wcale nieczęsto bywa doceniana.

U Andrzeja Rohackiego widac wyraźnie dwa źródła inspiracji: naturę z całym jej bogactwem form i kształtów oraz folklor podhalański, który artysta zna i czuje wręcz instynktownie. Z obu tych źródeł czerpie garściami, ale ani jednego, ani drugiego nie jest niewolnikiem. Wystarczy spojrzeć na jego stwory, na meble, płaskorzeźby, na drobne sprzęty: łyżki, popielnice, czerpaki. Jak bardzo różnią się one od tego, co proponuje nam na przykład Cepelia, czy wielu tak zwanych twórców ludowych. A przecież te łyżki, te popielnice są tak dobrze znanymi, takimi jak cepeliowskie motywami zdobniczymi. Niewątpliwie pozostają w kręgu tej samej, tradycyjnej sztuki ludowej, która — jak widać — różnie jednak może mieć oblicza i — pozostawać wciąż żywą, nowoczesną, zaskakującą swymi możliwościami.

Trzeba tylko umieć podejść do niej twórczo, aktywnie; z zapałem, ale nie na kolanach. Wydaje się, że Andrzej Rohacki dobrze posiadał i te umiejętności. I to jeszcze jedna ważna cecha jego twórczości. Kto wie zresztą, czy nie najważniejsza. Można się bowiem zastanawiać, czy by ta twórczość była, gdyby brakło jej owego ludowego podglebia, a sam twórca nie czuł się przez cały czas trochę rolnikiem: nie uprawiał posiadanej kawałka ziemi, nie dołł krów, nie rąbał drzewa na opał? To już oczywiście ciekawostka biograficzna, ale jakże wiele też wyjaśniająca. Czyżby bowiem w każdym dziele sztuki nie jest zawarta choćby cząstka osobowości jego twórcy?

Podobnie jest z płaskorzeźbami, na których na przykład tancerzy rozbójnicy mają ceramiczne pasy, parzenice, zapinki. Zdumiewające przy tym, jak bardzo te wielobarwne, błyszczące inkrustacje pasują do ciemnego, matowego drewna, z jakim smakiem i wyczuciem są wkomponowane.

Dlaczego technika ta nie jest szerzej znana i stosowana, jeśli tak dobre daje efekty? Banalna sprawa — na ogół rzeźbiarze mało wiedzą o ceramice, a ceramicy — o obróbce drewna. Nie tylko bowiem wśród nau-

Nad morzem i pod lasem

— Ponoć obliczono, że jeden procent turystów krajowych trafia do waszej firmy. Prawdaż li to?

— Prawda, z tym, że nie do nas, a do wszystkich prywatnych biur turystycznych w kraju. Ale i tak jesteśmy konkurencyjni...

— Dla kogo? Dla „Orbisu” również?

— A żebyś wiedział. Według ostatnich danych...

— Oho, będą cyfry, procenty, wskaźniki...

— Ale tylko parę. Kiedyś łódzki oddział „Orbisu” chwalił się na łamach prasy, że 317 osób załogi wykonało obrót w wysokości 1 miliarda 300 milionów złotych, czyli na okrągło — 4 miliony 100 tysięcy na osobę. U nas pięć osób „daje” 100 milionów obrotu, czyli — prosty rachunek — 20 milionów na głowę.

— Piękne szczegóły, teraz wam dopiera „sygną” podatek!

— Każda firma musi płacić podatek obrotowy, niezależnie od dochodowego, samo życie. Ale na całym świecie, co nie oznacza iż także u nas, gdy turystyka zaczyna kuleć, stymuluje się jej rozwój różnego typu ulgami podatkowymi, rozmaitymi formami zachęty do inwestowania w nią. U nas jest akurat odwrotnie...

— Chwała was za operatywność, oryginalność propozycji, a nawet nowatorskie reklamy w gazetach. Ogłoszenia z cyklu „Żywy góral — pieczony baran”, serial „Witaj łaleczko” okraszony rysunkami Andrzeja Mleczki miały wam ścigać klientów?

— Na brak klientów nie narzekamy, ale wiele inicjatyw grzęźnie w gęstwinie ubezpieczeniowych decyzji, niezyciowych przepisów, braku rozeznania turystycznych potrzeb...

— Wolnego, wolnego, konkrety proszę...

— Pierwszy z brzegu: mamy wielu klientów z Pabianic i chcielibyśmy w tym szacownym podłódkim grodzie otworzyć naszą filię — ekspozyturę. Podobnie jak w Bukowinie Tatrzańskiej i Jastrzębiej Górze.

— Zaczny pomysł, a co na to szef, czyli Główny Komitet Turystyki?

— Mielimy zgodę i poparcie. Odmowa przyszła... z Urzędu Miasta w Pabianicach...

— ???

— Tak jest. Piszą nam oficjalnie, że działający tamże oddział PTTK i ekspozytura „Orbisu” funkcjonują prężnie i całkowicie „zabezpieczają” potrzeby społeczeństwa Pabianic!

— Może tak jest w rzeczywistości?

— To ja się pytam, skąd u nas tylu spragnionych turystycznych wojaży z tego miasta? A poza tym: czyje to ryzyko? Chcielibyśmy przez takie filie dotrzeć m.in. do wstydliwie pomijanego dotąd przez wszystkie biura klienta — do rolników.

— Ciekawostka, oni latem nie mają raczej zbyt wiele wolnego czasu...

— Właśnie o to chodzi. Pozwoliłoby to, mówiąc turystycznym slangiem, na równomierne obłożenie bazy, czyli przekładając na język normalny — lepiej wykorzystać nasze domy wczasowe, a tym samym — obniżyć średnią cenę skierowania.

— Pabianice nie wypały, a pozostałe filie?

— Uruchamiamy. A przykładem zrozumienia potrzeb, wręcz wycucia koniunktury jest znakomite układająca się współpraca z władzami Władysławowa, przede wszystkim z naczelnikiem miasta — Gerhardem Sikorą.

— Mówią, że Karwie, Jastrzębia Górę, Cetniewo wzięliście w ajencję...

— Jeszcze nie, ale w trzydziestu domach wspomnianych miejscowości nadmorskich oferujemy ponad 500 miejsc w turnusie, od czerwca do sierpnia. W każdym chcemy stworzyć coś, co umownie nazwalibyśmy „standard „Atlas”. Czyli, porządne wyposażenie podłogowe, radiodiodniki, wszędzie do dyspozycji leżaki, parawany słoneczne, koce, szklanki, talerze...

— Rewelacja, talerze i szklanki do dyspozycji!

— To też ważne, ale daj skończyć. Jest stała opieka naszego rezydenta, uprawniona przedszkolanka, czuwa nad dziećmi, w Jastrzębiej działają świetlice, z kinem i propozycjami imprez kulturalnych. Zapraszamy na wycieczki do Trójmiasta, na Hel, do elektrowni w Żarnowcu, na nocne imprezy plenerowe z ogniskiem i widowiskami. Mało?

— Mało...

— No to jeszcze garść szczegółów. Przywożymy i odwozimy naszych klientów autokarami. Już wcześniej mieliśmy nad morzem lekarską pomoc „na telefon”, a w ubiegłym roku funkcjonował w Karwi gabinet lekarski, z którego korzystali także miejscowi pacjenci. Lekarze z Łodzi działali tam przez cały sezon.

— Ale kiedyś chorą dziewczynkę transportowaliście z nad morza taksówką?

— Owszem i w kilka godzin była pod specjalistyczną opieką. Można wszystko jak się chce; nasza klientka, po wypadku samochodowym, wracała już z Karpacza do Łodzi helikopterem, a zdarzyło się, że na koszt firmy jechał klient taksówką z Jastarni...

— Chwała wam za to. To jeszcze uchylić rąbką tajemnicy w sprawie kortów...

— Już wiesz?.. No więc faktycznie chcemy wybudować korty tenisowe w Jastrzębiej Górze. Będzie przyzwoite zaplecze, mała gastronomia, a zima — bezpłatne lodowisko.

— To już coś. Ale przydałaby się jeszcze wyposażalna sprzętu turystycznego, plażowego,

czy — idźmy za ciosem — przyczep campingowych, rowerów wodnych, desek windsurfingowych. Nie myśleliście o tym?

— Tak też chcieliśmy, a nawet więcej. Ciekawą propozycję współpracy złożyło nam kiedyś przedsiębiorstwo zagraniczne „Tunipol”. Planowaliśmy wspólnymi siłami uruchomić wypożyczalnię sprzętu sezonowego nad morzem i w górach, także zimą. W Łodzi wypożyczasz namioty, a on już w Karwi czeka na ciebie, rozstawiony na polu namiotowym. Nie targasz za sobą nad morze leżaków, butli gazowych czy kajaka. Zimą, w Bukowinie, odbierasz w naszym punkcie „swoje” buty i narty.

— W teorii brzmi to nader zgrabnie i rozsądnie, a w praktyce?

— Niewypał. Oceniono, że byłoby to zbędne rozszerzenie działalności „Tunipolu”, a na zakup takiego sprzętu nas samych nie stać.

— Mieliliście więcej takich strzałów z serii „kula w plot”?

— Nie wiem czy w plot, ale sporo. Ot, choćby marzyło nam się uruchomienie ekspresowej linii autobusowej do Bukowiny i Zakopanego. Nasz wyjazd z Łodzi godzinie później od rejsowego, „pekaesowskiego” i minimum tyleż samo wcześniej meldował się na miejscu.

— Czyli postoję wyłącznie z przyczyn fizjologicznych...

— Właśnie, a po drodze można jeszcze w autobusie obejrzeć jakiś ciekawy film z magnetowidu. Ewentualne wolne miejsca chcielibyśmy odstąpić „Orbisowi”, któremu ten pomysł przypadł do gustu. Sprawa okazała się nie do przeskokoczenia z prozaicznych przyczyn. Ponieważ byłoby to łamanie monopolu PKS, więc na każdy postój musi być wydana zgoda Ministerstwa Komunikacji i stosownych, lokalnych władz. No i niby my mielibyśmy to wszystko załatwić...

— Na takie „rozwiązanie” bym nie wpadł. Będę strzelał (gdzie się ukaże zegar?..): zrezygnowaliście z imprezy?

— Brawo, wygrał pan kolorowy telewizor, czy grasz dalej, o suszarkę do włosów?

— Oczywiście, poproszę drugi zestaw pytań.

— No to posłuchaj. Mieliliśmy też propozycję turystycznej współpracy ze strony firmy z Berlina Zachodniego.

— Znam, znam: przekraczało to wasze u-

prawienia?

— Nie przerywaj. Przybył przedstawiciel firmy, poprosił o prezentację naszej bazy, obejrzał pensjonaty w Karpaczu, Ładku, Jastrzębiej Górze, porobił zdjęcia. Ponieważ nam — jak słusznie zauważyłeś — nie wolno zajmować się turystyką zagraniczną, poradzono, by jako pośrednika dobrać do spółki państwowe biuro podróży, które wykupuje u nas wybrane przez Niemców domy placąc złotówkami, a dla siebie bierze „wsad” dewizowy...

— Przednia myśl!

— Zgodziliśmy się, niemiecki kontrahent również. Ale to państwowe biuro, mniejsza o nazwę, w ogóle nie było tą imprezą zainteresowane. A miała ona przyniesić, według wstępnych obliczeń, minimum 300 tysięcy marek rocznie. Dwa razy przyjeżdżali Niemcy do Warszawy po „głupie” foldery, które miały ponoć na nich czekać i...

— Odpowiadam na drugie pytanie: czekała na nich kartka z adnotacją „Wyszedł do biura” lub „Jestem w dyrekcji”.

— No, coś w tym rodzaju. Zrezygnowali, wycofali się. A szkoda, bo poza „żywą” gotówką chcieli inwestować w rozwój naszej bazy, proponowali dodatkowe wyposażenie domów, budowę kortów tenisowych.

— Dobra, dobra; kraj potrzebuje dewiz, ale nie za wszelką cenę...

— Czyli jest jak jest, a ponieważ, to co jest, to nie jest to, więc nie ma nic.

— Bez uszczypliwości proszę. Przyszanujcie się lepiej kolego, jak wyglądać ma odcinek skarg i zażaleń dla odmiany. Słyszałem, że coś nie- tego...

— Proszę bardzo, wszystko do sprawdzenia, służymy odpisami. Skargi były dokładnie cztery. Jedną — że w Jastrzębiej Górze jest urwiszko, a my przekonywaliśmy klientów, że to tylko wysoki brzeg. Komuś przeskakały lisy hodowane po sąsiedku, innym — pijackie burdy tubylców, a ostatnia skarga dotyczyła kresowych kłopotów z wodą w Bukowinie Tatrzańskiej.

— Właśnie, zamiast nikomu niepotrzebnych kortów, w studnie głębinowe byście zaczęli inwestować...

— Rozpatrzmy propozycję, choć te nasze uprawnienia i koszty...

— Znow te pieniądze! No, to przyszanujcie się, bez owijania w bawełnę — ile z tego biura macie?

— Forsy jak lodu. Zakładając, że sprzedamy wszystkie miejsca wcześniej zakupione — po 30 tysięcy złotych miesięcznie „na leń” plus 875 złotych na żonę i dziecko.

— Ładny wynik; boję się, że po tym komunikacie dalsi konkurenci zaczną się rodzić jak grzyby po deszczu.

— Zapraszamy, jesteśmy za...

Z szefami Prywatnej Agencji Turystycznej „Atlas” — GRZEGORZEM RACHAUSEM I KOSTKIEM SZWEMBERGEM rozmawiał

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Każdy góral rodzi się drwalem



Foto: Paweł Tomaszewski

wracając do niego i pozostając mu wierny w całej swej także oryginalnej twórczości plastycznej.

Na tę oryginalność składają się dwa zasadnicze elementy: własny styl, jaki artysta zdołał wypracować przez lata, oraz doskonała niepowtarzalność prawie wszystkich dzieł, które opuszczają jego zakopiańską pracownię. Bo choćby nie wiem jak się starać, nie można tego powielić, podrobić, skopiować. To są naprawdę unikatki!

Na przykład meble. Oczywiście nie takie ze sklepu, produkowane seryjnie, ale robione ręcznie, na zamówienie. Z czego zazwyczaj powstają? Jasne, że z desek. Andrzej Rohacki również używa desek, ale raczej rzadko. Najczęściej robi meble z karpiny, czyli pui, konarów, korzeni, którym zasadniczo kształt nadała natura, a które on potrafił odpowiednio wykorzystać.

Z pozoru wydawać się to może bardzo proste — wziąć sekaty pień, coś tam przyciąć, coś dodać, wyrównać, wygładzić i już mamy stół, czy stół. W rzeczywistości sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana i wymaga — ale przede wszystkim — wyobraźni, którą przetoż, który przedobrzez ma — zdawałoby się — bezużyteczny i bezkształtny kawał drewna w efektowny mebel, w prawdziwe dzieło sztuki.

Pierwsza trudność polega na wyszukaniu właściwego materiału, czyli — najczęściej — ściętych pni wierzby. Zdarzało się, że Andrzej Rohacki jeździł po nie kilkadziesiąt kilometrów, choć bywa też, że górale przywożą mu karpinę na podwózek — i to wcale nieproszeni, wiedząc dobrze, że chętnie ją weźmie.

Dalej trzeba mieć dużo wyobraźni, sporą kizępe i nadto znać na wylot wszystkie właściwości drewna, gdyż najpierw należy dojrzeć w takim kawałku karpiny to, co ma z niego powstać, a potem tak go pociąć, czy rozłupać, by otrzymać dokładnie pożądaną kształt, a przy tym nie zniszczyć, nie prowadząc pnie, czy też wbiłając klin w nieodpowiednie miejsce. Już tylko to czynności kosztują bardzo dużo czasu i wysiłku, a

ny, choć niestrudno rozpoznać spod czyjej wyszedł ręk. Zwiastują, jeśli jest jeszcze inkrustowany... ceramiką.

I tak oto wylania się druga charakterystyczna cecha twórczości Andrzeja Rohackiego, który jako jedyny chyba w Polsce z wielkim powodzeniem łączy ze sobą dwa tak odmiennie materiały, jak drewno i — właśnie — ceramika.

Skąd wzięło się to niezwykle i niespotykane zestawienie? Odpowiedzi należy dopatrywać się przede wszystkim w sposobie, w jaki Rohacki wykorzystuje swe podstawowe tworzywo, a więc drewno.

Była mowa o meblach, więc co nieco już na ten temat wiemy. Ale przecież oprócz mebli tworzy on także szereg innych rzeczy, jak choćby płaskorzeźby (można je oglądać m.in. w kilku domach wczasowych i np. w budynku zakopiańskiej poczty przy rogu Krupówek i Kościuszki), czy tak zwane stwory z gałęzi i korzeni, które sama zbiera. Są one tak fantazyjnie powyginałe przez naturę, że nawet w stanie surowym przypominają czasem koty, psy, ptaki, pajaki, krokodyle... I znów można by sądzić — nie prościej, Tymczasem jeśli dokładnie przyjrzeć się owym korzeniom czy gałęziom, to da się zauważyć, że każdemu ze zwierząt coś brakuje: a to ogona, a to oczu, to znów pan-cerza. I o te właśnie brakujące elementy uzupełniane są stwory innymi kawałkami drewna oraz ceramiką, dzięki czemu natychmiast jakby ożywają, stają się bardziej kolorowe, bardziej przyciągają uwagę.

Podobnie jest z płaskorzeźbami, na których na przykład tancerzy rozbójnicy mają ceramiczne pasy, parzenice, zapinki. Zdumiewające przy tym, jak bardzo te wielobarwne, błyszczące inkrustacje pasują do ciemnego, matowego drewna, z jakim smakiem i wyczuciem są wkomponowane.

Dlaczego technika ta nie jest szerzej znana i stosowana, jeśli tak dobre daje efekty? Banalna sprawa — na ogół rzeźbiarze mało wiedzą o ceramice, a ceramicy — o obróbce drewna. Nie tylko bowiem wśród nau-

Skandal — wszyscy wiemy, co pod nim się krywa. Jego podstawowa definicja nie jest skomplikowana, łatwo ją zbudować. Jest zjawiskiem społecznym, pojawił się przypuszczalnie wraz z powstawaniem i utrwalaniem się stosunków międzyludzkich, objawia się z reguły gwałtownie, choć narasta powoli, ma wreszcie odcienie przeróżne: obyczajowe, polityczne, artystyczne, finansowe itd. Skandal wystąpił wtedy, gdy zostają jaskrawo naruszone ustanowione klędy i respektowane dotychczas konwencje, podważony status życia społeczno-moralnego. Gdy przestaje funkcjonować tabu skrywające troskliwe wstydlive czy haniebne czyny. Zazwyczaj dzieje się to za sprawą demaskatorów, występujących przeciwko gwałtownikom norm. Siedząc mechanizmy tego rodzaju procesów, drobniagowa analiza zawsze winna ujawnić ich interes ogólny czy prywatny. Srodki i intencje, jakie przyswajają wszelkiego autoramentu „łowcom głów” — bo w gruncie rzeczy chodzi o osoby — są rozmaite jak i poziom etyczny skandalopisarstwa.

Teatr, film, jak każda dziedzina sztuki, ale przede wszystkim dzieje tych sztuk, dostarczają nam faktów czy wydarzeń skandalicznych, z których ułożyć by można wcale kolorową *chronique scandaleuse*. Warto też zauważyć, że skandal najczęściej towarzyszy sztuce, jest czymś w stosunku do niej zewnętrznym, aczkolwiek samo zjawisko artystyczne może mieć wymiar czy posmak skandaliczny.

Moja relacja odnosi się do czasów współczesnych. Jest jakaś prawdziwość, nie do końca naprawdę docieczona, iż skandale wybuchają i rozprzestrzeniają się w najmniej oczekiwanych miejscach. Myślę tu o Wiedniu, mieście atrym i spokojnym, tradycyjnie nieco lekkomyślnym i dowiepnym, o uderzającej obserwatora stabilności i tradycyjnej stateczności. Niejedno z tych oznaczeń może charakteryzować tamtejsze życie teatralne. Może dlatego, w takich warunkach, w atmosferze pogodnej stagnacji, narodziło się skandalopisarstwo Tomasza Bernharda, wybitnego prozai i dramaturga, nieco już znanego u nas. Od dłuższego już czasu, z godną szacunku wytrwałością (i konsekwencją) konstruuje z furii i chęcią z nieokreśloną nienawiścią retoryczne tyrady przeciw wszystkiemu co austriackie: tradycji artystycznej, filozofom, ludziom sztuki, instytucjom, nawet państwu. Deprecjacja obejmuje również powszechnie uznawane wartości i dzieła. Oto bohater jego utworu („Der Theatermacher”), muzykolog Regner powiada, że Dürrer to „Ur-und Vornazi”, a Heidegger to „Voralpenschwandenker”. Ataki te podejmuje zwłaszcza w sztukach teatralnych, w formie stylizowanych, tasiemcowych monologów. Bernhard, pierwszy gniewny w powojennej literaturze austriackiej, przez jednych uznawany za prowokatora, przez przeciwników, zwolenników wyciszania napięć — osobnikiem wyidealizującym własne neurozy, kalającym przy tym gnizdo rodzinne — przypomina do pewnego stopnia swoją pasją krytyczną wielkiego moralistę-pamfletistę Karola Krausa — z początku wieku. Bernhard drwi, szydzi, ironizuje, znieważa, nawet znieważa, często popada w konflikt, kończące się procesami sądowymi.

Jednym z ostatnich utworów, wyrażającym prawdziwie wściekłe odium była komedia (pod tytuł) prozą pt. „Alte Meister”, tekst obszerny rozpisyany na 312 stronach. Takie akcenty posiada sztuka „Die Berühmten” (Sławni) z roku 1976, w której w postaciach lalek pokazał jawdowie m.in. Maxa Reinhardta, Aleksandra Moissi, Artura Toscaniniego i innych. Jak się zdaje, najbardziej wszakże napastliwy jest dramat „Der Theatermacher”, wystawiony w 1985 w Salzburgu i przyjmowany ponoc z aplauzem przez festiwalową prapremierową publiczność. Claus Peymann, nowy dyrektor Burgtheater, od lat zaprzyjżony przyjaciel Bernharda, uważający go za „wielkiego moralistę”, swój okres wiedeński rozpoczyna powtórzeniami z Salzburga, wystawi „Der Theatermacher” oraz sztukę, również już opublikowaną pt. „Ritter, Dene, Voss”; nie znam jej treści, ale niestety się domyślić, o czym będzie traktowała, skoro orientujemy się w predylekcjach demaskatorskich autora.

Konflikt obecnego szefa Burgu z ministrem kultury już trwa: przedmiotem sporu jest jaskrawo kontrowersyjna twórczość Bernharda. Wyobrażam sobie, jakie to reperkusje mogą mieć owe dwie rzeczy teatralne wystawione w stolicy.

Krótką opowieść o nadzwyczaj płodnym pisarzu („Schnell-Dichter”) z Ohlsdorf (wieś w Górnej Austrii, mieszka tam od 20 lat) jest właściwie wstępem do głównej story. A mianowicie o autorce, która z nie mniejszą niż Bernhard agresją staje się — ściślej mówiąc — już jest jego literackim i ideowym sojusznikiem. I chyba nieoczekiwanie przychodzi mu w sukurs w tej batalii. Według wiedeńskiego „Profilu”: „Elfriede Jelinek, najbardziej zawzięta i bezlitośna autorka, jaką Austria wydała przeciw sobie, uderza tak zapamiętałe, z taką wściekłością, wobec czego rutynowe o-belżywe tyrady Tomasza Bernharda są cichym beczaniem” tom prozy „Ob Wildnis, oh Wildnis, oh Schutz vor ihm” („Ach dziec, ach dziec, ach chronię przed nim”) jest radykalnym obrazunkiem literackim Jelinek z dzisiejszą Austrią spokrewnioną z nazizmem”. Ta książka, podobnie jak niemal wszystkie utwory Bernharda, ukazała się w RFN. Oskarżenie pod tym adresem, ale skierowane — co więcej — pod adresem personalnym, sformułowała również w sztuce teatralnej, o czym za chwilę. Jelinek (ur. 1946) wychowywała się w Wiedniu, po orzeczkolu i szkole podstawowej, prowadzonych przez siostry zakonne, wstąpiła do publi-

cznego gimnazjum. Studiowała w Konserwatorium Wiedeńskim (organy, fortepian, flet), prywatnie pobierała naukę gitary. Studiowała w Uniwersytecie Wiedeńskim teatrologię i historię sztuki, przerywała te studia po sześciu semestrach, a konserwatorium kończy egzaminem państwowym jako organista (1971), od 1969 — zajmuje się literaturą. Na jednym ze zdjęć pozuje przed komputerem, pracując z jego pomocą bez tradycyjnego notatnika. O ile jej proza nie wywołała dotychczas skandalu w Wiedniu, farsa pt. „Burgtheater”, wystawiona w Bonn spowodowała nad Dunajem wiele hałasu, wrzawy — i zakłopotanie.

W artykule o okolicznościach wystawienia i problematyce tej sztuki („Theater Heute” 1986, nr 1) powiada się, iż jest rzeczą zgola śmieszną, aby uznać ją za dzieło skandalizujące. To nie jest sztuka demaskatorska — zapewnia autorka w wywiadzie udzielonym temu czasopiśmie — a znana wiedeńska rodzina aktorska postużyła mi jako temat. „Burgtheater” jest sztuką o języku, o niszczeniu języka, jest w niej swoisty wyciąg z języka, którym mówili nazisci. Struktura tego dramatu jak i trzech sztuk już napisanych przedstawia się modelowi teatru klasycznego. Nie przepowiada się w nich żadnych zewnętrznych fabuł, każdy utwór stanowi kompozycję zestawioną ze słów, rytmów i działających postaci. „Jestem muzykiem — oświadcza — komponuję jedynie moje teksty”. Otóż eksperymet językowo-muzyczny Jelinek nie znalazł

STANISŁAW KASZYŃSKI

Skandale teatralne

uznania u krytyków, sukces artystyczny bońskiego przedstawienia okazał się mocno wątpliwy, jednakże dosłuchano się przecież całkiem niedwuznacznych aluzji do spraw zgola innych. Po prostu Jelinek ewokowała przeszłość, pozornie zagrzebaną, a świadomie wyciszoną, zastygłą. Wszakże autorka wyznała gdzieś indziej: „Sztuka odnosi się do realnych osób, które w czasach faszystowskich należały do elity aktorskiej”. To jedno zdanie wystarczyło. Znamien-na w tym kontekście jest opinia wiedeńskiej „Die Presse”: „Morduje się tu narodowe świętości sztuki aktorskiej, które w atmosferze czci podniesiono do wyżyn nietykalności. Prawie na nie się zda, gdybyśmy zadecydowali odczytać, że my wszyscy musielibyśmy odkryć w sobie podobne rysy. Nie sposób sobie wyobrazić, jakie reakcje mogłaby ta sztuka spowodować w Wiedniu”. Z nieukrywana złością satysfakcją, z uczuciem, jak Niemcy mówią „Schadenfreude” zauważył jeden z zachodnio-niemieckich krytyków, że i Wiedeń ma swój „smietnik” — jest to aluzja do tytułu sztuki Fassbindera.

O kogo chodzi?

Głównymi bohaterami są Paula Wessely i jej mąż Atilla Hörbiger, na drugim planie — jego brat, wszyscy znani powszechnie, wybitni aktorzy pochodzący ze świetnego rodu aktorskiego. Spośród nich, najnieślawniej utrwaliła się w annałach filmowego akterstwa III Rzeszy Paula Wessely, gwiazda pierwszej wielkości. Punktem kulminacyjnym jej kariery był udział (wraz z małżonkiem), w tytułowych rolach, w filmie „Heimkehr” w reżyserii Gustawa Ucickiego. W roku 1941 małżonek Atilla nakreślił film pt. „Wetterleuchten um Barbara” („Błyska się wokół Barbary”), jednoznacznie antyaustracki obraz, który ex post próbował usprawiedliwić poddanie tzw. Anschluss Austrii przez Niemcy hitlerowskie.

10 października 1941 odbyła się uroczysta premiera filmu „Heimkehr”, na zaproszeniu, przygotowanym na papierze czerpanym, raczyli umieszczyć teksty okolicznościowe sam Führer, Goebbels i dyktator Austrii, wówczas nazywanej Ostmark (Marchia Wschodnia) — Baldur von Schirach; cytowany wyżej numer „Theater heute” jako jedną z ilustracji szkicu o tych właśnie sprawach (współpracy z reżimem hitlerowskim) reprodukuje archiwalne zdjęcie Wessely z dwoma dopiero co wymienionymi osobnikami, „Heimkehr”, obok „Der ewige Jude” oraz „Zyd Süß” należy do najbardziej upiornych i złowrogich, wyrafinowanie demagogicznych i podburzających filmów nazistowskiej propagandy. Jest opowieścią o tzw. Niemcach wolińskich, którzy posłuszni wezwaniu Führera w grudniu 1939 udają się w wędrówkę do Rzeszy. Film pokazuje Polaków jako bestialskich Untermenszów, a Żydów jako podstępnych podlegaczy i oszustów, którzy wspólnie z niebывалą wrogością uciśkają pokojowo usposobioną blond-mniejszość niemiecką do czasu, gdy do Polski wkraczają niemieckie czołgi, uwalniając ich od niechczonej śmierci i wprowadzając „do domu”. Stąd „Heimkehr” — „Powrót do domu”. Film ten zupełnie otwarcie legitymował decyzję ataku na Polskę. Ułubieni aktorzy filmowi winni byli i mogli nastrajać emocjonalnie masy do wojny, utożsamiając się z ofiarami terroru polskiego. Temu służyła m.in. wielka scena w więzieniu, w której Wessely sugestywnie eksploatowała cały rejestr współczesności publiczności. Oto ów monolog: „Ludzie, na pewno dotrzemy do domu. Pomyślcie o tym, jak wtedy będzie pięknie, gdy wszystko wokół nas znów będzie niemieckie! Idąc do sklepu, nigdy nie usłyszycie jidysz czy polskiego, lecz tylko język niemiecki! I nie tylko wieś, w której mieszkamy, będzie niemiecka, wszys-

tko będzie, wszystko niemieckie! Zamieszkamy w sercu Niemiec. Będziemy mieszkając na dobrej, gorącej ziemi niemieckiej. Przy ognisku rodzinnym, w prawdziwym domu. A wokół biją miliony serc niemieckich. Jak cudownie będzie nam w sercu, gdy pomyślimy, że skiba roll i skala, i kołyszące się trawy, i chwiejące się pręty leszczyny, i drzewa, wszystko jest niemieckie. Jako że wszystko powstało i narodziło się z milionów niemieckich serc, przyniknęło do ziemi i stało się ziemią niemiecką. Bawiem nie tylko żyjemy po niemiecku, po niemiecku również umieramy. I jako umarli pozostaniemy Niemcami, stając się częścią Niemiec. A wokół ptaki śpiewają, i wszystko jest niemieckie”.

Jak oto ogłoszona teoria rasistowska „Blut und Boden” materializowała się w tekstach tzw. dzieł sztuki! Przerażające.

Sigrid Löffler, z której znakomitego i niezmiennie krytycznoironicznego szkicu podaje niektóre fakty, pisze, iż „Heimkehr” był wysoko dotowanym przedsięwzięciem (Grossprojekt); kosztował ponad cztery miliony marek. Goebbelsowska maszyna propagandowa, w czasie kręcenia tego filmu w ciągu miesięcy na terenach okupowanej Polski, w niezliczonych re-

portażach, wywiadach, artykułach obwieszczała, że powstaje „wielki film”, „film narodowy”. Löffler notabene. Wiedeńka przy tej okazji przypomina także o zarobkach „zaufanych” artystów. Od pierwszego swojego filmu („Maskarada”, 1934) Wessely była jedną z najpopularniejszych aktorek niemieckiego filmu, w pięć lat później — top star. Przed wybuchem wojny Frau Paula inkasowała 120 tysięcy marek za film, była drugą na liście pięć po śpiewaczce operetkowej Zarah Leander, którą nazisci wycenili na 150 tysięcy. Dla porównania: Karl Böhm, w czasie wojny dyrektor opery w Dreźnie, otrzymywał 50 tysięcy marek rocznie, zaś małżonek Pauli Wessely, Atilla za film — jedynie 77.333 marek.

Jak pamiętamy, „farsa ze śpiewem” (pod tytuł) Jelinek nie została jeszcze zaprezentowana wiedeńskiej publiczności. Może zdecydować się na jej pokazanie dyrektor Burgu, może być, że gwoł wyakcentowania skandalu wystawi „Burgtheater” jakiś teatr prywatny. Tymczasem odezwała się główna oskarżona: „Nie chcę polemizować ze sztuką pani Jelinek, ale z pewnością nie będę dążyła do jej zawieszenia. Odniosę się również do roli, jaką odgrywałam w czasie nazistowskim: tak, jest mi przykro, że wtedy nie miałam odwagi przeciwstawić się pochwałom reżimu na mój temat, że nie odważyłam się po prostu przerwać pracy podczas kręcenia filmu „Heimkehr”. Chyba jednak zrobiłam coś pożytecznego, pomagając rzeczywście konkretnym ludziom, żydowskim kolegom i przyjaciółom”.

Jak wiadomo, zdarzają się wypadki odmowy. Co więcej. Można było nawet odmówić udziału w takim filmie jak „Zyd Süß” (trzech aktorów nie zgodziło się na zagranie tej roli).

Nie streszczając dalszych losów małżonków Wessely-Hörbiger: wyszli oni z opresji wojennych i z kompromitującej kolaboracji z nazistami obronną ręką. Ba, nie stracili zupełnie rezonu i dobrego samopoczucia wtapiając się w rzeczywistość artystyczną. Choć nie zapomniano im intymnych związków z hitlerowską sztuką, małżonkowie musieli przejść przez czyszcenie denazyfikacji. Wessely już 15 grudnia 45 uzyskała rehabilitację, a wraz z nią pozwolenie grania w amerykańskiej strefie. 29 marca 1946 występuje w Wiedniu w sztuce Brechta „Dobry człowiek z Seczuanu” w roli Shen Te, na co ostro protestuje autor (list Heleny Weigel do radykulturalnego Wiednia). Małżonek czeka na akt laski nieco dłużej, wprawdzie przez pewien czas musi chodzić z łopata, ale w 1948 o wszystkim zapomniano i wybaczone mu wszystko. Wkrótce Wessely w filmie „Der Engel mit der Posaune” („Anioł z puzonem”) w reżyserii E. Lothara gra bardzo sugestywnie zaszczytą, ściganą Żydówkę, która popełnia samobójstwo w obawie przed aresztowaniem przez gestapo. W niespełna dwa lata potem małżonkowie znnowo współpracują ze starym przyjacielem, reżyserem „Heimkehru”, filmując „Kirbisch” według A. Wildgansa. I wreszcie — Wessely zagra tytułową rolę w bardzo podłym filmie o homoseksualistach („Das dritte Geschlecht”) — „Trzecia płeć”. Reżyserował Velt Harlan, twórca filmu „Zyd Süß” z 1940 roku. Ale, jak powiadać Löffler, w roku 1957 ta historia nikogo już nie poruszyła.

Opracowując te niesamowite afery, zająrałem m.in. do dwutomowego leksykonu „Oesterreich” wydanego w 1966 roku. W hasle „Wessely Paula” (ur. 1907) jej działalność zawodową biograf zaczyna dopiero od roku 1951. Dowiadujemy się z niego, iż w 1949 otrzymała zaszczytne wyróżnienie — „Reinhardt-Ring” (Piersień Maxa Reinhardta, który musiał co spieszej opuścić hitlerowskie Niemcy. Równie dyskretny w tych żenujących życzliwych jest biograf jej męża, Hörbigera. Pozostawiono także w spokoju wielu aktorów Burgu, spośród nich 35 było członkami NSDAP, i bardzo wielu artystów z innych dziedzin. Np. wiedeński fil-

harmonicy, w znacznym procencie narodowo-socjalisci, zupełnie nie podlegali denazyfikacji. Nie wspominając mocno obciążonych za współpracę z reżimem, przeszłych jednak przez rehabilitację, takich wielkości świata muzycznego jak Karl Böhm czy Herbert von Karajan.

Wszystko ulega zapomnieniu, kurczy się ludzka pamięć. Wybitny, dziś 80-letni aktor Bernhard Minetti, który jeszcze kilka lat temu w rozmowie z Clausem Peymannem określił siebie jako „absolutnego przeciwnika nazistów”, obecnie w swoich ostatnio wydanych wspomnieniach stał się bardziej powściągliwy: „Czy byłem nazi? Chciałem grać, a nie iść do obozu koncentracyjnego. Coż ja wiedziałem o Oświęcimiu, Majdanku, Treblince? Nic. Nie byłem w partii, nie korzystałem z przywilejów reżimu. Wszyscy żyliśmy przytłumieni, pozbawieni ciękawości, nie dociekający żadnych spraw”.

Cytat poniższy z gazety wiedeńskiej niech posłuży jako zamknięcie tej opowieści: „W chwili obecnej zniewielienie stało się modą — jako rodzaj przeciwwagi dla dawnej austriackiej nostalgii. Zaczął Tomasz Bernhard, Elfriede Jelinek kontynuuje. Tylko że Bernhard wobec Jelinek wyróżnia się wytworną powściągliwością. Sztuka teatralna Jelinek jest nieprzerwanym zadawaniem ciosów poniżej pasa. Niechybnie udział Austrii w ruchu narodowo-socjalistycznym nie został właściwie określony, ale w 40 lat potem jest za późno, żeby wypuszczać taką kanonadę nienawiści, jaką zawiera ta sztuka. Z jednej strony w punkcie centralnym stoi rodzina aktorska Hörbiger-Wessely, która z uwagi na artysty, jak reprezentuje, jest za wielka, by z pomocą tanich i bezwzględnych chwytów pograć ją w najgłębsze bagno, z drugiej jednakże strony dla literackich ludożerców jest oczywiście za wcześnie, by znaleźć właściwy dystans. Przy obróbie tak drażliwej materii nie ma w nich tej odrobiny wrażliwości, której brak tak brutalnie piętnują u innych”.

I jeszcze jeden skandal. Tym razem wokół sztuki R. W. Fassbindera pt. „Der Müll, die Stadt und der Tod” („Śmietnik, miasto i śmierć”), napisanej w 1976 roku. Utwór ten od dawna wzbudzał liczne i gwałtowne kontrowersje, nikt, jak się zdaje, nie przypuszczał, iż jej prapremiera (ostatycznie przesuwany termin: 13 listopada ub. r.) w Teatrze Kameralnym we Frankfurcie n/M. tak się zakończy — manifestacją protestacyjną przed budynkiem oraz na scenie tuż przed przedstawieniem. Gorączka, przede wszystkim może prasowa, wokół tej sztuki zwłaszcza, panowała od kilku miesięcy. Dominującym motywem w owych wystąpieniach publicznych był rzekomy antysemityzm tekstu. Stąd udział w akcjach protestacyjnych wielu Żydów, m.in. przewodniczącego frankfurckiej Gminy Żydowskiej; nawiasem mówiąc, zdaniem niektórych krytyków, miał on być ponoc prototypem „Bogatego Żyda”, jednej z postaci „Śmietnika”. Czyż aż tak obraźliwa mogłaby być taka sytuacja ze sztuki, taki układ personalny, że kochanka „Bogatego Żyda” jest prostytutką, córka żarliwych nazistów, a jej u-trzymanek, ocalały z totalnego pogromu, znajduje w niej powiernicę dla swoich wyrznię, pakuje przy tym z dawnymi mordercami, robiąc z nimi ciemne interesy? Albo wypowiedź jej drugiego przyjaciela-nazisty, również spekulanta wielkiego formatu, zaczynająca się w ten sposób: „Wysysa on z nas krew, Żyd. Pije naszą krew i wyrządza krzywdę, bo jest Żydem i my ponosimy winę”? Z licznych rzeczowych omówień (sztuki nie czytałem) wcale nie wynika, iż utwór ten, przy całej swojej wieloznaczności, ma taki wydźwięk, zawiera wyraźne akcenty antysemickie. Można raczej mówić o swoistej nadwrażliwości, o zbyt schematycznym, jednostronnym odbiorze. W subtelny esej z elementami reportażu pióra Petera von Beckera, znakomitego krytyka teatralnego (może najwybitniejszego w RFN) znajduje się opis następującej sceny: W zgromadzonem w foyer tłumie krytyk przypadkowo słyszy, jak jakiś młody człowiek opowiada jakimś (zagranicznemu?) dziennikarzowi, ilu to jego krewnych, wujów, ciot zostało zamordowanych w komorach gazowych. Po kilkunastu minutach ten sam młody człowiek w zapełnionej widowni, przed majacymi się rozpocząć przedstawieniem, podnosi się i mówi, że wychował się we Frankfurcie, jest Żydem, a jednocześnie obywatелеm Republiki Federalnej, jest natomiast przeciwny wszelkim ograniczeniom w prowadzeniu dyskusji i polemik za pomocą cenzury czy blokady teatru. Oświadczając to także swoim przyjaciołom i kolegom szkolnym, którzy stoją teraz na scenie (około 30 osób), nie pozwalając rozpocząć przedstawienia. Na to dictum starsza pani z szeregu demonstrantów krzyknęła, że „zdradcy” między Żydami byli już przed 2000 lat.

W komentarzu do swej sztuki Fassbinder, odrzucając płaski zarzut antysemityzmu, czyni trafne spostrzeżenie, że Żydzi po roku 1945 w Niemczech stanowili tabu, które wcześniej czy później będzie odsłonięte. „Właśnie historyczne tony w tej dyskusji nad moją sztuką umacniają moją obawę przed „nowym antysemityzmem”, i właśnie ta obawa kała mi napisać tę sztukę”.

Becker: „To żadne arcydzieło ani sztuka dla potomnych (któż takie rzeczy pisze?). Tylko kawałek teatru, poza tym to sztuka współczesna. Można jej nie grać. Ale trzeba było umożliwić jej wystawienie”.

Zwolennicy wymiany kontrowersyjnych poglądów, którzy zamierzali prowadzić dyskusję z aktorami, reżyserem i dyrektorem teatru po przedstawieniu — ponieśli klęskę. A zmarły w 1982 roku autor nie dożył tej frankfurckiej afery.

Wuj Edward, którego granatowy mundur o srebrnych haftach i akselbantach, obok licznych krzyży i medali, zdobiła ozka Orlik lwowski, bardzo imponował Krzysiu.

Był to mężczyzna czterdziestoletni, elegancki i przystojny. Raczej małowym, kiedy już zabierał głos, to zawsze w sposób przekonujący i budzący zaufanie. Krzysię zapamiętał opinię wuja, wypowiedzianą na gorąco po ogłoszeniu przez sąd w Krakowie wyroku w słynnej sprawie Gorgonowej.

— Skandal — powiedział. — Siedem lat więzienia za tak straszną zbrodnię to nie wyrok, a unik. Jeżeli Gorgonowa zabiła, orzeczenie jest zbyt łagodne. Tylko najwyższy wymiar kary wchodziłby w grę.

— A jeżeli nie zabiła? — wtrącił pytanie ojciec Krzysia.

— W takim przypadku sąd powinien był mieć odwagę ją uniewinnić. Tymczasem ława przysięgłych z jednej strony nie przekonana o winie oskarżonej, a z drugiej będąc pod naciskiem hecy, jaką wokół sprawy rozpętała brukowa prasa, szukała kompromisu, drogi pośredniej. A tej sprawiedliwości nie zna. Powtarzam: wyrok jest kompromitacją sądu i naszego wymiaru sprawiedliwości.

Krzysie nie miał w tej materii własnej opinii, na to był za mały, ale sam ton wypowiedzi wuja tak mu przypadł do gustu, że poczuł się solidarny z jego poglądem. Zresztą gdy patrzył na zdjęcia oskarżonej zamieszczane w gazetach, wspomniał jeszcze tej kobiecie o pięknej twarzy i nienagannej figurze. Marzyło mu się nawet, by na czele grupy podobnych mu błędnych rycerzy sforsować bramę więzienia kobiecego w Fordonie nad Wisłą i wyprowadzić nieszczęśliwą na wolność. Widział w wyobraźni siebie otwierającego drzwi celi i wypowiadającego jasnym głosem słowa:

— Dość cierpień! Jest pani wolna.

Cudownie oswobodzona spojrzalaby niechętnie na wybaciciela wielkimi ciemnymi oczami, by osunąć się przed nim na kolana, w ten sposób wyrażając wdzięczność.

Dalszy ciąg wymyślił Erwin, gdy Krzysie zaproponował mu wspólną zabawę w oswobodzenie Gorgonowej. Według tego pomysłu nieszczęsna niewiasta miała oświadczyć:

— Dzięki ci, szlachetny panie, za to, że uwieżyłeś w mnie niewinną. Uwolnienie mnie z więzienia przywraca mi wiarę w ludzi i w sprawiedliwość. Ale co mam zrobić z tak cudownie odzyskaną wolnością? Do inżyniera Zaremby nie wrócę. On zwątpił w moją niewinność. Cień zamordowanej stałby zawsze pomiędzy nami. Poza nim zaś nie mam w Polsce żadnego oparcia. Jestem Dalmatyńczyką i wszyscy mnie tu mają za obcą. Może dlatego tak łatwo obciążyli mnie winą za morderstwo. Cóż mi więc pozostaje? Jak mam dalej żyć? Otóż przyszłość swoją składam całkowicie w twoje ręce, panie Rogoziński! Zna czy niewolnica — wszystko mi jedno. Jam twoja na wieki!

— I usta wasze złączą się w długim, namiętnym pocałunku — dokończył Winiek.

Krzysia przeraziła trochę perspektywa takiej odpowiedzialności nawet w zabawie, ale wstydził się przyznać do słabości przed Erwinem. Gra odbyła się zatem z zakończeniem zaprogramowanym przez Melnerta.

Wuj Edward nie kojarzył się jednak Krzysiu wyłącznie z aferami kryminalnymi.

Zresztą w nowotoku, nieskazitelnie odprasowanym mundurze i ze swoim mądrym, łagodnym spojrzeniem wydawał się stać wysoko ponad ponurym królestwem przestępstw i okrucieństwa. Jego wypiełgane ręce nie mogły nurzać się w brudach i mętnych falach życia.

Nie zapominajmy, że Krzysiof ma w tej fazie naszego opowiadania około dwunastu lat. W tym wieku niezbyt chętnie obcuje się ze skomplikowanymi problemami codziennosci. Chętniej wita się sprawy mające nadzieję rozrywkę czy zabawę. A i w tym miał wuj Edward walny udział. Wystarczyło, by do miasta przybywał słynny cyrk braci Stanisławskich, cyrk pod wodzą noszący nazwę Korona, zagraniczny luna-park, czy inna tego rodzaju antrepriza, a wujek już dzwonił z zapytaniem, na jaki dzień dostarczyć *passepportout*, jako że komenda policji miała zawsze zagwarantowane po dwa bezpłatne miejsca w loży na każde przedstawienie.

Ostatnio wuj Edward zaproponował wejściówkę na walki francuskie. Pani Rogozińska zachęcała się.

— Coś ty! Na żadne brutalności nie będę patrzeć i nie chcę, żebyś mój syn...

— Ale ja bardzo chciałbym zobaczyć, mamol — wykrzyknął prosząco Krzysie. — Będzie walczył Teodor Szecker.

— Szecker czy Beker, mnie tam na pewno nie będzie — stanowczo zapożnowała matka.

Chłopiec musiał mieć bardzo zawiadzoną minę, bo w sprawie włączył się ojciec:

— O której zaczyna się ta walka?

— O siódmej wieczór.

— A gdzie?

— Niedaleko naszej szkoły...

— W takim razie ja z tobą pójdę, Krzysiu — zamknął sprawę pan Rogoziński.

Cyrk Szeckera rozbił swój namiot na nie zabudowanym placu przy zbiegu ulic Narutowicza i Składowej. Nie dorównywał wielkością szapitoniowi Stanisławskich, ale tam duża część zajmowała obszar arena. Tutaj centralnym punktem był olinowany ring, wymagający znacznie mniej przestrzeni. Z czterech stron otaczały go krzesła i ławki, przy czym pierwszy rząd znajdował się nie dalej niż dwa metry od ringu.

I tutaj właśnie, w bezpośredniej bliskości podwyższenia wskazano miejsca ojcu z synem. Widownia była już wypełniona po brzegi, hałas panował niesamowity. Ogólne podniecenie udzielało się również Krzysiu. Na dobrą sprawę nie bardzo sobie wyobrażał jak będzie przebiegać widowisko, ale właśnie ta niewiadoma dodawała oczekiwaniu szczególnego smaku.

Publiczność, którą stanowili w większości mężczyźni, nie była cierpliwa. O niej Raz po raz zrywały się oklaski poganające organizatorów, tu i ówdzie rozlegały się tupania i gwizdy. W odpowiedzi na to pojawiały się na galeriach niewielkie orkiestra i poczęła pospiesznie grać wiankę melodii operetkowych Lehara. To poskutkowało, ale na krótko. Znowu rozbrzmiały oklaski i gwizdy, tyle że gwałtowniejsze, wręcz agresywne.

Wreszcie w kwadransie ringu ukazał się zwa-

listy mężczyzna we fraku, o twarzy przypominającej surowy befszyk. Podniesioną prawicą począł uciszać widownię.

— Szanowna publiczności! — wołał — Wiem, że wam spieszno zobaczyć walki. Zapewniam was, że nie pożałujecie chwili oczekiwania. Ale mistrzowie jeszcze się przygotowują.

— Zaczynają! — wrzasnął ktoś w odpowiedzi i wiele głosów podjęło ten okrzyk.

Dzielnym we fraku wycofał się w stronę kulis, zajął za zasłonę i skłonił głową kapelmistrzowi. Orkiestra ucieła w pół frazy wykonywany utwór, by podjąć inny w rytmie marszowym.

— Marsz gladiatorów — powiedział ojciec, a chłopcu aż mrówki przeszły po grzbiecie. Wraz z dobiegającą kończą frazą muzyczną jegoś we fraku wznosił ponownie prawicę w białej rękawiczce i na ten znak dwaj woźni w uniformach bordo szamerowanych złotymi galonami unieśli z dwóch stron ciężką zasłonę, na której skupiły się reflektory, by oświetlić sylwetki wkraczających atletów. Widownia wprost oszalała. Dotychczasowe zniciępiwienie i polityowanie przetopilo się w niczym nie okiełniony entuzjazm. Rozległy się chrapiawe, nieartykułowane okrzyki, dźwięk zaś same złożyły się do oklasków w rytmie granego marsza.

A oni, wspaniali mężczyźni, obeszli w koło ring, przechodząc tuż obok krzesel zajmowanych przez Rogozińskich. Przed oczyma Krzysiofa błyskały ich obnażone torsy. W nozdrzach poczuł zapach tej nagości, mieszaninę potu, talku i taniej wody kolońskiej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Walki francuskie

Wszyscy bohaterowie wieczoru, a było ich dziesięciu, mieli na sobie głęboko dekolowane kostiumy i szerokie pasy skórzane. Przez prawe ramie i pierś spływały im szarfy w barwach kraju, jaki reprezentowali. Na samym końcu ujrzał Krzysiof szarfę białą-czerwoną. To musiał być sam Szecker...

Tymczasem atleci poczęli wchodzić kolejno na ring, kontynuując swój rytmiczny marsz-wzdłuż olinowania. Gdy ostatni znalazł się na podwyższeniu, znowu wkroczył do akcji pan we fraku. Na jeden jego wladczy gest orkiestra umilkła, a zawodnicy stanęli w koło, zwróciwszy twarz do środka ringu.

— Szanowna publiczności! — zakrzyknął mistrz ceremonii. — Nim nastąpią wielkie emocje dzisiejszego wieczoru, przedstawie państwu tych, którzy niebawem zerwą się w szlachetnym współzawodnictwie o miano najsilniejszego i najsprawniejszego.

Tu nastąpiła krótka przerwa na oklaski, których widownia nie poskąpiła. Po chwili poczęły padać nazwiska, a wywołani wysuwali się na środek ringu, kłaniając się w cztery strony.

— Vlastimil Prohazka, wicemistrz świata i mistrz Czechosłowacji!

— Jan Bielewicz, student z Kijowa!

— Leon Grabowski z Katowic! Najwyższy człowiek w Europie, dwa metry dwadzieścia wzrostu! Mistrz podwójnego nelsona!

Na widok olbrzyma publiczność powstała z miejsc. On zaś kiwał tylko maleńką w proporcji do reszty ciała głową i coś mówił. Prawdopodobnie powtarzał słowo *dziękuję*, ale nie dało się go usłyszeć w ogólnym wrzasku.

— Jakub Krauze z klubu Makkabi, wice-

mistrz Polski!

W tym przypadku oklaskom towarzyszyły gwizdy, a jakiś zaplaczony głos wrzasnął:

— A giten cześć, Srulek!

— Wilhelm Neumann, mistrz Niemiec! — przekrzykiwał hałas prezentator.

I wreszcie nastąpił punkt kulminacyjny:

— Teodor Szecker, mistrz świata!

Dalsze słowa utonęły w burzy oklasków i w krzyku, jakim publiczność witała swego ulubieńca. Owacja trwała dobre parę minut, nie ustawała nawet wtedy, gdy na znak prowadzącego imprezę orkiestra znowu zagrała *Marsza gladiatorów*, a zawodnicy zrobili zwrot w prawo i ruszyli w drogę powrotną w kierunku kulis.

W ringu pozostała tylko dwójka mająca stoczyć pierwszą walkę. Prohazka i Bielewicz. Obaj zdjęli kolorowe szarfy i podali je obsłudze, po czym zaczęli rozgrzewkę w przeciwnych rogach. Zjawił się także sędzia w białych spodniach pięciennych i takiej jedwabnej kszultce z krótkimi rękawami i przystąpił do bliźszej prezentacji zawodników.

Wynikało z niej, że Czech liczy sobie metr siedemdziesiąt wzrostu przy wadze stu trzydziestu trzech kilogramów. Mistrzem kraju został po raz pierwszy w 1929 roku, zaś w dwa lata później na turnieju w Nowym Jorku wywalczył zaszczytny tytuł wicemistrza świata, ulegając w finałowym pojedynku Szeckerowi. Reprezentuje styl siłowy, czemu sprzyja potęga jego mięśni ramion i nóg.

Jan Bielewicz to dopiero wschodząca gwiazda ciężkiej atletyki. Brał udział w kilkunastu turniejach międzynarodowych, odnosząc wiele zwycięstw, nie ma jednak żadnego oficjalnego tytułu.

— Prócz tego idiotycznego: student z Kijowa — mruczał gniewnie pan Rogoziński. — Co to za rekomendacja dla trzydziestoletniego mężczyzny? I jaka nacja? Polak? Ukraińiec?

Wzrostem górował Bielewicz o kilka centymetrów nad Czechem, ale ustępował mu wagą o blisko pięćdziesiąt kilogramów. Był raczej smukły, wąski w biodrach, tylko mięśnie kończyn znamionowały siłę.

Sędzia przywołał zawodników do siebie i polecił im podać sobie ręce. Bielewicz zrobił to z ujmującym uśmiechem, natomiast Prohazka tylną na przeciwnika niezłownie okiem i ścisnął mu rękę tak mocno, że tamten aż syknął z bólu.

Po gongu rozpoczęła się nierówna walka. Bielewicz przyjął taktykę obronną, uchylając się zwinnie przed stalowymi uściskami Czech.

Sympatie publiczności były po stronie słabszego, tym bardziej że zachowanie Prohazki było nad wyraz naganne. Goniąc Bielewicza po ringu, mruczał jak niedźwiedź lub obrzucał go stekiem niewybrednych wyzwisk. Przez dwie rundy trwała ta zabawa w kotka i myszkę, budząc wśród widzów coraz większe zniciępiwienie.

W trzeciej rundzie udało się dwa razy Prohazce uchwycić Bielewicza w strasliwy uścisk. Zdawało się, że padnie on pod ciężarem tłustego cielska Czech. Za każdym razem udało mu się jednak wyśliznąć ze splótów przeciwnika. I nagle, gdy zwycięstwo Czech wydawało się kwestią sekund, Bielewicz ułapił Prohazkę w pasie, poderwał w górę i błyskawicznym ruchem przerzucił sobie nad głowę. Ziemia aż jęknęła pod ciężarem walącego się na plecy Czech. Bielewicz przytrzymał letącego tak, by obie łopatki dotykały maty, po czym na znak dany przez sędziego podniósł się wśród entuzjastycznej owacji.

Krzysie także gorąco oklaskiwał zwycięzcę podczas gdy arbiter unosił jego prawicę w górę. Tymczasem Prohazka dźwignął się z trudem na nogi i klnąc szpetnie, ruszył w kierunku Bielewicza, nie kryjąc agresywnych zamiarów. Walka była jednak skończona. Bielewicz zresztą nie przekroczył liny, zeskokczył z ringu, by po chwili zniknąć za kulisami. Pokonany Czech, wciąż nie mogąc się pogodzić z nieoczekiwaną porażką, stał nadal wsparty o liny i groził pięścią w kierunku kulis.

— Mistrz Czechosłowacji nie jest przyzwyczajony przegrywać — wyjaśnił mistrz ceremonii. — *Mistrz Prohazka, nehaże to, prosim! Tak nie ide diera!*

Z grubasa powoli opadał gniew, wreszcie opanował się na tyle, że skłonił niedbale głowę publiczności i ciężkim krokiem pomaszzerował za kulisy.

— Musi mu być bardzo przykro — westchnął Krzysie, który nagle poczuł coś w rodzaju sympatii do pokonanego.

— Bierzcie za to pieniądze! — odpowiedział ojciec. — Nie ma co się nad nim roztkliwiać!

— Jak to? Nie rozumiem — zaniepokoił się chłopiec.

— A ty wierzysz w tę całą szopkę? — spytał Rogoziński-senior, podsuwając synowi tabliczkę wędzidełki czekolady.

— W jaką szopkę?

— No, w tego słabszego studenta z Kijowa, który zwyciężył groźną bestię, jak święty Jerzy smoka.

— Więc to wszystko nie było serio?

— Moim zdaniem umówiło się.

Krzysie posłał ojcu spojrzenie pełne żalu. Tak, żal to było właściwe określenie. Ojciec próbował ograbić chłopca z pięknych przeżyć. Czyżby rzeczywiście ta walka była tylko udawanym? Z taką myślą Krzysiof nie mógł się pogodzić.

— Żadnego dogadania się nie było — syknął.

— Skoro tak uważasz — odparł z uśmiechem pan Rogoziński — nie będę się z tobą spierał. Może rzeczywiście to właśnie ty masz rację.

Chyba zbyt późno zrehabilitował się, że nie należy pozbawiać chłopca iluzji. Teraz Krzysiof spoglądał nań z nieufnością i rozczarowaniem. Na szczęście w tym wieku łatwo zapomina się o watpliwościach i chętnie poddaje się złudzie. Wystarczyło, że zasłone kryjąca tunel wiodący za kulisy znowu podniesiono, by przepuścić drugą parę zawodników — Leonka Grabowskiego i Jakuba Krauze, by chłopiec zapomniał o wszystkim. Widzowie wciąż jeszcze nie oswoiili się ze wzrostem atlety ze Śląska, będąc tym wybrkiem natury wyraźnie zażenowani.

— Może i ten wzrost Grabowskiego to nieprawda? — szepnął Krzysie do ojca z resztką urazy w głosie.

— Tym razem to najprawdziwsza prawda — gorliwie zapewnił pan Rogoziński.

Mniej sympatii okazywała publiczność Krauzemu, gdyż Żydzi stanowili pod namiotem absolutną mniejszość. Widocznie nie gustowali w tego rodzaju rozrywkach. Krauze był dość wysokim i proporcjonalnie zbudowanym mężczyzną, ale przy Leonku prezentował się jak Dawid przy Goliacie. Walkę zaczął dość agresywnie, podczas gdy olbrzym ruszał się raczej niemrawo. Swoje braki techniczne rekompensował brutalnością wobec przeciwnika. Raz po raz wystrzeliwował w górę jego długie ramie, by spaść z głośnym kłasnieniem na plecy Krauze. Każde takie uderzenie podnosiło w górę skroploną chmurę potu, co Krzysiu kojarzyło się z trzepaniem dywanów na podwórzu.

Ciosy Leonka musiały być bolesne, skoro wywoływały na twarzy Krauzego skurcz. W pewnej chwili odskoczył on od przeciwnika i zwrócił się do sędziego niemal płaczącym głosem:

— Ja nie mogę walczyć w takich warunkach! Niech pan mnie weźmie w obronę!

— Odmawia pan dalszej walki? — spytał arbiter. — Będę zmuszony pana zdyskwalifikować.

— Kiedy ja chcę walczyć — odpowiedział zawodnik Makkabi — ale ja chcę żyć!

Znowu zabrzmiąło to bardzo płaczące, wywołując śmiechy na widowni i pojedyncze okrzyki: — *Kuba, nie daj się!* Wpłynęło to podniecająco na Krauze. Jakby nowe siły weń wstąpiły. Błyskawicznym ruchem pochwycił Grabowskiego w pój i poczęł dźwigać w górę jego wielkie ciało. Leonek utracił równowagę i dał się przeciwnikowi częściowo przerzucić przez liny. Plecy olbrzyma znalazły się niemal tuż nad krzesłami Rogozińskich, wywołując ich konsternację. Dopiero interwencja sędziego powstrzymała Krauze przed całkowitym wyrzuceniem Grabowskiego z ringu.

— Pan walczy nieprawdopodobnie — skarcił arbiter Żyda. — Walka toczy się w obrębie olinowania, a co pan robisz?

— Zdenerwowałem się, panie sędzio — odpowiedział z ukłonem Krauze. — Przepraszam pana Grabowskiego i publiczność.

Parę osób zaczęło klaskać, a ten sam pojedynczy głos zawałał: — *Kuba, daj go!* — Ale sytuacja w ringu niemal natychmiast zmieniła się diametralnie. Oto Leonkowi udało się złożyć Krauzemu podwójny nelson. Ten chwyt był specjalnością wielkoluda. Doremnie Krauze sapiał i młotał się po ringu, usiłując oswobodzić się z chwytu. Grabowski nie wypuścił go już jednak, jak osmiornica, gdy owinie się mackami wokół ofiary. Twarz Krauze poczerwieniała z wysiłku, jego szarpnięcia stały się coraz słabsze.

— Panie Krauze, czy pan się poddaje? — zapytał sędzia, pochylając się nad nim.

— Ttak — stęknął tamten i już było po walce. Leonek schodził z ringu w pełnej glorii, zaś Krauze chylił się, żegnany gwizdami. I znowu Krzysiu zrobiło się żal pokonanego.

Inicjatywę przejęła na kilka chwil orkiestra, grając *Wiedeńską krew* Jana Straussa, po czym w ringu pojawił się mistrz ceremonii. Na jego znak kapela odegrała tuz. Gdy wybrzmiały jego dźwięki, wyfraczony dzielnym zawałał:

— Panie i panowie! *Ladies and gentlemen! Messieurs, dames! Damsy i gaspady! Meine Damen und Herren!* Oto clou dzisiejszego wieczoru! Walka, na którą czekacie! Na jej wynik czekają także światowe agencje prasowe. Wilhelm Neumann — Niemcy contra Teodor Szecker — Polska...

Dalsze słowa utonęły w krzyku, jaki się podniósł pod namiotem. Wszyscy powstał z miejsc zespólnie jedną myślą, jednym pragnieniem. Oto za chwilę w ringu spotkać się mieli nie tylko międzynarodowi mistrzowie, słynni siłacy i niedoścignięta perfekcja walki. To spotkanie zapowiadało coś więcej. Zewrzeć się mieli godni reprezentanci dwóch nieprzyjacielskich sobie narodów. Oto pod szapitem rozbitym przy ulicy Narutowicza dojeżdżało do konfrontacji, może do nowego Grunwaldu!

— Pan Neumann — wyjaśnił mistrz ceremonii, gdy się trochę uciszyło — ma metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i waży równo sto kilogramów. Jest świetnym atletą, choć bywa czasem brutalny. *Wir bitten um ritterlichen Kampf, Herr Neumann!*

Niemiec skłonił głowę, wobec czego prezydent przeszedł do omawiania sylwetki Szeckera.

— Nasz mistrz Teodor Szecker jest wyższy od przeciwnika o pięć centymetrów, ale waży tylko osiemdziesiąt osiem kilogramów. Ta różnica wagi daje pewną korzyść panu Neumannowi. Liczymy jednak na umiejętności techniczne mistrza świata!

Znowu oklaski i krzyki, które uciszył nieco dźwięk gongu głoszącego początek walki. Zawodnicy zdradzały wzajemny respekt i dlatego przez pierwszą minutę niewiele się działo. Krążenie wokół siebie, markowane chwytami, z których łatwo się było wywinąć. Każda próba zataku ze strony Szeckera kwitowana była oklaskami, agresywnym poczynaniem Niemca towarzyszyła cisza bądź gwizdy.

Taka reakcja publiczności drażniła wyraźnie Neumanna. Pod koniec przerwy po pierwszej rundzie rzucił kilka gniewnych zdań w stronę sędziego. Ten podniósł w górę prawicę i zawałał:

— Szanowni państwo! Nasz gość z Berlina postawił zarzut, że publiczność polska nie jest obiektywna i że swoim zachowaniem uniemożliwia stoczenie szlachetnej walki!

Podniósł się krzyki i gwizdy, sędziemu udało się jednak dokończyć wypowiedź:

— Mistrz Neumann mówi, że o ile zachowanie widzów nie ulegnie zmianie, to on wycofa się z tego dla siebie wniosku.

Na widzach nie zrobiło to większego wrażenia. Nadal faworyzowali jawnie swego pupila, okazując jego przeciwnikowi niechęć i lekceważenie. Nikt nie spodziewał się, że przelutnawione przez sędziego słowa mistrza Neumanna to nie czcze pogroźki. I oto nagle pochwycił on Szeckera za podudzie i poderwał je do góry, zginając mu nogę w kolanie. Zaskoczony tym mistrz Polski i świata stracił równowagę i padł na brzuch. Niemiec nie wypuścił jego podudzia z kleszczy i wykorzystując cały swój ciężar, poczęł dociskać pięte Szeckera do jego pośladka. Musiał to być chwyt bardzo bolesny, gdyż Szecker jęczał i związał się na macie. Cyrk wypełniły głośne protesty i wyrazy oburzenia.

Sędzia zareagował z pewnym opóźnieniem. Najpierw usiłował przywołać Neumanna do porządku słowami, potem pochwycił go w pój i poczęł odciągać od ofiary. Wysiłek arbitra nie byłby jednak skuteczny, gdyby Szecker sam sobie nie pomógł, wyrwijając nogę z żelaznego uścisku Niemca.

Sędzia wstrzymał na chwilę walkę i zwrócił się do Neumanna z wyrzutami. Raz jeszcze apelował do obu zawodników o walkę fair. Jednak zaraz po wznowieniu pojedynku Szecker odegrał się na przeciwniku za przeżyty ból. Teraz on chwycił gwałtownie Neumanna za podudzie, powalając go na brzuch. Postąpił jednak perfidnie. Dociskając pięte Niemca ku pośladkowi, wsunął mu między podudzie i udo własną nogę ziętą w kolanie. Powstała w ten sposób strasliwa dźwięnia grożąca Niemcowi złamaniem kończyny. Cyrk szalał z radości, uznając że ryczącego z bólu Niemca dosięgła w pełni zasłużona kara. Sędzia rzucił się rozdzielac walczących. Udało mu się tego dokonać po dłuższej szamotaninie. Gdy Neumann podźwignął się ze skrzywioną twarzą na nogi, rozległ się gong kończący rundę.

— I co? — zapytał pan Rogoziński syna — Tobie też się ta zemsta Szeckera podobała? Oko za oko, ząb za ząb, co? Jeśli o mnie chodzi, uważam, że nie było to piękne z jego strony.

— Może i tak, myślał sobie Krzysiof, ale sam Szecker był za to tak piękny, że chciałoby mu się wszystko wybaczyć.

Następna runda trwała krótko. Wśród owacji widowni udało się Szeckerowi przerzucić Neumanna przez biodro i położyć go na łopatkę. Walka była skończona.

Fragment przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Łódzkim książki z lat międzywojennych „WSCHÓD WCZORAJSZEGO DNIA”.

Polemiki • Listy • Opinie

PROWINCJA, TYGODNIKI, NIEPOROZUMIENIA

W 1138 zamknął strudzone powieki Bolesław Krzywousty, wojak, jak pisał pobożny biskup Kadiubek, Aleksandrowi Macedońskiemu równie. Ale także i autor złośliwego Testamentu. Niebawem zapewne w tym kraju niestannych obchodów, konferencji i rocznic będziemy święcić 850 rocznicę tego aktu. Testament, jak wiemy, podzielił kraj na dzielnicę senioralną i rozmażającą się dzielnicę minorum gentium. Dlatego kto miał jakiś taki zdrowy rozsądek, starał się przetrwać do tej senioralnej. Czy to Płatonów, czy Laskonów, czy Brodaty, Białe czy Czarne, Jan Aleksander Król czy Marian Plechał. Minęło mnogo lat, a na tym świecie, gdzie testamenty jest nadzwyczaj łatwo obalać, tylko stawki adwokatów są cholernie małe — jak mówi moja synowa-adwokat, ten właśnie testament jest de facto niearuszalny, nieobalalny.

Interesujący nas tu w tej chwili przykład. RSW PRASA instytucje pokrewne dla podkreślenia bądź co bądź suwerenności swych dzielniczek — województw („mniejsza o tytułowanie”) — jak rzekł przy innej okazji sławny Maciek nad Maćkami i do brzyńskiego zaścianka) zaufowały każdej z nich po tygodniku czy nadtęgodniku społeczno-kulturalnym. O ile, rzecz jasna, dany region już przedtem z inicjatywą jakiegos oddolnego pasjonata — działacza z powołania autentycznego — nie stał się miejscem, skąd po kraju rozchodziło się ważne dla myśli artystycznej i literatury pismo. Dla przykładu „Kamena” — powstała jeszcze przed wojną w niewojewódzkim naówczas Chełmie z inicjatywy i pensji belferskiej polonisty Kazimierza Jaworskiego; „Warmia i Mazury” — powstała z inicjatywą artysty Skurbakiego i kilku równych mu zapaleńców czy „Nadodrza” (też inicjatywa miejscowych entuzjastów pod wodzą Sautera). Ale głównie mam na myśli tamte pisma powstałe jak grzyby po deszczu — w Kielecie bodaj kilkadziesiąt — po stworzeniu minivojewództwa. Poświęcone zostały nieodmiennie problematyce reportażowo-dworsko-gospodarczej, także i miejscowym skandalom (aby obraz nie był, jak po Zjeździe Szczecińskim, tak niedowierzająco jasny), z przymieszką własnego bądź importowanego z polskiej krainy tytuła jezior — porno. I, naturalnie, służyły one także rozrywaniu ambicji literackiej zaściankowych wieszczów. Czasopisma te, z racji swej zaściankowości — naturalnej bądź narzuconej odgórnie przez profilowanie pisma — służyły trzuceniu „pogłębieniu” tematów roztrząsanych nieodmiennie od 1945. Z racji odgórnego założenia prasowego rozchodzą się one od rogatki do rogatki każdej z dzielniczek — województw.

Jako regionalista, wynawca tezy, że „piękna nasza Polska cała”, jestem najdalej od negowania owych ereswusowsko-municipalnych inicjatyw. Jestem jednakże i zabitym wrogiem uniformizmu i egalitarnego zanębiania poziomu w imię zwiekaszenia nakładów... jeśli nie wszelką, to za wysoką cenę. Mam ponadto grubo wątpliwości, czy dobrze się prasa i jej władzę bawia zakładając ułatwiony chów wieszczów sławnych... od Konina po Uniejów.

Żeby uniformizm pism prowincjonalnych stał się nieco podobny do uszeregowanej kompanii honorowej, obniżono, gdzie się dało, poziom wspomnianych już wyżej, a cięsiących się niedwyszużoną chwałą pism o wcześniejszym rodowodzie: własnie „Warmia i Mazury”, prastare „Kamena”, wreszcie „Odgłosy” — przekształconych przed laty ze znakomitej „Kroniki” (gwoi! prawdziwie trzeba jednak wyznać, iż w dziejach i teraźniejszości tego pisma bywały, i są, okresy zrywów, wyłamywania się spod wyjątkowych praktycznych obowiązków zaspokajania potrzeb — nie zawsze tych najcięższych — odczorowsko-dokulskowskich ludzi „z edukacją”).

Ow antyinteligentki w wyniku (choć być może poza najlepszą wolą władz prasowych i nadprasowych) trend osnuca całej Polski niedopisanymi przy równoczesnej prawie-likwidacji pism literacko-kulturalnych na późniejszym poziomie, nie należy do posunięć chwalebnych. Mianem prawie-likwidacji nazywam wycofanie takich pism, jak „Nowe Książki”, „Twórczość”, „Dialog” ze sprzedaży kioskowej i przesunięcie ich do kategorii pism, które można jedynie prenumerować. Jeśli jest to posunięcie mające służyć propagandzie czytelnictwa i kultury, to gorze mi!... bo źle służy. Przestaje bowiem działać prawo „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. Czytelnik przyzwyczajony przez czterdziście lat do komfortu kupowania w tysiącach ustawionych co kilka metrów kiosków nie bardzo sobie daje radę z zawitościami prenumerat... i tak samo nie bardzo sobie z tymi zawitościami, jak wiadomo radzi — poczęła i RUCH, Całkowita likwidacja „namiastem” dopiero co groziła „Tygodnikowi Kulturalnemu” — najstarszemu, obok „Tygodnika Powszechnego” pismu, gdyż powstało jeszcze, co prawda pod innym tytułem w 1945, w Lublinie nazajutrz po wyzwoleniu miasta i sła uczyniło dla kultury, albowiem chłop potęga jest i basta.

W tej chronicznej manii niestannego „ulepszania” jest na pewno, jak w znanym wierszu Szekspira metoda. Ale czy słuszną? Wejść głęboko w teren naprzeciw awansowi i socjalizacji kultury — zadanie, rozumiane jednak całkiem egalitarnie. Tu mnie korci, żeby się złościwie spytało o celowość tej fatygi, albowiem od kilkadziesiąt lat slysze głoszoną ex cathedra magna informację, iż wymagania kulturowe mas rosną tak dynamicznie i strzeliście, że my, pisarze, musimy mocno pracować nad sobą i wysłać całą swą profesjonalną i warsztatową wiedzę, żeby wymanowom owym sprostać.

Przyswoić masom na zasadzie odruchu warunkowego przekonanie, że sukces miejscowej olejarni, która wykonała plan przed terminem, czy też subiektywne i obiektywne przeszkody stojące przed miejscowym zakładem imienia X, są niemniej doniosłe, jeśli nie donioslejsze niż wiedza o sytuacji w całym kraju i o zawiłych, lecz ważkich przejawach życia intelektualnego i literackiego w kraju i in universo.

Przyniesi państwu, znajdującemu się w warunkach ekonomicznych i mieszkaniowych niejako betlejemskich, jak najwięcej Złota i ożywczonego Kadzidla (o mirze nie wspominać, bo niestety, nie wiem, co to takiego). Ależ to, na miły Bóg, klęci się ze stałe wygłaszany aksjomat, że na kulturze się nie zarabia (przynajmniej, jak mi się zdaje, dochody płynące ze sprzedaży samej tylko „Przyjaciółki”, „Zwierciadła”, „Karuzeli” czy głównego organu naturystów „Veto”, pokrywają z wysoką nadwyżką straty z wydawania pism deficytowych, a i jeszcze jakiś kasek zostaje pewnie na spłaceniu długów zagranicznych).

Jestem byłym warszawiakiem, więc mam odczuwać po senioralności, niemniej mojej dajmonion (bo nie tylko Sokrates miał za oazę ową bydlę powiada, że najwyższy czas zdjąć międzydzielnicowe rogatki. Wiem, że inteligencja od dawien dawna przywykła do kupowania pism właściwie tylko z atestem „senioralne”. Być może, że nadal będzie w niedostatecznym stopniu kupować „Kamena” czy „Warmia i Mazury” bądź „Przemiany”, ale po pewnym czasie przyzwyczai się... zwłaszcza gdy pisma te rozwiną się, uzbiorą (poza nieodwołnymi acz bez przesady, regionalnymi) w artykuły ogólnopolskie, ważne i niewiarte, lecz przeciwnie, odkrywające i rozstrząsające problemy uniwersalne. No i kiedy zwolni się redaktorów od ustawicznego musztrowania i służb dworskich o bardzo przelotnej aktualności. Redaktorów — zapaleńców, obdarzonych takim zapalem, jak posiadali niedawno redaktorzy — twórcy pism i życia kulturalnego w terenie, jak Hajduk, Czernik, Jaworski czy dogorywaający nie-tety Gebik.

Był pewien czas przed wojną, kiedy przekleństwo Testamentu Krzywoustego przelało — przynajmniej w tej dziedzinie — do skwierca, że to dlałaby prawa rynku i walorów szarych komórek. W rezultacie, obok pism senioralnych (w naszym ich powadze i

kabzie nie przeszkadzając) prosperowały, nie przestając być pismami ogólnopolskimi, wymieniona już „Kamena” z Chełma, „Okolica Poetów” z Ostrzeszowa Wielkopolskiego oraz wielkie periodyki z bardzo rozbudowanymi i liczącymi się redakcjami literacko-kulturalnymi, jak krakowski „Ikac”, wileńskie Słowo”, lwowskie „Sygnały” czy łeńska, a przy tym także kulturalna poznańska „Tęcza”.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Jest to tekst przemówienia wygłoszony w dyskusji na II Zjeździe Związku Literatów Polskich, w Warszawie 25.II.1986 r.

Z zainteresowaniem, ale i ze sprzeciwem przeczytałem tekst przemówienia Tadeusza Chrościelewskiego wygłoszonego na zjeździe ZLP. Autora szanuję i poważam, ale nie mogę zgodzić się z zaprezentowanymi powyżej poglądami. Wydają mi się one przede wszystkim oparte na nieporozumieniu.

Otoż owe pisma wojewódzkie — czy jak chce Tadeusz Chrościelewski — dzielnicowe wcale nie mają charakteru pism kulturalnych, a przeciwnie są to najczęściej pisma o problematyce społeczno-informacyjnej. Są one zresztą bardzo różne w swoim profilu i różne też mają powodzenie u czytelników jak choćby „Kronika” w Bielsku-Białej, czy „Tygodnik Zamojski”. O poziomie tych pism wole nie dyskutować, gdyż nie bardzo rozumiem, co różni ludzi pod tym pojęciem chcą wiedzieć. Dla mnie pojęcie to jest nieprecyzyjne i często bardzo mylące.

Nie wiem, czy Tadeusz Chrościelewski zauważył, że coś się zmieniło w odbiorze pism tygodniowych, że dawny model przestał odbiorcą interesować. Pisma — jak to niektórzy z uporem powtarzają — literackie jakby dziś nie cieszyły się wzięciem u czytelnika, co nie znaczy, że ten czytelnik nie interesuje się literaturą. Nie widzę więc powodu, aby wyzywać do minionej i tęsknić za czymś, co już straciło swoją wartość. Po co nam nowe mity. A mitem jest przecież powtarzanie w kółko, że „Kronika” była znakomita, a „Odgłosy”, które po niej nastąpiły, są złe. Jest to bowiem nieprawda.

Prawda jest natomiast taka. „Kronika” umarła na śmiertelną chorobę, jaką dla każdego pisma jest brak... czytelników. „Odgłosy” — na których od blisko 30 lat nieustannie się wiesza psy — wychodzą nadal i już przekroczyły 40 tysięcy egzemplarzy nakładu, przy zwrotach minimalnych, bo nie przekraczających 3 procent. Chciałbym też nieśmiało przypomnieć, że owe przedwojenne pisma, o których nie tylko Tadeusz Chrościelewski wyraża się z takim uznaniem, miały śmiesznie niskie nakłady. Na przykład „Okolica Poetów” wychodziła w... 300 egzemplarzach.

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że inaczej redaguje się pismo dla skromnej grupki miłośników poezji, zrzeszonych w kole wzajemnej adoracji, a inaczej tygodnik przeznaczony dla kilkadziesiąt tysięcy. A jeśli na dodatek zważy się, że każdy numer czyta co najmniej troje ludzi i to jakże różnych upodobań, doświadczeń, wiedzy, wtedy dopiero objawia się w całej okazałości trudność dotarcia do tego czytelnika i zadowolenie jego zainteresowań. I warto też pamiętać, że zupełnie inaczej redagowało się tygodniki jeszcze kilka lat temu, a zupełnie inaczej dziś. Sądzę, że w przyszłości będzie podobnie. Redakcja musi nieustannie, jeśli chce, aby ludzie kupowali pismo, o tym pamiętać i ciągle przedstawiać czytelnikom nowe, bardziej interesujące i wcale nie miłe intelektualnie propozycje.

Mamy obecnie bardzo różne tygodniki, tak pod względem formy, jak i treści. Trzeba się z tego tylko cieszyć. Nie wiem, skąd więc Tadeusz Chrościelewski wziął uniformizm? Zatem i z tym zarzutem nie mogę się zgodzić. Przeciwnie, uważam, że ta różnorodność, jaka występuje obecnie na rynku czytelnictwa, jest dużym osiągnięciem lat RSW „Prasa-Książka-Ruch”, jak i dziennikarzy. Oby tak było dalej! Oby nie brakło papieru, farby i maszyny nie wykruzały się. Ale to już zupełnie inna sprawa.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„SŁODKA CHATKA Z MARCEPANA”

W siódmym numerze „Odgłosów” z dnia 13 lutego 1986 r. ukazał się artykuł Jolanty Wrońskiej pt. „Słodka chatka z marcepana”. Autorka artykułu porusza na przykładzie konkretnego budynku (róg Piotrkowskiej i Zamenhofa) bardzo istotną w odbiorze społecznym problematykę inwestycji w budownictwie mieszkaniowym. Autorka surowo ocenia projektantów i wykonawców, dając wyraz przekonaniu o swoim wszechstronnym i gruntownym zmaganiu się z realizacją tej inwestycji.

Uważam, że prawo do zamieszkania w prasie krytycznych artykułów, uważam za stosowną stanąć po stronie załóg budowlanych. Biorąc pod uwagę adres Autorki skierowała najbardziej kaskadowe słowa krytyki za złą jakość — „papranie” — robot, pomawiając przy tym o wandalizm i złośliwość zawiści do inteligencji stanowiącej trzon mieszkańców budynku. Autorka nie oszczędza robotników budowlanych zarzucając nieuczciwość i złośliwość.

Jestem głęboko przekonany, że zastosowana przez Autorkę forma krytyki jakości prac budowlanych nie stanowi żadnego konstruktywnego wkładu w budowanie prestiżu społecznego dla budowlanych i w poszanowanie pracy robotniczego trudu.

Uważam, iż w każdej społeczności zawodowej są ludzie wykazujący małą obowiązkowość i uczciwość zawodową, jednak uogólnianie zarzutów i adresowanie ostrych, obraźliwych słów krytyki wobec pracowników budownictwa niczego nie załatwia, lecz pogłębia kryzys wzajemnego zaufania i poszanowania.

Wyrażam przekonanie, iż organy Łódzkiego Kombinatoru Budowlanego „Śródmieście” złożą wyczerpujące wyjaśnienia i ustosunkują się do zarzutów szczegółowych.

Mgr inż. JACEK KAZMIERCZAK
dyrektor Wydziału Budownictwa UML

Otrzymała:

- KŁ PZPR — sekretarz ds. propagandy
- KŁ PZPR — sekretarz ds. ekonomicznych
- Zespół Prasowy Prezydenta Miasta Łodzi
- Dyrektor i Rada Pracownia ŁKB „Śródmieście”

„REQUIEM DLA NIEBOSZCZKI”

W związku z artykułem pt. „Requiem dla nieboszczki” zamieszczonym w numerze 8 „ODGŁOSÓW” z dnia 1986-02-22, oświadczam co następuje:

1. Przeprowadzając rozmowę z Bolesławem Kardaszewskim nie korzystałem z zapisu magnetofonowego, mimo jednak w miarę dokładnych notatek, tekst opublikowany nie jest zapisem expressis verbis rozmowy. Wynikły stąd pomyłki. Dotyczy to między innymi przykładu budowy kościoła w dzielnicy Dąbrowa, który nie jest projektem Bolesława Kardaszewskiego, wypowiedzi na temat stosunku rozmówcy do miasta Łodzi. Bolesław Kardaszewski nie wypowiadał się także na temat wyglądu osiedla Retkinia. Ponadto podkreślam, że jakkolwiek starałem się, jak najwierniej oddać sens wypowiedzi mego rozmówcy, przyjmuję zarzut, iż posługiwałem się własną konwencją stylistyczną, nieidentyczną ze sformułowaniami Bolesława Kardaszewskiego.

2. Oświadczam, że pisałem tekst z najlepszą wolą, tym bardziej nie było moim zamiarem szkodać prawom i interesom Bolesława Kardaszewskiego. Z tego też powodu wszyscy, którzy poculi się obrażeni lub urażeni sformułowaniami za-

wartymi w tym artykule, a przypisują je Bolesławowi Kardaszewskiemu, przepraszam.

3. Przepraszam mego rozmówcę za niedopełnienie obowiązku autoryzowania treści wywiadu oraz za wszystkie wyniki z tego szkody.

4. Jeśli Bolesław Kardaszewski nie identyfikuje się z formą i treścią poglądów wyrażonych w artykule „Requiem dla nieboszczki”, proszę Go, a wraz z Nim wszystkich czytelników „ODGŁOSÓW”, by zechcieli przyjąć treść artykułu za wyraz wyłącznie moich poglądów, za które sama ponoszę odpowiedzialność.

JOLANTA WROŃSKA

JAK UPIĘKSZYĆ MIASTO?

Fatalny jest wygląd łódzkich ulic. Lica budynków posiadają szpetne plamy odpadłych tynków. Sienne reklamy są nieczytelne, balkony grożą zawaleniem, chodniki pełne wybojów i zapadlin, jezdnie z groźnymi wybojami i zapadlinami, uschnięte drzewa. Rachityczne korony drzew zamiast upiększać powodują minorowe nastroje oraz chęć ujawnienia winnych skandalicznego niechlujstwa. Stan ten nie powinien trwać latami, ponieważ wyrabia łodzianom niechlubne wizytówki, powoduje nieodwracalne skutki psychologiczne oraz poważne straty materialne.

Z powodu znanych trudności finansowych proponuję zwrócić się do mieszkańców, żeby ochotniczo wspomogli władze miejskie dobrowolnymi datkami. Proponuję rozprawienie tak zwanych „cegiełek” w nominalach np. od 200 do 100.000 złotych. Powstanie w ten sposób fundusz na opłatę wyspecjalizowanej robotnicy i materiałów, co pozwoli usunąć mankamenty w wyglądzie naszych ulic.

Do proponowanej akcji dobrowolnego nabywania „cegiełek” należy włączyć miejscową prasę, która będzie podawała swoim czytelnikom nazwy instytucji i zakładów wytwórczych oraz nazwiska ofiarodawców.

Jak wiadomo, tereny zielone stanowią naturalne płuca dla zbiorowisk ludzkich. Wszelkie oszczędności na ten cel — toż to rozmyślane samobójstwo nas samych oraz naszych dzieci. Mogę wskazać wiele dziesiątków drzew (szczególnie zwykłych i włoskich topoli, lip i kasztanowców), których uschnięcie grozi konary grożą odłamaniem stwarzając poważne niebezpieczeństwo dla przechodniów.

W miejskich lasach, parkach oraz zieleńcach należy pilnie usunąć i wywieźć uschnięte drzewa oraz wiatrołomy. Przysposobić sadzonki dla tak zwanych „zielonych świadectw urodzenia” oraz wytypować lokalizację dla ich posadzenia, oczywiście w czynach społecznych. Dyrekcja Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego powinna przysposobić sadzonki drzew i ozdobnych krzewów dla proponowanego — na wzór Chorzowskiego na Śląsku — „Parku Kultury i Wypoczynku Młodzieży miasta Łodzi imienia 50-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Park byłby przedłużeniem istniejącego Parku im. Adama Mickiewicza (zwanego także Parkiem Julianowskim) na zachód ulicy Zgierskiej do Alei Włókniarzy, oraz na południe ulicy Łęczyńskiej do ulicy Teresy. Inicjatywę utworzenia w Czynach Społecznych opisanego Parku podjęto w Komitecie Osiedlowym „Julianów” (Nr 22) Samorządu Mieszkańców.

Z satysfakcją podaje, że Zarząd Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Lokator” z entuzjazmem przyjął inicjatywę utworzenia „Młodzieżowego Parku Kultury”, wspaniałe zlokalizowanego na styku czterech dużych osiedli mieszkaniowych, a mianowicie: Osiedla Młodych przy ul. Pojezierskiej, Osiedla „Lokator” o nazwie „ulica Zgierska — ul. Stefana”, dwóch osiedli „Lokator” o nazwach: „Radogoszcz — Wschód” i „Radogoszcz — Zachód”.

SATURNIN KRAJEWSKI

W OBRONIE ŁÓDZKIEGO NIEBA

Od opisywanych poniżej wydarzeń upłynęło już 41 lat, lecz niewielu łodzian zna historię obrony przeciwlotniczej miasta w pierwszym miesiącu po jego wyzwoleniu. Obrony tej podjęła się 4 Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej Ludowego Wojska Polskiego.

Dywizja ta w składzie czterech pułków artylerii przeciwlotniczej, a mianowicie 77, 79 i 81 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej małokalibrowej (apl mk) uzbrojonych w działą plot. 37 mm oraz 33 Pułku Aplot. średniokalibrowej (sk) uzbrojonego w działą 85 mm, do 21 stycznia 1945 roku przebywała na swoich stanowiskach bojowych w rejonie Siedlec. W związku z rozpoczęciem ofensywy radzieckiej, zdobywając 17 stycznia Warszawy, a 19 stycznia Łódź dywizja otrzymała 22 stycznia rozkaz opuszczenia swoich stanowisk bojowych i przebazowania się do Łodzi, celem przejęcia obrony przeciwlotniczej miasta i jego najważniejszych obiektów w południowo-wschodnich i północno-wschodnich sektorach.

Dysponując własnymi środkami lokomocji 4 Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej rozpoczęła przegrupowanie w kierunku Łodzi. Już wieczorem 22 stycznia dotarł do miasta 83 Pułk Artylerii Przeciwlotniczej zajmując wskazane stanowiska ogniowe. Pułki 77 i 81 Aplot. oraz sztab dywizji znalazły się w Łodzi 24 stycznia. Najpóźniej znalazł się w mieście 19 P. Aplot., który dopiero 8 lutego dotarł do miasta.

Pułkom 4 Dyw. Art. Plot. powierzono ochronę następujących obiektów.

81 P. Art. Plot. mk osłaniał dworzec kolejowy Łódź-Fabryczna, a także obiekty elektroenergetyczne i gazowni. Jedną z jego baterii zajęła stanowiska na pl. Dąbrowskiego, w miejscu, gdzie obecnie stoi gmach Teatru Wielkiego. Bateria ta cieszyła się dużym zainteresowaniem i opieką ze strony społeczeństwa łódzkiego, a w szczególności harcerzy i harcerzy, którzy obdarowywali żołnierzy papierosami, środkami toaletowymi, słodyczami itp.

79 P. Art. Plot. mk bronił terenów zakładów przemysłowych Scheiblera i Grohmana, zaś 83 P. Art. Plot. sk zainstalował swoje działą w pobliżu wszystkich wymienionych obiektów. Jako przeznaczony do obrony przeciwlotniczej przed samolotami lecącymi na wyższym pułapie, do którego nie sięgały działka mk.

W środę 14 lutego 1945 r. około godziny 18.45, już o zmroku pojawił się nad miastem hitlerowski samolot bombowy. Ju 88 próbując przedostać się na teren dworca kolejowego Łódź-Chojny i rzucić na niego swoje bomby, ale czujna polska artyleria przeciwlotnicza otworzyła do niego skoncentrowany ogień. Trafiony celnym pociskiem Niemiec spadł płonąc. Samolot został zapisany na konto osiągnięć dywizji.

4 Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej w składzie wszystkich czterech pułków utrzymywała obronę przeciwlotniczą miasta do 18 lutego 1945 r., t.j. do chwili, kiedy przesuwały się na zachód front wymagał od niej przesunięcia dla objęcia ochrony Poznania.

Jedynie 77 P. Art. Plot. mk osłaniał obiekty łódzkie aż do 14 marca 1945 r. tj. ponad 7 tygodni, aby potem połączyć się z resztą pułków dywizji.

W późniejszym czasie jeszcze kilkakrotnie pojedyncze samoloty niemieckie próbowały przedostać się nad miasto, ale zawsze zostały odpędzone przez radzieckie myśliwce bądź też artylerię przeciwlotniczą.

MIECZYSLAW KOZAK

Świat powtarza za Stanami Zjednoczonymi jak tuba, że w Nikaragui szaleje komunizm, w portach roi się od statków radzieckich, a ulicami miast i wsi maszerują oddziały uzbrojonych Kubańczyków. Przeciwny Polak jest inteligentniejszy od przeciwnego Amerykanina i Azjaty, ale również nie wie o Nikaragui nic. Można by więc zacząć edukację od stwierdzenia, że w tym małym, wolnym, środkowoamerykańskim kraju nie ma żadnego importu ani eksportu rewolucji, mówić zaś o komunizmie lub socjalizmie byłoby doprawdy grubą przesadą, jeśli weźmie się pod uwagę, że wiele kluczowych sektorów, taki na przykład transport czy handel, pozostaje w rękach prywatnych, że są tam do dziś wielkie majątki obszarnicze (sandinisci bowiem wprowadzając reformę rolną, odbierali ziemię tylko tym terratenientom, którzy opowiadali się przed zwycięstwem rewolucji po stronie somozistów) i że w rewolucyjnym rządzie nikaraguańskim zasiada trzech znanych księży.

Oligarchia kościelna była niewątpliwie i jest za starymi stosunkami w kraju, szeregowy kler jednakże, świadom niesprawiedliwości, nędzy i zbrodni, jakie cierpiał za czasów Somozy sponiewierany nikaraguański naród, solidaryzował się, i robi to do dzisiaj, z demokratycznym programem sandinistów: wielu duchownych wzięło bezpośredni udział w walce, wielu poległo, wielu przetrwało, a spośród tych ostatnich rekrutują się wspomniani ministrowie.

Ojciec Ernesto Cardenal, zakonnik, wybitny poeta, eseista, i pisarz, MINISTER KULTURY; Ojciec Fernando Cardenal (brat Ernesto), działacz społeczny, płomienny mówca i publicysta, tuż po rewolucji — przewodniczący do spraw walki z analfabetyzmem (coordinador nacional de la Cruzada Nacional de Alfabetización), potem wiceprzewodniczący Między Sandinistycznej (vicecoordinador nacional de la Juventud Sandinista), a obecnie, od kilku miesięcy, MINISTER EDUKACJI, oraz

Ojciec Miguel D'Escoto, misjonarz z Maryknoll, polityk, bojownik o prawa człowieka, MINISTER SPRAW ZAGRAJNYCH.

Warto dodać, że w 1980 roku był jeszcze czwarty ksiądz-minister (Dobra Publicznego), ojciec Edgar Parrales, niedługo po zlikwidowaniu ministerstwa (zostało przyłączone do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych) przedstawiciel rządu nikaraguańskiego w USA.

Spotkać można także wielu innych księży w rządzie i w organizacjach masowych.

Jeden z nich, Teófilo Cabestrero, zafascynowany osobowością braci Cardenal oraz Miguela D'ESCOTA, napisał o nich głośną, przełożoną na szereg języków książkę, której tytuł zgadza się z tytułem mojego artykułu: MINISTER DE DIOS.

MINISTER DEL PUEBLO. Zaraz na wstępie, w podrozdziale „Między wyjątkiem a prawem”, ojciec Teófilo Cabestrero nawiązuje do konfliktu, jaki trwa między Watykanem a ministrami w sutannach.

Polski papież, Jan Paweł II nieustannie przypomina, że duchownym nie wolno pełnić żadnych funkcji politycznych ani zajmować oficjalnych stanowisk świeckich, aczkolwiek Kościół zakłada w niektórych wypadkach odstępstwo od tej reguły.

Od 1980 roku, z poduszczenia nuncjusza papieskiego w Managui, zaczęła się batalia biskupów nikaraguańskich przeciw księdom-ministrom próbującym zmusić ich do rezygnacji z sandinistycznych urzędów. Nastąpiła wymiana not, obydwie strony przedstawiły swój punkt widzenia. Uznano status wyjątkowości i jakiś czas księża-ministrowie, składając również działacze partyjni, gdyż wszyscy należą do FSLN (Frente Sandinista de Liberación Nacional), sprawowali swoje funkcje świeckie w ramach legalnych, a więc przy niechętnym zgodzie biskupów. Było to szokujące dla wszystkich katolików na świecie, ale trwało. Trwało w imię Boga, w imię prawa kościelnego aż do chwili, kiedy w listopadzie 1982 roku gadzinówka managuańska, „La Prensa” (dziennik opozycyjny) przypisała biskupowi Obando y Bravo słowa, z którymi zwrócił się rzekomo do młodych seminarzystów w trakcie uroczystego

nabożeństwa. Powiedział między innymi, że ma nadzieję, iż owi młodzieńcy będą służyli przede wszystkim Bogu i Matce Przenajświętszej, a nie nędznej ideologii sandinistów, że staną się w przyszłości wielkimi duszpasterzami zamiast zostać wielkimi ministrami.

Był to sygnał do ataku. W parę dni później, 3 grudnia 1982 roku „The New York Times” wydrukował na czołowym miejscu informację, która nie została zdementowana ani potwierdzona zarówno przez Watykan jak i rząd sandinistyczny, a która głosiła, iż papież Jan Paweł II uzależnia swoją wizytę w Nikaragui od natychmiastowej rezygnacji księży-ministrów ze swoich stanowisk.

Okazało się mimo wszystko, że papież przyjechał. Na lotnisku, wśród witających go polityków i duchownych, nie zabrakło wyrodných księży Korpusu dyplomatycznego, a za pośrednictwem telewizji — cały świat zapamiętał bulwersujący incydent, kiedy to papież wygrażał palcem ojcu Ernestowi.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Nikaragua: ministrowie Boga ministrami ludu



Ernesto Cardenal

Ten zaś, minister, zakonnik i poeta, kłęcząc i całował nabożnie wolną rękę Jana Pawła I, potrasając przy tym odmownie głową.

Wspaniali są ci trzej księża-ministrowie! Nie ugięli przed nikim karku nawet wtedy, kiedy trzeba było paść na kolana. Kościół praktycznie wyrzekł się ich, oni jednak nie wyrzekli się Kościoła. Do dziś piastują ministerialne urzędy, nie rezygnując jednak ze święceń. Zachowali celibat, powtarzają przy lada okazji: — Każde z nas jest przede wszystkim kapłanem; to co robimy, służy ludowi i Bogu.

2.

Powiem szczerze, że z początku byłem trochę nieufny. Podejrzewałem, że wszystkie te trzecie, iż godząc się zostać ministrami, mieli jakieś ukryte, niekoniecznie merkantylne cele. Może chodziło o sławę? Może o zagraniczne wyjazdy? Może zapachniała im władza, która przecież, odtąd sięgnąć pamięcią, nigdy nie była wstrętna wysokim dostojnikom kościelnym, usiłującym wywrzeć w obowiązki carów i królów?

Kiedy jednak przeczytałem, książkę Cabestrera, a jest ona najwierniejszym z reportażów, który przechodzi co i rusz w wywiad: pytanie, odpowiedź, porzuciłem się wszelkich niechętnych, typowych dla Polaków myśli.

Sączył jak iza.

Z tego, co mówi Ernesto Cardenal, który zresztą nie czekał na zwycięstwo rewolucji, lecz był jej czynnym uczestnikiem na wiele lat przedtem, wynikają rzeczy niesłychane.

Człowiek ten nie pochodził, jak przypuszczam, z biednych kregów. Urodził się w Granadzie (Nikaragua). Wiersze zaczął pisać w wieku siedmiu lat, teraz ma sześćdziesiąt. W 1942 roku wyjechał do Meksyku, gdzie studiował literaturę i publikował swoje pierwsze poematy. Po obronie pracy magisterskiej na meksykańskim Uniwersytecie Autonomicznym przeniósł się do Nowego Jorku, aby studiować literaturę porównawczą. Następnie podróżował po Europie (Francja, Włochy, Hiszpania, Szwajcaria) i do Nikaragui wraca dopiero w 1950 roku. W cztery lata później przystępuje do ruchu zbrojnego: Rebelion de Abril i bierze udział w nieudanym ataku na Pałac Somozy. W wieku trzydziestu jeden lat zostaje zakonnikiem. Przebywa w

odwiecie klasztor Solentiname. Ernesto musi uciekać z kraju, ale za granicą apeluje gdzie może o pomoc dla rewolucji, która zwyciężyła w lipcu 1979 roku.

Wspomina w rozmowie z Cabestrero:

— Kiedy tworzył się nowy, rewolucyjny rząd, spytano mnie przez telefon, czy zgodzę się zostać ministrem kultury. Oświadczyłem, że mi to nie odpowiada, ale jeśli sądzą, że jestem potrzebny, poddam się. Zapytano po raz drugi: akceptuję urząd czy nie? Powtórzyłem, że nie chcę tego urzędu, jeśli jednak otrzymam rozkaz, zostanę ministrem. Zapytano krótko po raz trzeci: tak czy nie? Wówczas powiedziałem: tak.

Z książki Teófilo Cabestrera oraz z wywiadów prasowych, których zresztą Ernesto udziela niechętnie, wynika pełny obraz tego niezwykłego artysty. Ma siwą brodę, nosi okulary i nieodłączny czarny beret, którego nie zdejmuje nawet wtedy, kiedy towarzyszy prezydentowi

te pasję w twórcach ludowych. Zakłada kółka literackie, odwiedza domy kultury, które sięgają głębokiego buszu. „Chrystus polecił swoim apostołom, aby rozdzielili chleb i ryby, mnie natomiast nakazał sprawiedliwie rozdzielić kulturę”.

3.

Moje nieczne podejrzenia, iż pod pozorami troski o naród i sprawiedliwość społeczną drzemie w sercach ministrów pragnienie kariery i sławy, padły również, kiedy poznałem sylwetkę ojca Miguela D'Escoto.

Ma zaledwie pięćdziesiąt dwa lata. Urodził się w 1933 roku w Hollywood (Kalifornia). Ojciec i matka byli Nikaraguańczykami i niebawem wrócili do kraju. Szkołę podstawową ukończył Miguel w Diriambie, a średnią w Managui, po czym wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie studiował na różnych uniwersytetach łącznie i grekę. W 1956 roku, po uzys-

pomagali ze wszystkich sił ucieknionej biedocie. „Ponieważ zawsze bolała mnie ludzka nędza, już w wieku trzynastu lat nazywałem siebie komunistą. Będąc chłopcem chciałem zostać inżynierem i ożenić się, zeznawałem z tego jednakże, wiedząc, iż jako kapłan przyczynię się do przeobrażenia w moim kraju. Odtąd jestem misjonarzem, nie pomyślałem nawet przez chwilę, że mógłbym zdradzić swoje duchowe powołanie”.

Dziwny to zaiste minister. Nikt nie nazywa go zresztą ministrem. Tak w Nikaragui, jak i poza jej granicami, ludzie mówią zazwyczaj: ojciec Miguel. W Związku Radzieckim, ci sam wspomina, tytułowany był z całym ogromnym szacunkiem compañero padre ministro! (towarzysz ojciec minister).

Modlitwy zaczyna o piątym rano w ogrodzie. Modli się w samochodach, w samolotach, w przerwach między obradami. Chadza do kościoła. Bierze udział w procesjach. Kiedy jego misje dyplomatyczne nie przynoszą oczekiwanych rezultatów, zaczyna regularny strajk głodowy i trwa w nim tak długo, że często znajduje się na granicy życia i śmierci. Głoduje przeciwko nędzy, przeciwko terroryzmowi, przeciwko walkom na Wybrzeżu Atlantyckim, przeciwko bombie atomowej, która padła na Hiroszimę i Nagasaki, przeciwko morderstwom popełnianym w krajach Ameryki Łacińskiej i pozostałych stronach świata.

Mówi w książce Cabestrera: Przysięgając w 1975 roku do walki przeciwko Somozie zadawałem sobie pytanie: co wolę na to Kościół i Watykan? Jak zareaguje moja Kongregacja? Odpowiedź brzmiała: Głęboko nie pomógł krwawącej Nikaragui tylko dlatego, iż obawiam się, że wydalą mnie z ukończonej Kongregacji, zgrzeszyłem przeciwko Bogu.

Kiedy dowiedział się, że został zawieszony w prawach duszpasterskich i nie wolno mu celebrować mszy, płakał całą noc. Nie porzucił jednak ministerstwa. Co do Kongregacji Maryknoll i biskupa Rubena Lopeza, nie wykłóli Miguela D'Escoto i w wielu wypadkach udzielają mu wsparcia.

Wie, podobnie jak bracia Cardenal, że każdego dnia może zginąć. Nie ma specjalnej obawy, nie kryje się za żelaznymi drzwiami. Oczywiście, odczuwa strach przed śmiercią, ale gotów jest ją ponieść. Niejednokrotnie był jej blisko. Jeszcze za czasów Somozy kiedy przystąpił do FSLN, poszukiwano go usilnie. Wrzucono bombę do domu, w którym mieszkał z rodzicami. Nastąpiła eksplozja i część budynku uległa zniszczeniu. Do środka wpadło trzydziestu sześciu uzbrojonych gwardzistów, jednak Miguel D'Escoto przeżywał — wówczas gdzie indziej.

Wzruszające są słowa, które skierował do Miguela D'Escoto jego ojciec, a zrobił to po tym właśnie zamachu, tuż przed śmiercią, w rozmowie telefonicznej:

„Długo dyskutowałem z twoją mamą. Modlmy się za ciebie, nie maruj się o nas, nie bój się śmierci. Mogą zniszczyć jedynie nasze ciało, ale nie mogą nas zabić. Naród pokładający w Was (sandinistach) wielkie nadzieje, nie wolno dopuścić, aby był ponownie oszukany i sponiewierany. Umarłbym na prawde tylko wówczas, gdybym usłyszał, że porzuciłeś sprawę ze strachu przed śmiercią”.

O trzecim z księży-ministrów, Fernando Cardenalu, którego miałem zaszczyt poznać i z którym w listopadzie 1983 roku przeprowadziłem godzinną rozmowę, napiszę przy innej okazji. Tu chciałbym tylko wspomnieć, iż Fernando Cardenal był tym szalonym człowiekiem, który w czerwcu 1976 roku, kiedy w Nikaragui szalał w najlepsze terror Somozy, zdecydował się wystąpić przed kongresem Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie i dać świadectwo zbrodniom, które mają miejsce w jego ojczyźnie nie bez udziału Amerykanów.

Od autora:

Do mojego reportażu „Havana Libre”, który ukazał się w poprzednim numerze „Odgłosów” wkładał się błąd. W zdaniu — „protestowali krupierzy, goryle, babki kłozotowe sprzedawały papierosy i gumy do żucia, barman, wózek, sprzątaczkę, a więc wszyscy ci, którzy nagłe zostali bez pracy i powiększyli ogromną, śledziomyszą, nareszcie bezrobotnych” — chodzi o ogromną SIEDMIUSIĘCIUSZĄ reszce bezrobotnych, bo wielu ludzi nie miało pracy na Kubie w 1958 roku.



Miguel d'Escoto

Danielowi Ortęde w jego cyklicznej audycji telewizyjnej „De cara al pueblo” (twarzą w twarz z narodem). Patrzy, jak to pisarz, bystro, ironicznie, z półśmieszkiem w oczach i z lekką zadumą. Nie upaja go wiadza. Twierdzi, że nie rządzi, lecz służy, że nie jest politykiem, tylko rewolucjonistą (także zakonnikiem i poetą). „Być ministrem oznacza dla mnie nieść krzyż”. Znużyły go podróże zagranicę, ale jeśli trzeba, to wyjeżdża bez protestu. Nie lubi oficjalnych przyjęć, przychodzi jednak na nie, tak samo jak przychodził Che Guevara — wymaga bowiem tego racja stanu.

Podobnie jak w Algierii islam nie jest przeciwnikiem socjalizmu, odwrotnie: doskonale motywuje i wspiera wszelkie jego postulaty, tak i marksizm w przekonaniu Ernesta Cardenala nie kłóci się z religią katolicką. „Jestem marksistą, który wierzy w Boga i podąża śladami Chrystusa. Do marksizmu doszedłem nie przez czytanie Marks'a lecz przez studiowanie Ewangelii”.

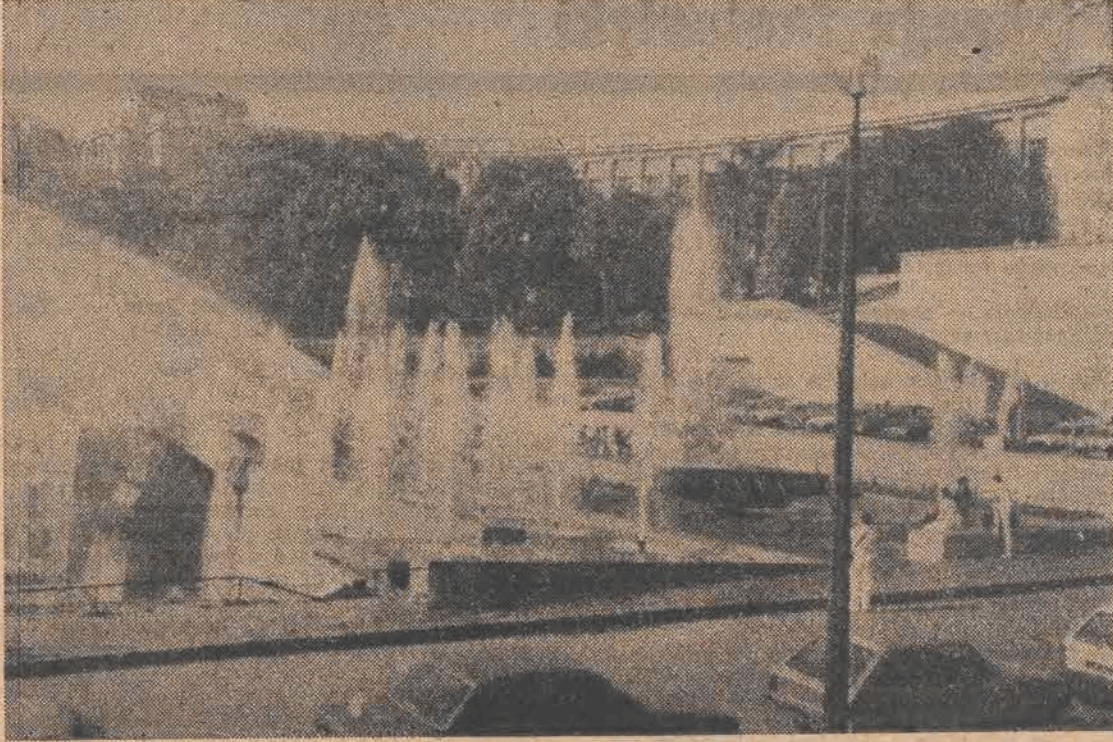
Czy czerpie jakieś korzyści ze swojego ministerialnego urzędu? Nie! Ma niską pensję funkcyjną państwową. Jako poeta zarabiał dużo więcej. Teraz nie pisze, aby mógł pisać inni. Nie rzeźbi (widziałem jego rzeźbę w Związku Pisarzy Nikaraguańskich, które przewodził poeta Rosario Murillo, żona prezydenta Ortęgi), stara się natomiast rozbudzić

kanu magisterium z filozofii w Glenn Ellyn (Illinois), wstępuje do Nowicjatu Misjonarzy w Bostonie.

W latach 1957—1961 doktoryzuje się jednocześnie z teologii w Maryknoll, Nowy Jork i z pedagogiki na Uniwersytecie Stanowym tego miasta. Tu również, w Instytucie Pulitza przy Uniwersytecie Kolumbii, bierze udział w specjalizacji z dyktando i ekonomii politycznej. Święcenia kapłańskie otrzymuje w 1962 roku. Od tej pory jako misjonarz pełni duszpasterskie obowiązki w Chile, w Brazylii, w Meksyku, w wielu krajach Europy, Afryki i Azji.

Kontakt z FSLN (Frente Sandinista de Liberación Nacional) nawiązuje w roku 1975. Jest rzecznikiem owej zbrojnej organizacji antysomozistowskiej i szuka dla niej poparcia w Stanach Zjednoczonych. Ministrem, podobnie jak Ernesto Cardenal, zostaje tuż po zwycięstwie rewolucji, w lipcu 1979 roku, obejmując resort spraw zagranicznych. W rok później powierzono mu funkcję członka w Asamblée Sandinista — najwyższym organie ustawodawczym Nikaragui.

Zazwyczaj wspomina się o internacjonalizmie w odniesieniu do bojowników o wolność i demokrację różnych krajów, ale książkę Miguela D'Escoto także jest internacjonalistą, i to w najszerszym tego słowa znaczeniu. Gdziekolwiek był jako misjonarz, szerzył słowo Boga i



Nad dachami Paryża

TERMINAL OKĘCIE

Zamieszanie przy odprawie. Są nagle dwa loty tego samego dnia prawie jeden po drugim. To przez francuskie strajki. Teraz nadrabiają. Na małym dworcu też można mieć duży zamęt.

Ta kolejka? Nie ta kolejka. Przeciskanie. Popychanie. Obsługa mundurowa LOT nabiera już manier ekspedientek PSS. Niezadowolona jakaś. Ponagla nie dość sprawnie samoobsługujących się pasażerów. Tu nalepka — tam nalepka, że sterty porzucanych po byle jakich lotowych sprzęto-provizorkach. Same nerwy. Żadnej przyjemności, której życzą w ulotkach, coraz zresztą mniej licznych, a w ostatnim rozkładzie lotów z hasła reklamowych pozostało jedynie: „LOT zapewnia szybki i dogodny przewóz towarów”.

Aż mi się wierzyć nie chce, wyczekując w tej kolejce, której do końca nie dowierzam, czy jest właściwa, na pewno, że to właśnie jest ta: podróż mojego życia.

— Pasażerowie odlatujący do Paryża proszę się usiąść.

To do mnie. To ja mam lecieć do Paryża. To ja mam wypełnić swoją materią wymarzone zjawy, kiedy to ćwierć wieku temu unosić głowę znad Balzaka — mydłanym wzrokiem patrzyłam w stronę zachodzącego słońca, które tam nie zachodziło właśnie... w każdym razie nie tak bardzo. To ja mam wejść w ten ekran z nogami. A wokół mnie zadzieje się to kino prawdziwe.

W kolejce po bilet na ten seans, oparta o to coś zdezelowanego, pełnego porzucanych nalepek, ponaglana przez lotowską ekspedientkę wskazam walizkę na wagę i dostaję kartonik, którego resztkę wlepę potem do albumu obok zdjęć: *ORY lot 273 miejsce 16B*.

Po pomocy wchodzę prawie ostatnia. 16B jest miejscem środkowym. Przepraszam 16C.

Jest już pozapinany na zatrask. Nijaki. W szarym garniturku wełnopodobnym i krawacie niepodobnym do niczego. Przeróżnymi naukowic od średniowiecza, coś tam wykrył, coś odkrył, zdumiał kogoś publikacją. Pasja epoki przeszła na maniery jedzenia. Sześć języków, w tym jeden klasyczny — a dwa sztuczne w garści nie do opanowania. Podali filet z indyka z groszkiem. Krawat doczyszczał potem serwetką. Twierdził, że kultura jest ważniejsza od cywilizacji. Myślę, że je połączyć, jeżeli dane mi będzie raz jeszcze wybrać się w podróż mojego życia i założyć do uszu słuchawki tak jak 16A.

16A to przy oknie. Długi i chudy facet z zarostem golonym nożyczkami na tygodniowy i uszami zatkanymi Marią Callas omdlewał w zasłuchaniu za zamkniętymi powiekami, które unosił dwa razy — kiedy dali ten indyjski filet z groszkiem i na koniec, gdy samolot zatoczył koło nad Paryżem. Wtedy też jakby chcąc mnie — przytroczony do fotela jakoś udostępnił to swoje „A” przy oknie — wciągnął się bardziej w oparcie i powiedział: obcojęzycznie: — oto on, przepiękny, przepiękny...

Przez to średniowiecze, indyka i nerwy stracone na terminalu Okęcie — nie mogę osiągnąć stanu koncentracji, by pojąć, że to rzeczywiście on — różowo-ugrowy, rozdzieleny błyszczącą szarością Sekwany. Była 16.35. Słońce minęło już Lasek Buloński, a wieża Paryża rzucała ażurowy cień równoległy do rzeki przeciwnie jej prądowi.

Sekwana. Z góry widać jak się wiję. Z ziemi mówią lewy brzeg — prawy brzeg. Ha! ale lewy brzeg Colombes jest akurat na prawo od prawobrzeżnego St-Cloud Boulogne Billancourt, i do tego oddalonych od siebie o przynajmniej półtoręgodziny dwóch linii metra i do tego autobusem. Tylko po co komu Colombes, nawet gdyby tam właśnie mieszkała ciotka z wiktem i opierunkiem i zwiadowawszy na starość zaprosiła na dwa miesiące.

Paryż — to plac Etoile, kopuła Sacré Coeur, kościół Notre Dame i ta wieża — co w przeszłości, rozgryzanym powietrzu ostatniego dnia września 1935 roku rzuca swój cień ku Avenue Bosquet.

— W Paryżu jest 28 st. C. — mówi stewardesa.

O Boże! — myślę, że też nie powiedziała tego wcześniej, kiedy nie byłam jeszcze przypięta do fotela i mogłam wyjść do toalety, by zdjąć z siebie połowę tego co mam na sobie, i co na samą myśl o tych 28 st. C. zaczyna się na mnie zlepić wspomagane gwałtowną pracą zemocjonowanych tkanek. Szkoda, że brak dewiz uniemożliwia nam nawet nanoszenie temperatur innych stolic na naszą telewizyjną mapę pogody. A może rzecz nie w dewizach tylko, ot tak.

Wieża odpłynęła. Rozlany bezmiar miasta dawno zatracił granicę sławnego inżyniera. Paryż był i był. Aż weszliśmy w olbrzymią przestrzeń lotniska obsługującego przyloty i odloty z częstotliwością czterokrotnie większą niż przejażdż „dziesiątki” koło „Centralu”.

Wysiadła się rękawem, a potem wędruje i i wędruje po hallach i schodach miasteczka ORLY. Bez końca zda się. Jednak ktoś wreszcie wyciągnął rękę po paszport, przystemplował, że wjechałam i pierwszy raz powiedział do mnie: — Madame. A ja pierwszy raz: — Merci.

NO I JUŻ: — VOICI PARIS!

I zrobiło mi się jeszcze gorzej. I nikt na mnie nie czekał. I nie miałam pojęcia, gdzie w tym bezmiernym porcie może być mój bagaż i gdzie mój dom. I wszystkie rajtuzy i podkoszulki oblegaly mnie jak macki. Pod powiekami drżał jeszcze ten różowo-ugrowy pejzaż logicznej zabudowy miejsca wybranego przez bogów i przerażam się na zapas, że nie starczy mi czasu, który otwierał się przede mną. Zatrzymałam się na schodach i ściągnęłam sweter przez głowę, i w tym samym momencie usłyszałam lekki dźwięk, który ode mnie odpadł i wędrował od razu, że to klips, z prawego ucha, duży perłowy wklesnięty krządek kupiony na Zielonej jako jedyna para i to poza kolejką. Wybrańiec. Gdy zająrzałam za balustradę schodów, nieco odsuniętą od muru — on już się uspokajał ułożony na wznak w załomku muru, który istniał tam nie wiadomo czemu, półeczka wynikała z konstrukcji, nieosiągalna z żadnej strony. WYBRANIEC. A potem schodząc z kolejnych już schodów i pozostawiając go tam na stałe zaczęłam mieć wątpliwości, czy aby na pewno takie salto z ulicy Zielonej pod schody, paryskie — ale schody, to nie taka znówu dla niego kariera.

Jest na Orly oddział LOT, ale w boksie nie było nawet kartki, że: „zaraz wracam”. Był poniedziałek. Może wypadła właśnie „odbiór wolnej soboty”. „W razie zagubionego bagażu należy zwracać się do...” — „stoi” na bilecie. Właśnie przyleciały dwa samoloty ich linii. Powiało ojczyzną.

Zresztą mój bagaż nie zginął. Choć ledwie go znalazłam i już z walizką w garści musiałam przestać zwiędzać Orly i wreszcie coś postanowić. W boksie informacji proszę o umiejscowienie mojego adresu na planie. Już wiem, że jest uliczka mała, bo na moim planiku, zdobyty w antykwariacie — nie ma nie tylko jej, ale nawet tej która jest boczną, ale już dotknęłam miejsce palcem i gdybym miała palec nieco tylko grubszy to przykryłby plotwoń Pol Marsowych... O rany, widziałam prawie to miejsce z wysokości, dziesięćdziesiąt stopni na południe od „jej” ażurowego cienia. Tak blisko. Prawie u stóp.

Panienska z informacji wypisuje mi numer autobusu na kartce, potem mam przesłać się do metra. Już wiem wszystko. Na drogę dostaję plan miasta lepszy od zdobywanego i wtaczając walizkę prosto w zielone światło dla tych, co nie mają do zaproponowania panom celnikom niczego do ocenia. Nikt mnie nawet nie obrzuca spojrzaniem. Zdecydowałam, że nie mam to nie mam. I nie mam.

Nowa fala tych, co właśnie przylecieli z Caracas, Madrytu, Johannesburga, Helsinek, Buenos Aires, Vancouveru i reszty atlasu — opuszczała gmach portu i spieszyła ku oczekującym ją samochodom, mówiąc po drodze jakieś spleśne rzeczy, chyba we wszystkich językach świata. Przed wejściem stał autobus Air France z kufrem otwartym na bagaże.

Nagle — chociaż tyle czasu zabrało mi znalezienie właściwego połączenia u panienski w informacji — podeszłam do kasy i kupiłam bilet na ten autobus — bo przeczytałam na nim, że jedzie na Plac Inwalidów. I ta nazwa raptem wyzwoliła mnie z zagubienia. Plac Inwalidów do licha! przecież od ćwierci wieków wiem gdzie to jest. Pozwalam zatrząsnąć walizę w kufre i usadawiam się z przodu, by mieć widok w przednią szybę. Przede mną 10 km jazdy, mogę już nie mieć okazji na takie zwiędzanie. Za 26 franków. Już przeliczam: trzy dolary czterdzieści.

Zmierzcza. Jedziemy żyłą pełną aut. Doskonale urządzoną żyłą przewidującą taką mnogość aut. Przyszyczałam się do układu liter budujących nazwy i słowa, które złoży się na brzmieniowe tło tej przygody. Język. Największa bariera jaką wybudował człowiek pomiędzy sobą a sobą.

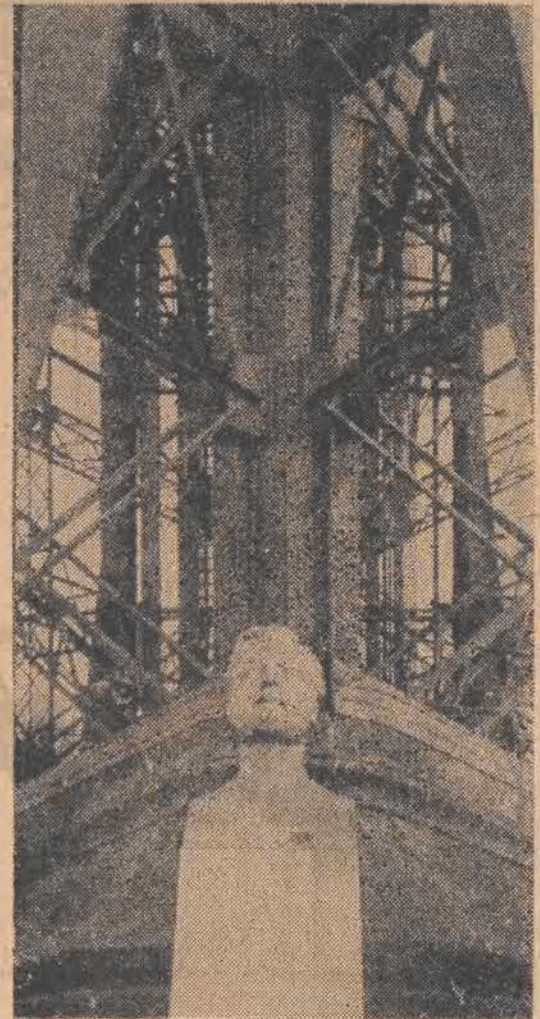
Człeczyna siedzący za mną, powiedział coś o tym, że jest gorący. To był portugalski. Ten mały zniszczony człowieczek, wygląda jak polski chłop-robotnik, w płatek, w pekaesie do Parczewa. A ten tu przybył nie wiadomo skąd. Może z Rio de Janeiro. I nie przejmuję się tym, że dzieli się ze mną swoją portugalszczyzną, ani tym że autobusem Air France wysłanym jak bombonierka pomadek jedzie do Paryża, za 26 franków, czyli trzy dolary czterdzieści. Może mu zresztą na tym Paryżu wcale nie zależy i wolałby do Parczewa, tylko nie może tam trafić. Tak jak ja nie mogłam dotąd trafić do Paryża.

I teraz łapie każdą sekundę tej nadzwyczajności, bo wiem, że może się już nie powtórzyć. I nie mogę wyciszyć łomotania serca, gdy opuszczając żyłą autorout A6 wjeżdżamy w pierwszą avenue, a potem na pierwszy plac. Jest to plac d'Italie, a potem już bulwary Port Royal całe w światłach. I Montparnasse usypałe dżetami neonów, błyskotek wystaw, żarówek i żarówczek.

BLASK WIELKIEJ METROPOLII.

Blask jak blask, jak inne blaski innych metropolii, ale w żadnej innej pośród blasków nie ma tabliczki z napisem Boulevard Montparnasse.

Montparnasse! To studenci Sorbony w polowie osiemnastego wieku nazwali Parnasem ten pagórek, gdzie w zajazdach szczypali dziewczęta jeszcze wtedy wsiowe. To tu powstał kan-



Popierse Eiffela — twórcy słynnej wieży
Zdjęcia: Tamara Roszak

kan i to tu polscy emigranci uczyli Francuzów polskiego mazura. Sto trzydzieści lat temu powstał teatr Bobino: to śpiewali Edith Piaf i Maurice Chevalier. Notowania z coraz bardziej żółknącej listy przebojów Montparnasse 106. Tu mieszkał Wyspiański, a gdzieś obok Sławiński i Pankiewicz, och, cała paleta Polski: Laszczka, Makowski, Mehofer, Boznańska, Zak, Terlikowski.

Stoiśmy na światłach przed skrzyżowaniem z bulwarem Raspail na dwóch rogach, po dwóch stronach do dziś dwie kawiarnie le Dome i la Rotonde — tu zbierali się ci co teraz wiszą w Jeu de Paume, Ecole de Paris, czyli Impresjonistów. Ruszamy. Nie mogę wymacać wzrokiem jeszcze jednego miejsca La Closerie des Lilas — gdzieś wysiadywali Verlaine, Strindberg, Apollinaire, Paul Valéry i Oscar Wilde, a później w to samo miejsce ścigała Hemingwaya i Joyce'a i Gertrude Stein. Ciekawe czy teraz ktoś znajduje czas, żeby się z kimś spotykać i to w dodatku wysiadywać regularnie w jakimś ulubionym miejscu, np. tu w kawiarni la Rotonde i czy słyszałby co ten drugi do niego mówi. Kiedy ruszamy spod światła skrzyżowania, to jak sfera spuszczone ze smyczy. Przez chwilę czuję się jak na wyścigach. Metalowa ławica warkocząc i wślizgając wypłapuje dla siebie ulamki przestrzeni i gna. Parę milionów ludzi spieszy się jednocześnie.

Blyszczy się, mieni brokatowo bulwar, przesuwają się światła — dziesiątki światełek — aż raptem skręcamy w prawo i robi się ich mniej, mniej i te ruchome prawie znikają, pozostają ciche i stałe światła latarni, pośród pustki i przestrzeni. To już Plac Inwalidów, na którym poczułam się w domu.

Więc jest to niewiarygodne, że wystarczy pięć, może dziesięć minut jazdy autobusem w tym samym miejscu i że może być tak cicho i przestrzenie. I żeby nie wiem ile się naczytać i naoglądać filmów i zdjęć — przestrzeń i wielkość można pojąć tylko, gdy się przed nią sam na sam stanie. Regularnie pocieły gazony plac był przestrzenią ogromną, przestrzenią ciężej, pościł trawy, równiutko wystrzyżonych irzew i tych sentymentalnych latarni, które nie krzycząc rozpraszały swoje światła w mrok już pełny.

Jedynie ja zakłócałam wulgarnym hałasem kółek walizy tę rozległą dostojność. Wynijam alejami prostokąty podziałów Placu idąc na azytmu ku narożnikowi, o którym wiem, że musi być początkiem ulicy Motte-Picquet. Zgadza się. Wszystko się zgadza, tak jakbym tylko przyjechała po to, żeby sprawdzić czy się zgadza i dotknąć bruku. Jest krzywy. Chodniki też dawno nie przekładane i ciasno. Teraz są to już tylko pół-chodniki. Dzielą między siebie szerokość na kawiarenki wystawione na zewnątrz i samochody wjechane do wewnątrz i do tego wszystko to wytrzymujące — stare drzewa. Drzewa, które pamiętają od młodości te kawiarenki, a teraz muszą przyzwyczaić się i do samochodów.

Wybrałam wędrowkę jezdnia. Gdzieś tam ktoś przy stoliku wypija szklanczkę czegoś. Jest łagodnie i powiatowo. Po lewej już widzę zarys ciemnego blozyska Szkoły Rekrutów. Jakie długie — myślę — to gmaszysko, i nagle... zamieram. To tak się mówi zamieram. Oczywiście, że żylam, bardziej niż kiedykolwiek. Przestałam jedynie oddychać. A może po prostu zapomniałam, że trzeba...

Zza grupy drzew nagle widok na Pola Marsowe i Wieżę Eiffela. Jest cała w żarówkach, jak choinka, albo jak kopuła cyrkowego namiotu. Najwyższe światło — wiem, że to jest wysokość 320 metrów, a potem tak po niej sływa światło żarówek — co metr, a może co pół, pionowo i po poprzecznych przesłach. A ta przestrzeń przede mną to 20 hektarów, ale 20 hektarów też harmonijnie utkanych latarniami. A ja na to wszystko patrzę nieco z góry z tarasu przed Ecole Militaire.

Jestem samolotka na wprost tego wszystkiego. Zapomniałam, że trzeba także oddychać i wiedziałam, że przynigdy nie będę umiała tego opisać.

A potem zdjęłam z ramienia torbę i wyjęłam z niej jabłko z drzewa mojej działki na Retkini i ugryzłam zachłannie. Sok spłynął po wyschniętym gardle.

Oto cud. Najprawdziwszy. Oto nadchodzi noc nad Paryż. Niebo całe w gwiazdach. Pola Marsowe w gwiazdach, Wieża Eiffela w gwiazdach. Nawet nie ażumiła ciężkie liście starego drzewa Ciepło. Granatowo. Brylantowo.

Jadłam jabłko z mojej działki.
Paryż, 30 września 1935.

TAMARA ROSZAK

W kręgu fantastyki

Człowiek siedzący przy posłaniu milczał i uśmiechał się. Twarz jego była wygolona do białości, jak u młodzika, ale pokryta delikatnymi zmarszczkami z pewnością należała do starca. Twarz wydawała się znajoma, ale i to wrażenie mogło mylić.

— Chłopce — powiedział człowiek — chłopce, nazywasz się...

Log — poczuł jak bulgocze w gardle. Chłopce. Człowiek był podobny do Wędrowca, do Petrina. To nie mógł być Petrin, ale chęć, żeby to był właśnie Petrin okazała się silniejsza od rozumu i Log mogąc w końcu, jeśli nie myśleć logicznie, to przynajmniej sensownie mówić, zapytał:

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył pytając Petrin.

— Dlaczego oddycham? Tu nie ma powietrza. Dlaczego widzę? Wszystko wiruje, ale widzę. Dlaczego?

— Czyż powietrze i mgła — to to samo? To różne słowa i oznaczają różne rzeczy.

— Petrin!

— Nazywam się Jarin... Będę twoim przewodnikiem w tym nowym dla ciebie życiu. Dopóki nie usamodzielnisz się, i powiem ci od razu: żyjesz. Byłeś nieprzytomny tylko dobie, nie tak znowu długo. Jesteś na Górze, i to jest teraz twój dom. Resztki twojego powietrznego staku są w sąsiednim pokoju, wraz z twoimi rzeczami. I rzeczywiście widzisz na odległość wielu loków. Czy są po to dane ci owiemkowi, aby widział świat. Cały i od razu. Tutaj i tam, daleko. Zapamiętaj to Log. Powtarzaj dopóki nie przywykniesz, dopóki ten fakt nie wejdzie w ciebie, nie stanie się tobą... Żyłś we mgle i nie wiedziałś, że mgła to nie powietrze, a przeszkoda. Ale byłeś niezadowolony, prawda? Szukałeś nowego. Nie mogłeś żyć tak jak wszyscy, i znalazłeś sposób, aby się dowiedzieć. Dowiedziałś się. Nie wszystkiego — trochę. Oddychasz powietrzem. Ono jest wokół ciebie, niewidzialne i nienamacalne. Powietrze otwiera ci świat, a mgła zamykała go. Mgły tu nie ma, Log. Została w dole. Uniosłeś się ponad mgłę. Uniosłeś się ponad siebie. Log. Pomyśl, o tym, Log przyjmij to jako fakt. Tak jest.

Zanim Log zdążył wymówić słowo, za oknem rozległ się basowy, grzmący, groźny Głos Nieba. Tego dźwięku nie można było pomylić z innym. Głos gniewał się na Loga, omal nie załbił go tam, w nocnej mgle, dosięgnie go tutaj.

Jarin też usłyszał Głos, ale był zupełnie spokojny. A może on jest bogiem? Jarin powiedział coś, i Log nawet usłyszał, ale nie rozumiał, słowa nie trafiały do jego świadomości, w której królował Głos.

— To śrubolot — powtórzył Jarin.

I Log uspokoił się. Uspokoiło go słowo, na którym leżało ciężko czegoś martwego, wymyślnego. I lekceważenie, z jakim Jarin wymówił to obce słowo „śrubolot“.

— Śrubolot — powtórzył Log. — To... Głos Nieba...

— A... — Jarin pokiwał głową. — Tak, dla tych kto jest we mgle to Głos Nieba. Znowu mgła... Latamy ponad mgłą, zniżamy się rzadko, nawigacja tylko przy pomocy przyrządów jest złożona i niebezpieczna. A wy nie widzicie maszyny i stąd legenda. Macie dużo legend. Więcej niż wiedzy. I my mamy legendy, przypowieści. Ale zupełnie inne...

* * *

— Co góruje nad chmurami?
— Góry.
— Co rozciąga się ponad górami?
— Niebo.
— A co jest za niebem, gdzie świecą planety i gwiazdy?
— Myśl i Wiedza.

* * *

Log prawie nic z tego, co zostało powiedziane nie zrozumiał, prócz jednego: Głosu Nieba nie ma. Uniosł się na posłaniu. Ręce i nogi całkowicie podporządkowały mu się, nie drżały i Log zdecydował się wstać. Ale posłuszeństwa odmówił oczy. Wszystko zawirowało, przewróciło się. Log wczepił się w ramie Jarina, ale nie położył się. Siedział, przeczekując z zamkniętymi oczyma atak młotów. A Głos wciąż dźwięczał, dobiegał z daleka i kiedy, otworzył oczy Log zobaczył wszystkie przedmioty na poprzednich miejscach, zapytał:

— Czy jego... można zobaczyć?

— Zuch z ciebie, chłopce — powiedział Jarin. — Rzeczywiście zuch z ciebie, Log. Oczywiście, śrubolot można zobaczyć i nawet dotknąć. A potem i polecieć na nim, jeśli zechcesz. Wkrótce wszędzie słońce, będzie jasno i zobaczysz miasto, i śruboloty, i fabryki, i ludzi, którzy już lubią cię... A teraz, żeby nie męczyło cię oczekiwanie, opowiem ci historię naszej biednej planety.

Log pokiwał głową. On nie rozumiał nawet połowy słów. Miasto. Fabryka. Słońce. Planeta. Puste dźwięki.

„Jeden krok — pomyślał Log. — Jeden krok i jedno uderzenie nożem po napiętych linkach. I — nowy świat. Jeden krok — i nowy świat.“ Log powtarzał te słowa, zapomniałszy o tym że przed tym krokiem zrobił mnóstwo innych. Szedł całe życie. Pragnął czegoś niezwykłego, chciał to, co mógł pojąć, wyobrazić sobie, dlatego, że człowiek po prostu nie może chcieć tego, czego nie jest sobie w stanie wyobrazić. I otrzymał swoje, chociaż zupełnie nie to czego oczekiwał. I teraz powinien przekroczyć non-

sens, który okazuje się nie nonsensem świata, lecz nonsensem jego, Loga oczekiwań.

— Śrubolot — jeszcze raz powtórzył Log — miasto, planeta. Wszystko krąży przed oczami, Jarin.

— To naturalne — powiedział Jarin. — To przejdzie. Zamknij oczy, Log. Słuchaj...

I Log dowiedział się.

* * *

Kilka tysięcy lat temu to była przepiękna zielona planeta, z wysokim i przeźroczystym zielonym niebem („Nie pomarańczowym?“ — wtrącił Log), po którym płynęły białe obłoki („Co?“ — spytał Log, ale więcej nie przerywał, tylko zapamiętywał to co niezrozumiał).

Żyli na planecie ludzie — plemię oraczy i mędrców, latały ptaki, w lasach były zwierzęta.

PAWEŁ AMNUEL

Ponad góry, ponad chmury, ponad niebo...

A potem przyszła mgła.

We wnętrzu planety zachodziły procesy, których nikt z ludzi wtedy nie rozumiał. I stopniowo, bardzo stopniowo powietrze, piękne, czyste i przeźroczyste powietrze, zaczęło mętnieć. Prawie wszędzie spod gleby wydobywały się gazy i opary, ślady podziemnych reakcji. Były niegroźne dla ludzi, ale ptaki zginęły prawie od razu. Mgła była wszędzie i uciec od niej można było tylko przenosząc się wyżej. Mgła była ciężka, ścieliła się po ziemi i ludzie żyli jakby w mlecznej niewoli.

Oni odeszli w góry, nie wszyscy, tylko część. Druga część została na równinach, w tym znanych, choć zmienionych, otoczeniu. Ci, którzy zostali, siali i zbierali, i żyli z tego. I ta praca, niezbędna, by nie umrzeć z głodu była ich życiem. Niczego we mgle nie widzieli, ale i nie chcieli widzieć dlatego, że zapomnieli, co to takiego. Przyszycieli się. Jeszcze kilka tysięcy lat takiego życia i w nich wykształciłby się nowy zmysł, powiedzmy podczuwane widzenie lub radiolokacja. Ale minęło niewiele czasu — niecałe tysiąc lat. I w dolinie mieszkające plemię ślepców, którzy stworzyli sobie wygodną wiarę w to, że tak właśnie powinno być, że świat — to osada, że życie — to praca w polu, dom, rodzina, dzieci i nic więcej nie ma i być nie powinno, dlatego, że takie jest Prawo. To twoje plemię, Log...

A druga część ludności odchodziła w góry. Mgła doganiała ich, a oni szli coraz wyżej.

Kiepsko im się wiodło dlatego, że w górach jest mało jedzenia, oni jednak nie chcieli się poddać — nie po to nawet aby przeżyć, ale żeby odpowiedzieć na pytanie „Dlaczego? Dlaczego go zdarzyła się taka tragedia?“

Mgła podnosiła się wolno, ale nieodwracalnie. Tylko cztery wierzchołki gór zostały ponad mgłą, kiedy jej ruch w końcu ustał. Tylko cztery grupy ludzi — niewielka garstka — pozostały by żyć oddalone od siebie tysiącami kilometrów. Nic o sobie nie wiedząc. Cztery wyspy w oceanie mgły. Ale obronili się. Więcej, zachowali wiedzę. Zbudowali w górach osady, a kiedy brakowało miejsca — wysadzali skały. Najcenniejsi byli tu uczeni, inżynierowie. Żeby poruszać się po górskich zboczach, ludzie wynaleźli łączność radiową i aeronautykę. I tylko jednego zawsze im brakowało: jedzenia. Górskie pola są skąpe i po dwóch, trzech stuleciach już nie mogły wyżywić wzrastającej liczby ludności. I przed nami, a dokładniej przed naszymi przodkami, powstał problem nad problemami.

Ubóstwa wyobraźni i pewności, że szczęście jest osiągalne. Mgła niewiedzy ukrywa przed wami świat. Mgła przesączała się też do waszych myśli. Oddzieliła jedną myśl od drugiej, odcuciła łączenia myśli w ogniwa rozumowania. Wystarczy wam to co macie. Nie macie po prostu wyobraźni. Mgła. Przekięta mgła...

— Może to i lepiej? — wymamrotał Log. Pomyślał o matce, o maicach, o Lenie i Lepirze, o wszystkich razem, jednym spojrzeniem ogarnął całe swoje życie i życie osady pod tym nowym dla siebie kątem widzenia. — Wy, Jarin, nie straciliście zdolności dążenia do tego, czego wam brak. I ja chciałem... Chcę tego samego. Pomarańczowej mgły. A teraz, kiedy wiem, że to bzdura, chcę jeszcze więcej. Nie mogę tego opisać, wydaje mi się, że teraz chcę tak wiele, pełną z niecierpliwości. To takie bolesne. A oni są szczęśliwi. Ci, którzy zostali we mgle. To znaczy, że im jest lepiej niż wam... nam.

Jarin przemilczał, patrząc Logowi w oczy.

— Chciałbyś wrócić na dół? — zapytał. — Żyć tak, jak żyją inni... No widzisz. To jest choroba rozumu — chcieć wiedzieć i unieść. Jak każda choroba jest ona męcząca. Ale jeśli wyleczysz się z niej, twój umysł zgaśnie. Na szczęście choroba ta jest nieuleczalna. Ale wy tak rzadko chorujecie...

— Wędrowcy — powiedział Log.

— To tylko lekka postać choroby — powiedział Jarin. — Nie sen umysłu, ale i jeszcze nie jawa. To drzemka, przebudzenie. Niejasne odczucie niedogodności, pociągające za sobą poczucie tajemniczości świata.

— Skąd tyle o nas wiesz? — zapytał Log, już domyślając się jaka będzie odpowiedź. — Przecież nigdy nie przychodzicie do nas?

— A ty Log? — uśmiechnął się Jarin. — Wędrowców jest niewiele. Oni odchodzą w mgłę. Właściwie tak w naszym świecie zachodzi wymiana informacji między osadami. Jak list bez odpowiedzi. I wśród tysięcy Wędrowców znajduje się jeden, który niejasno pojmuję, że postępować należy zupełnie inaczej. To ludzie z wyobraźnią. Oni przychodzą do nas. Nie, przylatują. Odkrywają prawo rozszerzalności cieplnej lub, tak jak ty Log, napelniają kulę lekkimi gazami. Takich ludzi jest bardzo niewiele. I wśród tych nielicznych, na palcach można wyliczyć jednostki w poprzednich stuleciach, które zdolne były zachować zdrowe zmysły, kiedy mgła nieoczekiwanie rozwiewała się i widzieli, że świat jest ogromny. Widzieli daleki horyzont, zaorane wiatrami pole mgły, a nad sobą — to, co i dla nas, na razie, nieosiągalne: słońce, księżyc, planety, gwiazdy... Umysł, dopiero co rozbudzony, nie jest w stanie wytrzymać podobnej próby. Ale zdarzają się wyjątki. Ostatni człowiek z dołu przyszedł do nas 79 lat temu. Dawno temu umarł. Tacy ludzie szybko się spalają, ich mózg ponie nieposkromioną chęcią dowiedzenia się i zrozumienia... I oto teraz przyszedłś ty, Log.

Słuchając Jarina, Log patrzył w szarżący otwór okna. Ciemności już nie było, ale nie było jeszcze całkiem jasno. Dzień rodził się i Log pociągnął do okna. Nogi podporządkowały mu się, chociaż pokój wciąż kołysał się przed oczami. Ale krok był zrobiony. Drugi i trzeci. Opierając się na ramieniu Jarina, wczepiwszy się palcami w parapet, żeby nie upaść, Log patrzył przed siebie w świat, jawiący się mu od horyzontu do horyzontu.

Dom stał nad stromym urwiskiem. Osłepiająco białe dywan leżał w dole. A niebo płocho purpurowym, pomarańczowym, żółtym, wszystkimi odcieniami, co rodziło się między mgłą a tym ośniewającym pięknem gry światła. Coś jaskrawego i bardziej osłepiającego niż piomienie.

— Wschodzi słońce — powiedział Jarin. — Idźcie dzień.

Log cofnął się. Pomyślał przelotnie, że teraz umrze, ale myśli ta spłonęła w płomieniu wschodu. Log poczuł ten płomień w swojej piersi.

— Słońce — powtórzył Log. Płomień w piersi nie gasi i Log pomyślał, że zostanie w nim do samej śmierci i będzie palić go i spali w końcu, ale zanim myśli jego zamieni się w popiół, dowie się wszystkiego, co wiedzą ci ludzie. I więcej niż to, co oni wiedzą teraz.

— Mgła gasi płomień w piersi — powiedział Jarin, zrozumiałwszy stan Loga. Mgła... Podnosi się, Log. Kilka dziesiątków lat temu wydzielanie się gazów z gleby znowu nasiliło się. Mgła podnosi się i za dwa-trzy pokolenia... mgła będzie tutaj.

— Nie! — powiedział Log, przestraszony tym, co w mgnieniu oka zarysowała mu wyobraźnia. „Nikt — pomyślał — nie powinien żyć tak, jak żyją ludzie tam, w dole. Nikt. Nigdy“.

— Niestety, mgła jest silniejsza od słońca — smutno powiedział Jarin. I Log pomyślał, że Jarin już do połowy pograżył się we mgle, w swojej mgle, jeśli mógł powiedzieć te słowa. — Żeby zwyciężyć mgłę, nie wystarczy zwyciężyć siebie. Trzeba zwyciężyć świat. Kto może tego dokonać?

— Ja — powiedział Log.

Tłumaczyła:
EWA DĘBSKA

Rys. Piotr Zdrzyński

1

Nagle
zastępstwo

Dzień pracy Japończyka albo kabaretologia ruralistyczna

Zebrałem przebiegało nieco ospale. Tylko ruchliwe ręce Szeffa zwiastowały — tym, co go lepiej znają — że zaraz coś się wydarzy. Na razie, wciąż jeszcze spokojnie i beznamietnie Szeff oceniał naszą pracę. Piszę — mówił — że i coraz gorzej Uczniowie młodszymi klas liceum dostali by za takie wypracowania dwójki. Może jakiś belfer o gołęmb sercu postawiłby trójkę z minusem. Odrywacie się od życia, prawdziwe problemy codzienności nie znajdują odzwierciedlenia w naszym tygodniku. Jak tak dalej pójdzie złożę rezygnację, zamieszkać w małym domku i zajmę się pracą naukową i pamiętnikarstwem.

— Szeffie, tylko nie to! — dramatycznie, choć obłudnie jęknęła felietonistka Biurowa.

Wszyscy inni traktowali cotygodniową pracę Szeffa rutynowo — Jerzy P. grał w szachy z Ryszardem Błkowskiem. Szachownicy umieścili dyskretnie pod stołem a figury przedstawiali palcami prawych stóp. Buty i skarpetki pod krzesłami. Janusz Szymański-Głanc przetrząca „Playboya” dyskretnie ziewając.

Ben Grundik, siedzący obok, zarzucał mnie handlowymi propozycjami: — kup rupie indyjskie, okazja, tanio! A może ci pożyczę pieniądze? Po koleżeńsku, na 15 procent. To nie jest dla mnie żaden interes, żeby tak szczęścia do handlu nie miał, pożyczę, bo cię lubię.

Wreszcie Szeff dojrzał. Dojrzał do awantury.

— Trzeba wreszcie podnieść dupę z fotela — wrzasnął dziękując — niejaką ilustrując swoje hasło — wstał nagle i zaczął nerwowo chodzić po sali konferencyjnej.

— Na Filipinach wybory, demonstracje, zmiana rządu a od nas nikt o tym nie ma! Co się dzieje na Haiti? Gdzie jest nasz wysłannik? Dlaczego nikt jeszcze nie zrobił wywiadu z Duvalierem?

Tu spojrzal groźnie na Gadowskiego, który szeptał coś do ucha Grzesiowi Gałasińskiemu. Gałasiński był czerwony jak burak.

Roman Kubiak, który dotąd zajmował się uwodzeniem felietonistki Agaty zerwał się nagle:

— Szeffie, byłem w Ozorkowie! — No tak, byłeś... — Szeff machnął ręką — koniec zebrań! Poproście do siebie Andrzeja Karola — Reszta wam, do roboty!

Czułem, jak dusza ucieka mi w pięty. Kiedy ostatnio brałem delegację, wyjeżdżałem? Może rok temu...

Stałem na dywaniku przed ogromnym biurkiem naczelnego i nie mogłem opanować drżenia kolan.

— No, słucham, gdzie pojedziesz? Jakże to znakomite raporty z podróży przywieziesz?

— Może Stefana Życiowego gdzieś wystać? — przypomniałem sobie, że Stefan był jedynym człowiekiem, który uważnie słuchał tryady naczelnego. Pogadaliśmy z nim, może razem coś wymyślimy...

— Ty mi się Życiowym nie zastanawiaj! O ciebie mi chodzi! Coś mnie oślnię. Gdzieś czytałem, że ma się odbyć przegląd kabaretów wiejskich. Gdzieś na Podhalu. Marzec w górach — proszę bardzo! — pomyślałem chytrze i wyjąkałem:

— Mam pewien pomysł...

chciałbym się zająć kabaretami, wyjadę w tym celu na południe.

— Grecja? A może Afryka Południowa?

— Nie, nie bliżej gdzieś, w nowosądeckie...

— Kabarety, powiadasz... znów nie poważnego, jakieś hocki-klocki, wierszyki, piosenki i inne duperele!

— Szeffie, to będą kabarety rustykalne! By tak rzec, satyra ruralistyczna!

— Chyba że tak. Ruralistyczna, powiadasz... No, jedź, dam ci szansę.

Cały spocony wyszedłem na korytarz. Usłyszałem jeszcze jak naczelnym wrzasnął do sekretarki: — Bogda, słownik wyrazów obcych, biegniemy! A potem dodał ciszej: — ruralistyczna, rustykalne, ruralistyczne, rustykalne, rurali...

Na korytarzu czekał Życiowy. — Idę do Szeffa! Mam bombową propozycję! Pojadę do Japonii, zajmę się tą ich pracowitością. Słyszalesz, oni podobno pracują po osiem godzin dziennie?

— Słyszalem. Stary, druga Japonia? To już było...

— Nie nie rozumiesz. Oni pracują osiem godzin, tak jak u nas. Tylko że pierwsze dwie godziny pracują na cesarską, dwie następne na rodzinę cesarską, potem dwie godziny dla siebie. A ostatnie dwie godziny pracują dla ogólnego rozwoju Japonii! Fenomenalne!

— Bzdura. Przecież to tak samo jak u nas...

— Tak, oczywiście, tylko Polak nie może pracować przez pierwsze dwie godziny, bo u nas cesarza nie ma!

— Rodziny cesarskiej też nie, więc nie pracuje również przez następne dwie godziny?

— Właśnie! Ale kolejne dwie godziny, dla siebie, Polak pracuje rzetelnie!

— Ostatnie dwie pewnie też dla ogólnego rozwoju...

— Japonii? A cholera nas obchodzi rozwój Japonii?

Postukałem się w czoło. Od chodząc, myślałem o swojej nowej specjalności: kabaretologia ruralistyczna. Nieśle brzmi...

ANDRZEJ KAROL

2

Opowieści
wschodnie

Niepohamowane ambicje czyli Konik Garbusek

Opisałem ostatnio niesłusznie dla Perszeronii okres panowania Rudogryzowego II. Okses, który przeszedł do historii jako czas hańby, obłudy i przelewu krwi i z tego właśnie powodu nie jest odnotowany w oficjalnych kronikach i podręcznikach historii. Również panowanie jego syna i następcy, Konika Garbuseka, nie znajduje pełnego odzwierciedlenia w perszeronickiej historiografii, choć początkowo miał opinię władcy łagodnego, tolerancyjnego i oświeconego. Był m.in. mecenasem sztuki i sam orbo- wał się jako literat — zadebiutował jako satyryk...

I od tego pamiętnego debiutu wszystko się zaczęło. Garbusek, otoczony pochlebami jak każdy panujący, doszedł do wniosku, że jest humorystą nadzwyczajnym, utalentowanym i niezwykle poczytnym. Przesłał więc do dwutygodnika „Ośli ogon” i utworzył konkurencyjny organ, pismo satyryczne pod nazwą „Wesoły kiera”, którego był wydawcą, naczelnym redaktorem i najczęściej zamieszczanym autorem. Kiedy jednak o-

kazało się, że pismo ma minimalną poczytność, najpierw zaczął wydawać „Ośle go-na” („OO” jak mawiali pochlebcy regenta), następnie wprowadził obowiązkową prenumeratę swego „Wesołego kiera” przez wszystkie urzędy administracji państwowej, jednostki wojskowe itp.

Niejakim naturalnym następstwem tych poczynań było prześladowanie co zdołało się satyryków Perszeronii, rozciągające także na artystów estradowych, clownów cyrkowych a nawet — co było niepojęte dla Perszeroników — kucyków, zatrudnionych na dworze regenta w charakterze błaznów!

Z krytykami literackimi sprawa była prosta — bardzo przedko nauczyli się pisać eseje pochwalne na cześć regenta i drugoczące paszkwile na wszystkich rzeczywistych czy choćby tylko potencjalnych konkurentów Garbuseka.

Następnie chcieli sławy regent mianował się dyrektorem jednego w stolicy teatru satyrycznego, do którego pisał pełnospektaklowe sztuki, skecze, wiersze i piosenki satyryczne.

Frekwencja początkowo spadła, ale nauczony już doświadczeniem wydawcy Garbusek wprowadził ulgowe wprowadzki, ale obowiązkowe abonamenty dla wszystkich urzędników państwowych. Po każdej premierze naczelnicy mieli obowiązek sprawdzić znajomości wystawianej sztuki i karać tych, spośród podwładnych, którzy nie potrafili usprawiedliwić swej nieobecności na spektaklach.

Utrzymanie zarówno teatru jak i wielokonkadowego pisma kosztowało, do tego dochodziły okragie sumki nagród na bardzo licznych konkursach satyryków i humorystów, których laureatem był bez wyjątku sam regent...

Rosły więc w Perszeronii podatki i niezadowolone zataczało coraz szersze kręgi.

Ogarnięty cesarską manią regent miał coraz dziksze pomysły. Nie wystarczyło teatr i czasopismo. Nie wystarczyły bardzo liczne konkursy i festiwale. Wprowadzono — w każdą wolną sobotę — obowiązkowy „dzień humoru i satyry”. Wszyscy obywatele mieli obowiązek czytać na głos utwory regenta, oglądać w telewizji programy rozrywkowe i zarykiwać się ze śmiechu... Kto nie rżał, nie kwiczał jak zarzynane prosię, nie wymachiwał jak głupi ogonem narażał się na grzywnę, a w przypadku recydywy na dużo cięższe kary.

Oprócz obligatoryjnej wesołości w wolne soboty mile widziane były także wybuchy śmiechu w inne dni, nawet w czasie pracy. Administracja zakładała przy surowym zakazie przeszkadzania pracownikom w lekturze utworów Garbuseka w godzinach pracy. Pracownicy, zdrowe rzenie było obowiązkiem patriotyzmu i lojalności wobec dynastii i zasługiwało tylko na pochwały albo i nagrody.

Pochlebcy i karierowicze śmiali się bez przerwy, zwiastując na widok policjanta lub zwierzchnika, śmiali się przez sen, zmuszali do śmiechu swoje rodziny i jak kraj długi i szeroki rozlegała się gromka śmiech dniem i nocą...

W pałacu regenta wręcz ściany zaczęły pękać od nieustannego rechotu i rżenia dworzan. Aż pewnego dnia sytuacja zmieniła się radykalnie. Oto w czasie audyencji u regenta sprytny, wytrawny dyplomata, ambasador Zoofili szepnął Garbuskowi, że poddani wcale nie śmieją się z jego utworów. Przeciwnie, śmieją się z niego, z jego garbu!

Regent przestał się śmiać i zasepiał się. Na drugi dzień zaczął zamknąć teatr i pismo satyryczne, zlikwidował wszystkie imprezy rozrywkowe i festiwale, zakazał emitowania programów rozrywkowych w radio i telewizji. Wprowadzono zakaz śmiechu!

Urzędnicy, policja i cała tzw. elita władzy przystosowała się natychmiast. Nikt się nie śmiał. Ale przyzwyczajony do śmiechu naród nie mógł odzwyczaić się z dnia na dzień. Toteż gromki śmiech wybuchł tu i ówdzie, powodując drastyczne akcje policyjne.

Regent nie mógł znieść śmiechu. Popęlił, biedak, samobójstwo...

Rada regencyjna i obydwie izby parlamentu zgodnie zgodziły się na ustąpienie jego następcy. Podobno miał jakieś talenty muzyczne. Urząd regenta powierzono młodszemu synowi, tajemnemu mułowowi, bez talentów i ambicji...

REN GRUNDIK

3

Wiatr od ładu

Ile mamy morza może się każdy przekonać oglądając w dzienniku telewizyjnym prognozę pogody. Wtedy zobaczy nad mapką Polski falujący pas. To właśnie nasze morze. Mamy go sporo, ale czy potrafimy właściwie wykorzystać? Morze bowiem nie służy tylko do kąpiei i opalania się na plaży. Zresztą wytrawny turysta zaraz powie, że z kąpielą lepiej być ostrożnym, a opalać się mogą głównie „tekstylni”, bo naturystów wyrzucili z Chłaput i tylko Zbigniew Wodecki śpiewa o tym, czego już nie ma. Zresztą gdy tylko nastanie sezon pędzą na południe samochody i pociągi pełne polskich turystów, bo lepiej i atrakcyjniej kąpać się w ciepłym Morzu Czarnym. A niektórych stać nawet na kąpiele w Adriatyku czy Morzu Egejskim. Nasze jest ponoć zimne i brudne. Nie dla wszystkich.

Ale morze to nie tylko duża wanna do kąpiei, to również szlak komunikacyjny. Nawet więcej — to część naszej gospodarki narodowej. Spod dna morskiego wydobywa się ropa naftowa. Mało, bo mało, ale coś tam ciurka z rury. Morze daje ryby, pracę stocznicom i portowcom. Czy rozumiemy u nas znaczenie morza w naszej narodowej gospodarce? Powołane do tego urzędy niewątpliwie rozumieją. Ludzie mieszkający nad morzem i żyjący z morza — bez wątpienia. Ale czy społeczeństwo nasze, w różnych jego warstwach i grupach, ustawione jest twarzą do morza, czy nie? Czy u nas wie, że wiatr od ładu, czy od morza?

Zawsze byli w Polsce ludzie, którzy rozumieli znaczenie morza dla Polski. Dobiegająca końca pierwsza wojna światowa spowodowała, że wielu Polaków, którzy służyli w marynarce handlowej lub wojennej innych państw znalazło się w kraju. Oni to założyli 1 października 1918 roku Stowarzyszenie Pracowników na Polu Rozwoju Żeglugi „Bandera Polska”. Stowarzyszenie to postawiło sobie za cel przejęcie i zorganizowanie zarządu nad szlakami wodnymi oraz portami, a w przyszłości również szkolenie ludzi dla pracy na morzu. Na jego czele stanął były kontradmirał floty rosyjskiej Kazimierz Porębski „Bandera Polska” przyczyniła się do tego, że Niemcy nie wywieźli urządzeń portów rzecznych. Nawigacja też kontakt z Kołem Pomorsko-Kaszubskim dla współdziałania w odzyskaniu Gdańska i wybrzeża morskiego. Z jej to inicjatywy ukazało się pierwsze polskie czasopismo poświęcone problematyce morskiej „Bandera Polska”. Żywość tego czasopisma nie była długa, a upadło z bardzo prozaicznego powodu. Zabrakło pieniędzy.

„Bandera Polska” skupiała ludzi, którzy zawodowo byli związani z morzem. W maju 1919 roku przekształciła się w Ligę Żegluga Polskiej, która działała od 1924 roku. W 1920 roku Liga Żegluga Polskiej liczyła 5218 członków, z tego najwięcej w Warszawie. Jej celem było popieranie żeglugi wodnej i rozwój marynarki oraz portów. Ale Polska nie miała własnego portu, a jej interesy w Gdańsku były sabotowane przez tamtejsze, niechętnie nastawione do Polski władze. Liga Żegluga Polskiej odegrała dużą rolę podczas przygotowywania programu budowy portu w Gdyni oraz w czasie debaty sejmowej nad tym problemem.

Budowa tego portu wynikała bardziej z pobudek politycznych niż gospodarczych. Zresztą w tym czasie interesowało się też losem innego portu nadbałtyckiego — Kłajpedy, lansując ideę powołania Wolnego Miasta Kłajpedy na wzór Wolnego Miasta Gdańska. Kłajpedę ostatecznie zajęli Litwini, co było bardzo wygodne dla Niemców, którzy już wówczas zakładali, że odbiorą Litwinom ten port w odpowiednim momencie.

W sierpniu 1924 roku Liga Żegluga Polskiej przekształciła się w Ligę Morską i Rzeczną. Planowano wiele interesujących przedsięwzięć, a przede wszystkim przywiązywano dużą wagę do propagandy morskiej i wychowania dla morza. Od listopada 1924 roku zaczął wychodzić miesięcznik „Morze” w nakładzie 3 tysięcy egzemplarzy, który wychodził nieprzerwanie do sierpnia 1939 roku. Z tym tylko, że w ostatnim roku ukazywania się zmienił nazwę na „Morze i Kolonie”.

III Walny Zjazd Delegatów Ligi Morskiej i Rzecznej powołał do życia Ligę Morską i Kolonialną, na czele której stanął gen. Gustaw Orlicz-Dreszer. Trzeba przyznać — jak to stwierdza Tadeusz Białas w książce „Liga Morska i Kolonialna 1930—1939” — że Gustaw Orlicz-Dreszer uczynił z LMiK organizację masową, odgrywającą wcale niebagatelną rolę w życiu politycznym II Rzeczypospolitej.

Wprowadził Gustaw Orlicz-Dreszer — jak twierdzi Witold Bublewski, a pisze o tym Tadeusz Białas — tłumaczył ową kolonialność Ligi Morskiej względami politycznymi, które mają pomóc władzom polskim w sprzeciwianiu się Niemcom w ich dążeniu do odzyskania kolonii, to przecież sam nie krył w publicznych wypowiedziach, że jest to wyraz dążenia Polski do mocarstwowości.

Dziś znów mamy Ligę Morską — na szczęście bez mocarstwowej kolonialności — i sądzę, że jej najważniejszym obowiązkiem będzie właśnie wychowywanie dla morza, aby nieustannie wiać wiatr od ładu i abyśmy wszyscy rozumieli znaczenie morza dla naszej gospodarki.

WITOLD BOROWY

4

Jakby tu zawrócić?

W pewnej instytucji ktoś okradł ubikację. Przyszedł i zabrał założone tam wyposażenie. Nie jest to w naszych obyczajach i zwyczajach wypadek odosobniony. Ze wspólnego bieżącego jest jakby łatwiej i bez wyrzutów sumienia. Bo kto się za wspólnym umi? Można zatem powiedzieć, że w samym fakcie „obrobienia” ubikacji nie było nic nadzwyczajnego. Ale na tym samym piętrze w tej samej instytucji były dwie ubikacje. Jedna już „obrobiona” i druga jeszcze z pełnym wyposażeniem. Słusznie zatem postanowiono, że trzeba z tym coś zrobić.

Zwołano naradę, problem przedyskutowano i... zamknięto ubikację już „obrobioną”. No, bo jak będzie zamknięta, to złodziej już tam nie wejdzie. Nie ma po co. Ta druga z pełnym wyposażeniem stała przecież otworem. O tym nikt nie pomyślał. Śmieszne, co? Przeciwnie, bardzo smutne.

Stoję na ulicy i czekam aż zapali się zielone światło, aby przejść na drugą stronę. Na jezdni kałuża ogromniasta i pędzące samochody roztrzaskując wodę chlapiąc ludzi niemilosłownie. Dwie kobiety stoją tuż przy krawężniku. Jedzie samochód. Wiadomo, że ochłonie. Ochlapuje. One się cofają już ochlapane, następnie wracają na swoje miejsce i znów samochód je ochlapuje, cofają się i wracają... Śmieszne, co? Ani trochę. Smutne.

W „Dzienniku Łódzkim” zdjęcie zalanej wodą przejścia podziemnego przy „Centralu” i podpis: „Jak nam powiedziano w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego, studzienki kanalizacyjne w przejściu są zamknięte od wewnątrz i dlatego nie odbierają wody. Nikt podobno nie wymyślił jeszcze sposobu na skuteczne odmrężanie spustów”. Dawno już przestałem się dziwić, że zimą zaskakuje nas śnieg, jesienią deszcze, a latem upały. Przeżyłem już kilka zim stulecia, lat stulecia i jesieni stulecia. Myślę, że nie ja jeden. Ale też wiem na przykład, że po mrozach na ogół przychodzi odwilż i rozsądny gospodarz musi się do tego przygotować. Nie wiem, czy nigdzie na świecie nie wymyślono skutecznego sposobu odmrężania studzienek, ale podejrzewam, że w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego nikt nawet tego nie próbował zrobić. Bo i po co? Wiosna przyjdzie musi i ciepło zapowiadane zresztą przez meteorologów upora się ze zwałami śniegu. Ze to i owo przy okazji zaleje? A cóż to za problem? Śmieszne, co? Wcale. Smutne i to bardzo.

Przykłady te pokazują, że nado wyraźnie, że nie umiemy myśleć — mówiąc obrazowo — do przodu, że nie stajemy nad wyobraźnią. Opowiadano mi niedawno taką historię, jak w pewnym mieście budowano szkołę. Przedstawiciele władz złożyli nie zapowiedzianą gospodarską wizytę. Objeździ budowę i jeden z nich zdziwił się, że na szkołę potrzeba aż tak wielkiego gmachu. Przecież tu można pomieścić kilka szkół i na dodatek przedszkola — powiedział i nikt mu się nie sprzeciwił, choć wszyscy wiedzieli, że szkoły zaprojektowano o wiele za małą, ale skoro już się budowała, to nie było innego wyjścia. Szkoła już dawno stoi i jest rzeczywiście za mała.

Myśleć do przodu, to umieć sobie wyobrazić, co będzie się działo w danym miejscu z tymi a nie innymi ludźmi za dziesięć, piętnaście lat. Kim będzie na przykład Karol C. za te piętnaście lat, który teraz zaczął właśnie chodzić do liceum czy szkoły zawodowej. Jak go do tego przygotować? Jaki będzie świat za te piętnaście lat?

Ale myśleć do przodu, to również umieć wyobrazić sobie następstwa naszych postępków dziś i jutro. Tych małych, drobnych również. Czyli umieć przewidzieć ich skutki. Wyciągać wnioski z faktów i zjawisk. Myślimy na ogół do tyłu, potrafimy analizować przeszłość, zastanawiać się nad naszymi wadami i błędami. Nie interesują nas jakoś następstwa, czyli to, co będzie wynikiem tego, co robimy dobrze lub źle.

Nasz sposób myślenia jest — jakby to określić umownie — chałupniczy. Ukształtował się na poziomie gospodarstwa domowego i nijak nie można przypisać go do planowanej i uspołecznionej gospodarki. Nie potrafimy bowiem stosować miary całej gospodarki, stosujemy miarę gospodarstwa własnego, małego, chałupniczego. Błąd popełniony przez planistę w dużej fabryce oceniamy najczęściej jako błąd urzędnika, a nie wadliwą informację wprowadzoną do ogólnych danych, która może wyrządzić ogromne szkody i przynieść niepowetowane straty.

Trzeba zatem ten sposób myślenia odwrócić. Zawrócić o 180 stopni. Nie myśleć tylko wstecz, ale myśleć w przód. Uczyć się wyobrażać sobie i innym następstwa tego, co robimy i jak robimy. To bardzo trudne, ale konieczne. Bez zmiany sposobu myślenia wiele nie osiągniemy. Będziemy nieustannie rozpałamywali przeszłość, a nie będziemy potrafili wyobrazić sobie przyszłość, albo wyobrażać ją będziemy fałszywie. A więc, jakby tu zawrócić z tym myśleniem?

ZENON POROWATY

ODGŁOSY 13

Czy u łobu w stajni Horsta Soboty stoi jego izabelowata klacz, a Iwo spogląda na drogę, oczekując nadejścia człowieka, który głodem i strachem nauczył go miłości? Co się dzieje z Horstem, z jego domem i sadem, skoro stracił poczucie bezpieczeństwa? Jaką nową pułapkę szykuje na niego leśni ludzie? Gdzieś tam żyła także Weronika z bujnym ciałem, które nie mogło dać mężczyźnie rozkoszy. Co ją wtedy przyprowadziło do jego łóżka? Może nadzieja, że jednak kiedyś okaże się prawdziwą kobietą, coś w rodzaju wiary Maryna w miłość wielką i prawdziwą. Odwieczne oczekiwanie kłęk na jakiś cudowny lek, na wymodlony cud.

Wieczorem Kristopher Bullow położył się na podłodze ciężarów. Weber obstarwił go skrzynkami i narzucił na niego puste worki.

— Celnicy mnie znają. O tej porze roku często jeżdżą przez granicę po brukselkę — zapewnił Bullowa.

Przed północą bez żadnej kontroli przejechali granicę. Przed świtem Bullow znowu zobaczył lunę wielkiego miasta i Weber pomyślał, że są u kresu podróży. Wtedy jednak Bullow kazał mu napelnąć bak i sam zasiadł za kierownicą.

— Przejedźmy jeszcze jedną granicę — poinformował staro.

— Dlaczego uważasz, że twoje sprawy są ważniejsze od moich — zaprotestował Weber.

— To nie ja zabiłem Claude Imberta — powiedział Bullow. — Wierzę mi?

Weber nie podjął tematu. Owinął się w palto i zasnął na siedzeniu obok kierowcy. Jakże to miało znaczenie, czy wierzył w oświadczenie Bullowa. Claude Imbert został zabity i tylko to stało się ważne. Bullow był młodszy i silniejszy, poza tym miał przy sobie pistolet Webera. To się jedynie liczyło w tej chwili.

W południe przejechali drugą granicę. Tym razem Bullow już nie krył się między pustymi skrzynkami. Był obywatelom kraju, do którego wjeżdżali, wystarczyło, że czapka pożyczona od Webera zasłonił sobie swoje krótkie włosy. Nie ogolony, w swetrze, za kierownicą półciężarówki — nie mógł się kojarzyć z portretem pamięciowym zabójcy Claude Imberta, właściciela lombardu w mieście i kraju położonym o kilkaset kilometrów. O szesnastej Bullow wiedział, że zbliżają się do celu. Zatrzymał wóz przed mostem na szerokim kanale odwadniającym, powiedział do Webera „zawracaj”, i dalej poszedł pieszo z rękami w kieszeniach.

Tego samego dnia, o tej samej porze Malwina podniosła się z pościeli i wzięła na ręce płaczące dziecko. Była tylko w długiej nocnej koszuli, zadyszkowała z chłodu, bo choć dopiero zaczęła się jesień, w mieszkaniu już należało przepalać w piecu kaflowym. Wczoraj w południe na wniosek prokuratora rejonowego dwaj milicjanci przyszli po Karola, towarzyszyli im Łukta, który wykrzykiwał na całe mieszkanie, że Steborek podpalił tartak, gdyż nie chciał go mieć przy swoim domu. Krzycząc na Karola zdawał się swoim wrzaskiem wypełniać cały dom, złorzecząc opluwał śliną brudną brodę, w pokoju czuło się smród jego oddechu. Malwina dygotała z trwogi i tuliła do siebie dziecko. Karol wrzucił ramionami i zażądał dowodu swojego przestępstwa. Ale dowody miały mu być przedstawione dopiero na posterunku w Bartach, więc on, milicjanci i brodaty Łukta wsiadli do milicyjnego samochodu i odjechali. A Malwina ugotowała dziecku jedzenie na elektrycznej maszynie, w piecu jednak nie paliła, ponieważ nigdy dotąd tego nie robiła. Spać poszła wcześniej, barykadując drzwi. Zgasła światło i czujnie nasłuchiwała każdego szmeru z podwórza. Słyszała tylko szum drzew i gdy podchodziła do okna, widziała jedynie skraj lasu. Milczał trak i to napawało ją radością. Spozobrzała też, że ziemia jest siedliskiem nocy, nad lasem jeszcze długo panowała jasność, a ziemię ogarnął mrok.

Dziecko nie chciało zasnąć i kołysała je na kolanach. Wreszcie ułożyła je w łóżeczku i podeszła do okna, wspominając lekki męza przed lasem. Ileż to razy jej mąż nocami zrywał się i podchodził do okna, aby popatrzeć na las, niekiedy z wielkim chłodnym księżycem ponad drzewami. Powtórzył jej kiedyś słowa nadsłyszane, że las go nie pokochał. Dlaczego nie pokochał właśnie jej męza, a innych darzył szczęściem? Obiecywano im dom Horsta Soboty i nie z tej obietnicy nie wyniknęło. Nie dali mu plantacji nasiennej, bo miał najwięcej wypadów na sawyich uprawach. Las potrzebował ludzi podobnych do zwierząt. Chciał też, żeby ona obnażyła się na polanie koło dębu i żeby tam ją mąż wypełnił nasieniem. Żle robiła, że zaczęła się krzywić i szkoda, że Karol nie znalazł w sobie dość siły, aby spełnić żądanie lasu. Brodaty Łukta na pewno by się nie zaważał, Łukta by las pokochał, a może kochał od dawna? Było dla niej oczywiste, że Karol podpalił tartak, ona bowiem nie chciała żyć w pobliżu jęczącego traka, z podwórkiem zasypianym pyłem trocin. Karola będą jednak musieli wypuścić z aresztu, ponieważ ona zaświadczy, że tej nocy nie wyszedł z łóżka. To nie będzie prawda — wstała, a potem czuła od niego zapach benzyny. Ale prawda nie mogła stać się przydatną, jeśli mieli dalej żyć i mieszkać na skraju lasu.

Położyła się w końcu, ale nie spała całą noc. Bała się, że korzystając z nieobecności męza do ich domu wtargnie brodaty Łukta, przyjdzie, aby wziąć ją jako należność za spalony tartak. Jego śmierdząca broda wypełni jej usta, poczuje smród jego oddechu i nadzieję ją na wielki jak drag członek Łukty. Kto wie, czy po czymś takim coś by się w niej nie odmiennie, przestałaby być ciągle taka zmęczona. Karol był silny, lecz chyba inną siłą, niż ta, jaka tkwiła w brodatym Łukcie. Słyszała, że ktoś ją nazwał kobietą-rośliną. I tak naprawdę czuła się przy Karolu jak rośliną. Łukta by ją wyrwał z ziemi i dał człowieczą moc. Niechże więc wreszcie wtargnie do ich domu straszny Łukta i swoim potężnym drgiem wyrwie ją z ziemi. Oczywiście, że bała się Łukty, lecz podciągnęła koszulę i rozchyliła nogi. Położyła sobie dłoń między nogami, aby głośkaniem uspokoić łono tak jak uspokajała płaczące dziecko. Łukta jednak nie przyszedł i rano bolała ją głowa.

W mieszkaniu było zimno, dziecko płakało i należało je nakarmić. Nie znalazła ani kropli mleka, ani kawałka chleba. Po południu ubrała się więc, na dzieciaka założyła ciepłe ubranko, otworzyła drzwi na podwórze, wyprowadziła z sopy wózek i prowadząc ten wózek przed sobą, wyszła na drogę w kierunku osady leśnej, do sklepu.

Każdy krok sprawiał jej ból. Może rzeczywiście stała się rośliną, gdyż idąc, z trudem odrywała od ziemi swoje nogi. A najgorszą była obawa przed innymi kobietami, które spotka w sklepie. Czy któraś ją nie urazi spojrzaniem, nie dotknąć, nie zerwie listka na jej ciele?

Je zrobiła kroków pośród zamglonych jesiennych pól z brunatnymi łeciami nie wykopanych ziemniaków? Ujrzała Karola idącego ku niej od strony osady leśnej. Niósł bochenek chleba i butelkę mleka.

Pocałował ją w czoło i powiedział radośnie: — Nie znalazł żadnych podstaw, aby mnie oskarżyć. W końcu nawet Łukta odwołał swoje podejrzenia i przeprosił mnie za nie. Postawił nowy tartak. Kto wie, może zostanę tajnym współnikiem?

W domu bardzo zmęczona usiadła na fotelu, a on zaczął się krzątać, przygotowując dla dziecka jedzenie i paląc w kaflowym piecu.

— Wstąpiłem na uprawę i wyobraź sobie, Malwino, w prawym rogu rośnie modrzew. Nigdy go dotąd nie zauważyłem, bo okrywały go jeżyny. Tego lata nabrał sił i wyrósł ponad krzewy. To nieprawda, że wszystkie modrzewie umarły na mojej uprawie. Pokaże go nadsłyszczemu. Modrzew potrzebuje ludzkiej tyczliwości. Będę go codziennie odwiedzał.

Malwina poczuła zazdrość. — A ja? — zapytała. — Czy nie zaniedbasz mnie z powodu modrzewia?

— W Bartach widziałem na wystawie sklepowej duży sznur czerwonych korali. Kupię go i przystroję cię jak jarzębinę. Nie chce, Malwino, żebyś wychodziła z domu. Kiedyś kupię samochód i będę cię woził. Postaram się też o inny dom dla nas. Napisałem list do Romanikowej, aby mi powierzyła plantację. Jeszcze dziś się z nią spotkam i omówię te sprawy. Czy wiesz, że nocą w areszcie miałem dziwny sen. Oto przez las obok mojej uprawy jechał strażnik łowiecki na swojej izabelowatej klaczy.

Wielki las

(36)

ZBIGNIEW NIENACKI

czy. Uśmiechał się, a gdzie nie spojrział na mojej uprawie wyrastały młode modrzewie. Nigdy nie przedstawiłem ci tego człowieka, ale to teraz nie ma znaczenia, ponieważ on już tutaj chyba nigdy nie powróci.

„Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” — pomyślał Stęborek.

Rozdział trzynasty

Dokładnie przygotowywał go do wyjazdu. Rozmawiali z nim długo, rozważając wszystkie ewentualności, niebezpieczeństwa, zastawione pułapki. Jak wynikało z ustaleń firmy nikt nie interesował się jego mieszkaniem przy Square Saverin, nie znajdował się pod obserwacją także sklep z rowerami przy Dapperstraat. Ludzie, z którymi Bullow miał kontakt, przyczaili się po jego ucieczce, nie zauważono jednak, żeby groziło im niebezpieczeństwo. Ponad pół roku minęło od chwili, gdy Iwo Bunder oddał się w ręce policji, ale nie nie wskazywało na to, aby zdradził interes firmy, którą reprezentował Bullow. Przez te pół roku Iwo Bunder znajdował się pod opieką i nadzorem policji, obecnie — podobno — widuje się go to tu, to tam — zawsze zachowuje się bardzo ostrożnie. „Coś trzeba zrobić w tej sprawie” — tłumaczyli. „Ktoś musi dotknąć pajęczyny i jeśli pajak czyha ukryty w jakimś kącie, wyskoczy po swojej ofiarę. Jeśli prawdą jest, że lubiłeś Bundera, a on lubił ciebie, to tylko ty możesz być tym, który najmniej ryzykuje. Musisz spotkać się z Bunderem i poznać prawdę”.

Znowu więc pojawiło się słowo „lubie”. I tak oto pewnego dnia niejaki Kristopher Bullow otrzymał swój paszport. Kupiono mu bilet na samolot, bez kontroli granicznej przeprowadzono na nocny rejs. Powiedzieli: „Komorne za twoje mieszkanie przy Square Saverin było zawsze opłacane regularnie. Wyjechałeś z chorą żoną na wypoczynek, żona jest wciąż chora, a ty powróciłeś”. Czy trzeba bardziej klarownej sytuacji? Kristopher Bullow nigdy i nigdzie nie uciekał. Nie wracał też z dalekiego kraju, tylko z wypoczynku, który się nieco przedłużył. Tym samym nie istniał żaden Józef Maryn, zresztą zapewne zrobione zostało wszystko, aby powoli, nawet z pamięci ludzkiej zniknęły wszelkie ślady po strażniku łowieckim. Wsiadając nocą do samolotu Kristopher Bullow był w tym samym ubraniu w jakim uciekł, zwrócono mu każdy jego drobiazg, miał pewność, że w kieszeniach pozostały nawet reszeczki tytoniu z papierosów, które kiedyś palił. Być może oczyszczono mu starannie nawet trzewiki z kurzu i błota, ze wszystkiego, co nie było kurzem i błotem z ulicy Square Saverin.

Wyglądał o świecie. Jakis czas krążył po przeszkłonych salach dworca lotniczego, przesiadując w poczekalniach i barach, obserwując czy nie budzi czyjś zainteresowania. Znalazł wolną kabinę i kolejno wykrecił trzy numery mieszkań, które wynajmował w mieście wspólnie z Bunderem. Nikt się nie zgłaszał — zwątpił, czy o tak wczesnej porze w którymś z tych miejsc może trafić na Bundera. W tych mieszkaniach bywał zazwyczaj krótko, rzadko któryś z nich tam nocował. Może ta droga do Bundera w ogóle nie miała sensu. Prawdopodobnie należało pojechać tam, gdzie spotkali się ostatni raz — do domu, w którym na podwórku jakieś dzieci ulepiły ze śniegu bałwana. Zapamiętał ulicę — ale to było zbyt ryzykowne. Jeśli Bunder tam mieszkał, istniało prawdopodobieństwo, że jest obserwowany. Należało znaleźć w książce telefonicznej numer telefonu tego mieszkania i zadzwonić. Na to jednak pozostawało jeszcze sporo czasu.

Znowu trochę pospacerował po dworcu. Wykreślił czwarty numer, to była nieduża willa, w zdżuczonym ogrodzie, dogodna dla spotkań, gdyż posiadała dwa wyjścia, od frontu na cichą uliczkę, i do mikroskopijskiego ogrodu zamkniętego wysokim murem. Bunder sam wynajmował tę willę i za własne fundusze wynajmował ją od jakiejś starszuszki ciągle przebywającej w swojej wielkiej posiadłości. Z Bunderem spotkał się tam Bullow chyba nie więcej niż trzy razy. Zapamiętał niewiele warte stare meble z narzuconymi pokrowcami, staroświecką łazienkę z węglowym pie-

cykiem do grzania wody. Czy Bunder spotykał się tam z kimś jeszcze? Tak, być może z jakimś kobietami, albo z ludźmi innych firm.

Ktoś podniósł słuchawkę, ale nie odezwał się. Bullow słyszał jednak oddech tego człowieka.

— Czy to pan Feldman? — zapytał.

Chwila ciszy, a potem głos Iwo. Gwałtowny:

— Przyjeżdżaj natychmiast. Jesteś mi potrzebny. O Boże, co za szczęście. Natychmiast, rozumiesz?

— Tak — Bullow odwieścił słuchawkę.

Poczuł w sobie chłód. To był niepokój. Zbyt łatwo przyszło mu nawiązanie kontaktu z Bunderem. Zbyt chętnie chciał się on z nim spotkać, i to natychmiast. A przecież przez lata nauczył się wzbudzać w sobie nieufność, jeśli sprawa rozwijała się zbyt łatwo. Co o tak wczesnej porze robił Iwo Bunder w tamtej willi? Spał z kobietą? Tak naprawdę niewiele wiedział o Bunderze. Kazał mu z nim współpracować — i to wszystko. Polubił się podczas wspólnej pracy — i to była druga część prawdy. Ale gdzieś przecież istniała jakaś pełna prawda o Bunderze, której mógł się jedynie domyślać. Iwo kochał pieniądze. Nie wydawał ich na narkotyki, na dziwki. Może deponował je w banku, miał rodzinę i wspinał się dom? Tacy ludzie jak Bunder nigdy nie odsłaniają żadnej swojej karty, bo grają o bardzo wysoką stawkę. „Jesteś mi potrzebny. Natychmiast”. — powiedział. A potem być może zadzwoni na policję, która będzie u niego czekała na Bullowa. Bunder nie zyskał ochrony policji za darmo. Nie tknęli wprowadzić mieszkania Bullowa, lecz po co mieli to robić, skoro Bullow i Eryka zdołali uciec? Ktoś mógł przewidzieć, że wystarczy okazać trochę cierpliwości, Bullow wróci i zacznie szukać Bundera. W końcu istniała ogromna różnica między Bunderem i Bullowem. Bunder był najemnym pracownikiem, Bullow kimś więcej. Bunder domyślał się, że Bullow zwerbował dla firmy kilku ludzi i tylko on znał ich adresy, sposoby kontaktu. Ci ludzie teraz przerwali robotę i czekają na sygnał firmy. I Bullow tu przybył, aby dać im ten sygnał. Ale wprzód musi wiedzieć na jakim świecie się znalazł i do tego potrzebny jest mu kontakt z Bunderem. Jeśli u Bundera wpadnie w obce ręce, zwerbowani przez niego ludzie będą musieli przenosić się w inne miejsca albo po prostu uciekać. Bullowowi grozi kilkanaście lat więzienia, bo jest zawodowcem; tamtych skaza na śmierć, albo po prostu zabiją po cichu. Nie pójdzie więc Bullow na spotkanie z Bunderem, bo czuje w sobie chłód strachu. Oczywiście, pójdzie, choć nie tak od razu. Nie można by w ogóle pracować, gdyby się nikomu nie zaufało, każdego podejrzewano o podwójną grę. Zaufanie i nieufność — te sprzeczne uczucia należało zawsze ze sobą godzić. Zaufać — ale nie do końca. Podejrzewać — też nie do końca.

Wyszedł z lotniska z małą walizką, w której miał kilka zużytych koszul, brudną pidżamę, przrządy do golienia. Nie mógł przylecieć bez walizki, bo to mogło obudzić czyjś zainteresowanie. Walizka okazała się już niepotrzebnym znakiem rozpoznawczym. Zawrócił na dworzec, oddał ją do przechowalni, potem kwitek podał i wrzucił do kosza na śmieci.

Padł deszcz i uznał to za sprzyjającą okoliczność. Mógł podnieść kołnierz płaszcza, nasunąć na czoło kapelusz. Wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć na plac koło nadbrzeża. Tam przesłuchiwał się do metra i wyszedł z niego w pobliżu Square Saverin. Deszcz przestał już padać, było pochmurno i lada chwila znowu mogło zacząć padać. Alejki na skraju skwera zasypały brunatne liście, nikt nie siedział na ławeczkach. Znalazł się na dobrej sobie znanej uliczce, przeszedł jedyną i znalazł się po drugiej stronie domu, w którym mieszczą się jego mieszkania. Dom nie posiadał konsjerżki, dlatego właśnie on i Eryka osiedlili się tutaj. Dwa okna wychodziły na ulicę, dwa inne — na podwórko. Stanał w bramie naprzeciw swojego domu i popatrzył w okna na trzecim piętrze. Mógł oczywiście pójść na górę, ponieważ w kieszeni płaszcza nosił klucze, jednak łatwość, z jaką nawiązał kontakt z Bunderem, wciąż leżała w nim jak chłodny kamień.

Ulica ciągle przeleżała samochody, a po chodnikach szybkim krokiem przechodził ludzie. Na szczęście dla Bullowa znowu zaczęło padać i jego pobyt w bramie był uzasadniony. Patrzył w okna na trzecim piętrze — zakurzone, nieprzeniknione, z tiulowymi firankami. Tam znajdowały się trzy pokoje, jego tapczan, jego książki, przy tapczanie aparat telefoniczny, w kuchni wciąż chyba pracowała lodówka. Tam mógł zmienić przemoczony płaszcz, przebrać się, zmienić kapelusz, wziąć parasol. Jak długo wolno mu stać w bramie i patrzeć w okna na trzecim piętrze? Niczego podejrzanego nie zauważył. Nikt nie obserwował jego domu. Przez chwilę wydało mu się, że drgnęła firanka za szybą, ale to było chyba złudzenie. Po prostu krople deszczu ściekały po szybie. Bardzo chciał tam pójść, lecz wrazenie chłodu, które czuł w sobie, stawało się coraz silniejsze. Jego mieszkanie mogło okazać się pułapką.

Wrócił na skwer i wszedł do budki telefonicznej.

— Czy to pan Feldman?

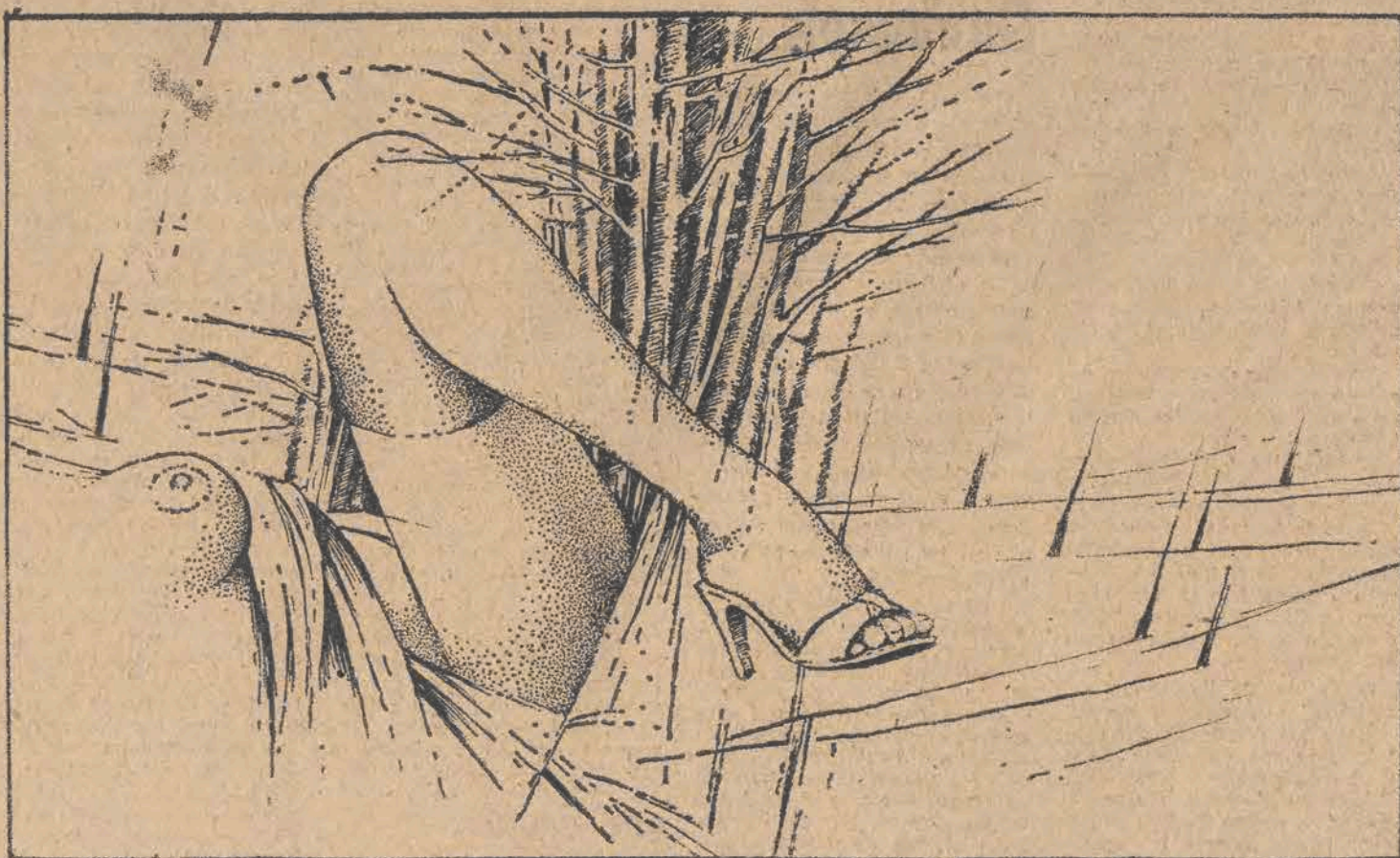
— Do diabła, dlaczego nie zjawiasz się u mnie? Czy nie rozumiesz, że cię potrzebuję?

— Chciałbym z tobą umówić się na spotkanie. W mieście — powiedział Bullow.

— To niemożliwe. Boję się wyjść z domu. Przyjdź, proszę cie. Jesteś mi potrzebny.

Bullow powiesił słuchawkę, przerywając Bunderowi wypowiedź.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Główny.